

Kay David

Przerwany taniec

Tytuł oryginału: Two Sisters

Rozdział 1

- No cóż, ja ta czuję, a może nie płacę za to, żeby móc mnie oglądać - oświadczyła April Benoit, rzucając siostrze wyzywające spojrzenie. W zapadającym zmierzchu widać było jej zagniewaną twarz, mówiła podniesionym, pełnym pretensji tonem. - Kto jak kto, ale ty jesteś chyba ostatnią osobą, która miałaby prawo czepiać się mnie z tego powodu.

Elizabeth Benoit przyglądała się zacietrzewionej twarzy siostry, stojąc po środku saloniku swego mieszkania w eleganckiej dzielnicy Houston. Patrzyła na April, odnosiła czasami wrażenie, że przegląda się w lustrze - były do siebie podobne jak dwie krople wody. To znaczy fizycznie, bo poza tym różniły się pod każdym względem: od sposobu myślenia zaczynając, a na stylu ubierania się kończąc.

A przecież nie zawsze tak było. W dawnych czasach były sobie tak bliskie, że potrafiły odgadnąć nawzajem swoje myśli. Teraz jednak oddaliły się od siebie do tego stopnia, że Elizabeth zadawała sobie niekiedy pytanie, czy to może liwe, by były siostrami, a do tego identycznymi bliźniaczkami.

Teraz, kiedy w końcu zdecydowała się odezwać, jej głos brzmiał spokojnie, a twarz nie zdradzała wewnętrznego wzburzenia:

- Owszem, mam takie prawo, ponieważ cię kocham i pragnę twój dobro.

- A ja, dla mojego dobra, muszę zarabiać, żeby mieć z czego żyć. Żeby mieć coś, muszę pracować. - Pięknie oczy April zmieniły się w wściekłe szparki. - Jeśli dobrze pamiętam, były czasy, kiedy tym sposobem utrzymywałam również ciebie. A może już o tym zapomniała?

- Jak bym mogła...

- To dobrze! W takim razie bądź łaskawa zostawić mnie w spokoju i nie wtrącaj się w to, jak zarabiam na swoje utrzymanie.

- Ale April! Jest tyle innych sposobów zarabiania na życie - perswadowała Elizabeth, usiłując zachować spokój. - Taniec to nie...

- O rany! - uciła ostro April. - Chcesz mi może powiedzieć, że powinnam być zostać chirurgiem od operacji mózgu? I zamiast pokazywać się ludziom bez ubrania, przez te wszystkie lata zarabiam grubą kasy na leczeniu bogaczy? - Parsknęła pogardliwie. - Opamiataj się, siostrzyczko! Nie zapominaj, że w przeciwieństwie do ciebie nie miałam szczęścia ukończyć wyśzyszczeń studiów.

- Dobrze wiesz, że się z ciebie nie miało z tym nic wspólnego. Cię ko na to zapracowałam. Mogła się osi gn to samo co ja, gdyby tylko chciała. - Elizabeth opu ciła głow , zdeprymowana kierunkiem, w jakim zaczynała toczy si ich rozmowa. - Pomy l, April! Mo esz nadal, cho by dzi , wróci do szkoły. Masz mnóstwo czasu. Jeste młoda!

- Młoda! Te co ! - April przewróciła oczami. - Wła nie stukn ło mi dwadzie cia osiem lat. Jestem stara!

- Tylko tancerkom wydaje si , że trzydziestka oznacza staro . A zreszt , gdyby nawet tak było, nigdy nie jest za pó no na to, eby zacz od nowa.

April zerwała si z kanapy i podeszła do okna, po czym stan ła plecami do siostry, wygl daj c na ulic . Nad Teksasem zapadał kolejny letni wieczór. Sło ce przed chwil skryło si za horyzontem, lecz czerwono - pomara czowe smugi nadal barwiły niebo.

- Ty nic nie rozumiesz - odezwała si tonem skargi. - Nic a nic nie rozumiesz.

Na d wi k głosu siostry Elizabeth zapomniała o irytacji i ogarn ła j wielka czuło . Nie zapalaj c lampy, co wła nie miała zrobi , podbiegła do April i poło yła jej r k na ramieniu.

- Ale rozumiem, kochanie. Sama dobrze wiesz. Ale mo esz si stamt d wyrwa - mówiła. - Gdyby zechciała...

- Kiedy ja lubi ta czy - rzuciła April, nie patrz c siostrze w oczy. - Lubi pieni dze, lubi ludzi, z którymi pracuj ...

- Lubisz ludzi, z którymi... - Elizabeth urwała, z niedowierzaniem potrz sn ła głow i bezradnie opu ciła r k . - April, jak mo esz tak mówi ? Pomy l o Tracy! Tyle jej okazujesz przyja ni, ratujesz z kłopotów, pomagasz, a czy ona cho raz zrobiła co dla ciebie? Odwrotnie! Gdyby tylko mogła, przy pierwszej okazji wbiłaby ci nó w plecy. Albo Greg! Czy tak wyobra asz sobie m czyn , z którym chciałaby sp dzi ycie?

- Tracy jest w porz dku, a Greg dał mi robot , kiedy byłam bez grosza. Odczep si od niego.

- Ka dy idiota, maj cy par oczu w głowie, dałby ci prac z pocałowaniem r ki. Jeste pi kna! Jeste zdolna! Zastanów si , kochanie. Mogłaby robi nie wiem co, gdyby tylko...

April obróciła si gwałtownie, zacisn ła pi ci, jej oczy zapłon ły gniewnym blaskiem.

- Odczep się ode mnie, do jasnej cholery! - wrzasnęła. - Raz wreszcie skończ z tym urządzaniem mi życia!

Elizabeth zaś cofnęła się, pora ona nieoczekiwanie na furię siostry.

- Martwi się o ciebie, April - wybiekała. - Ja tylko chciałam...

- Prowadź mnie dalej za rękę, tak jak to robiła zawsze od śmierci taty. Nie jestem już dzieckiem, Elizabeth. Nikt nie musi się mną bez przerwy zajmować. I nie jestem mamą, zapamiętaj to sobie.

Elizabeth ukryła uraz pod maską pozorowanej obojętności. Słowa April boleśnie ją zraniły. Odkąd jako dwunastoletnie dziewczynki straciły ojca - był to eufemizm, którego nienawidziła, lecz którym z przyzwyczajenia nawet w myślach określała jego śmierć - Elizabeth sama troszczyła się o siebie i April, a potem ratowała je obie z kolejnej katastrofy, jaka przydarzyła się matce. Ich matka, krucha i delikatna istota, była tak całkowicie uzależniona od męża, że kiedy umarł... Tak, nawet to, co się z nim stało, nie było aż tak bolesne.

Nie zamierzała wspominać o tamtych sprawach.

- Przepraszam - rzekła sztucznie spokojnym tonem. - Zawsze ci pomagam, więc ci pomagam.

April zawahała się, lecz po chwili odetchnęła głębiej, a jej twarz przybrała zacięty wyraz.

- Nic z tego, moja droga. W przeciwnym razie do ciebie nie jestem chodzącym doskonałości. I nigdy się nie stanę, więc nie próbuj przerabiać mnie na własne kopyto.

Usta Elizabeth zaś rozchyliły się ze zdziwienia.

- Ja mam być chodzącym doskonałości? artujesz sobie. Daleko mi do doskonałości. A poza tym nigdy nie zamierzałam przerabiać cię, jak mówisz, na własne kopyto. Ty... ty naprawdę tak myślisz?

- Sama nie wiem, co myślisz, wiem tylko, że przez wszystkie te lata starała się mną kierować, i że mam już tego po dziurki w nosie. Chcę by nareszcie sobie, robi to co chce i tak, jak lubi.

- Oczywiście, że powinna być sobą. Ja tylko...

April stanowczym ruchem wyciągnęła przed siebie rękę; w mroku zamigotały jej karminowe paznokcie.

- Daj spokój, Elizabeth. Pozwól mi popełniać błędy na własny rachunek. Przestań się wtracać!

Elizabeth nie drgnęła, ani na centymetr nie odsunęła się od okna, a jednak miała uczucie, jakby między nią a siostrą otworzyła się nieprzekraczalna przepaść. Ta przepaść odcisnęła swe niemożliwie w

jej wiadomo ci, przejmuj c chłodem jej dusz . Bliska wi , jaka
ł czyła niegdy siostry, została zerwana raz na zawsze.

Był wczesny wit, niebo zaledwie perliło si biel - z lekk
domieszk ró owo ci i bł kitu. Nad horyzontem wci rysowała si
ledwo widoczna, blada tarcza ksi yca, a równocze nie spoza dachów
s siednich domów zaczynało ju wyziera sło ce. W wilgotnym
powietrzu rozchodził si mocny zapach gardenii, a rozci gaj ce si
przed domem szmaragdowe trawniki błyszcząły od rosy.

John Mallory stał w otwartych drzwiach swego szeregowego
domu i rozgl dał si po okolicy, trzymaj c w r ku kubek gor cej
kawy. Zawsze zaczynał dzie w ten sam sposób - chłon c otaczaj cy
go spokój i zastanawiaj c si , jakich przykrych zdarze b dzie
wiadkiem w nadchodz cym dniu. Był policjantem w mie cie
Houston w Teksasie i st d mo na by wnosi , e spotkał si ju ze
wszystkimi chyba mo liwymi nieszcz ciami, ale czasami nawet jemu
zdarzały si niespodzianki.

Podnosił wła nie do ust kubek, kiedy k tem oka dostrzegł z boku
jaki gwałtowny ruch. Serce mocno mu zabiło, gdy u wiadomił sobie,
na kogo patrzy. Jego s siadka, niejaka Elizabeth Benoit, zmierzała
chodnikiem w kierunku swego samochodu. Jej nazwisko znał jedynie
z napisu na skrzynce pocztowej. Nigdy nie zamieniła z nim słowa, ani
chyba z adnym z s siadów. Wyszła dzi z domu wcze niej ni
zwykle i pod ała do auta szybkim, lecz pełnym wdzi ku krokiem.

Miała czarne włosy, które a l niły w pierwszych promieniach
sło ca, a jej ciemne oczy kryły si , mimo wczesnej pory, za ciemnymi
okularami. John zaliczał j do owego szczególnego gatunku kobiet
odznaczaj cych si wyj tkow urod , które, podobnie jak jego była
ona Marsha, zauwa ały innych tylko wtedy, gdy czego od nich
potrzebowały.

To znaczy diabelnie rzadko.

W rodku zadzwonił telefon i John wycofał si do domu,
zatraskuj c za sob drzwi. I bardzo dobrze, mówił sobie, id c przez
salon do kuchni. Musiałby by sko czonym głupcem, eby zawraca
sobie głow Elizabeth Benoit. Z pi knymi kobietami zawsze s same
kłopoty, a John w swoim yciu miał ju ich dosy . Zaledwie par lat
temu uwolnił si od jednej z takich wła nie pi knych kobiet i do dzi
nie mógł zapomnie , co przez ni prze ył.

Zreszt , nawet gdyby pami go zawiodła, głos w słuchawce z cała bezwzgl dno ci od wie yłby tamte wspomnienia.

- John? Tu Marsha. Mam tylko sekund czasu, ale musiałam ci złapa , zanim pojedziesz do pracy. W tym tygodniu powstała pewna komplikacja.

John celowo zwlekał z odpowiedzi . Poszedł najpierw do zlewu i odstawił pusty kubek po kawie. Jego była ona z reguły nie zadawała sobie trudu, eby powiedzie chocia dzie dobry. Wiecznie si dok d pieszyła, wynajdywała coraz to inne, lepsze sposoby organizowania sobie ycia. John kompletnie nie rozumiał, do czego było jej to potrzebne ani czym wypełniała ów dodatkowo wygospodarowany czas.

- Jaka komplikacja? - zapytał, sil c si na uprzejmo .

- Musz koniecznie zabra Lis do fryzjera, eby przystrzyc jej włosy. Luis ma tylko jedno wolne okienko akurat w czwartek po południu, a ja, rzecz jasna, musz przy tym asystowa . Przepraszam, e tak si zło yło, ale w przyszłym tygodniu b dziesz mógł j zabra normalnie.

John policzył do trzech, zanim si odezwał.

- Według umowy mam prawo raz w tygodniu, w czwartek, widzie si z córk . Do salonu pi kno ci b dziesz j musiała zaprowadzi kiedy indziej.

- Ale przecie ci mówi , e Luis ma czas tylko w czwartek.

- Marsha, na lito bosk , ona ma dopiero pi lat. - Znowu odczekał chwil , wyrzał przez kuchenne okno i popatrzył na dziobi c co na chodniku wron . - Na przystrzy enie grzywki nie musi chodzi do najdro szego fryzjera w mie cie.

Głos Marshy zrobił si nieprzyjemny.

- No, je eli masz zamiar czepia si o byle głupstwo, to prosz bardzo, mo emy si na nowo odwoła do s du. Skoro tego chcesz, z najwi ksz przyjemno ci pójd ci na r k . Przy okazji znajdzie si par innych rzeczy...

Marsha mówiła i mówiła. John przestał słucha . Jego eks - ona nie zawsze była tak wstr tna, a kiedy , dawno, dawno temu, byli w sobie naprawd zakochani. Potem jednak widocznie zawiódł jakie jej oczekiwania, a ona zrobiła si niezno na. John wykorzystał moment, kiedy przerwała potok wymowy dla nabrania oddechu, i dobitnym, ale

opanowanym tonem, mającym zamaskować fakt, i najchętniej udusiłby ją przez telefon, o wiadczył:

- Nic mnie to nie obchodzi. Przyjadę po Lisę jak zawsze w czwartek o piątej po południu, zostanie u mnie na noc, a w piątek rano, tak jak zawsze, odwieżę ją do ciebie, jadę do pracy. Do fryzjera zabierzesz ją w inny dzień. Do widzenia.

Marsha zaczęła coś mówić, lecz odłożyła słuchawkę.

Ruszył do sypialni, z niezadowolonym kręcąc głowę, a po drodze przypomniała mu się znowu Elizabeth Benoit. Jest rzeczywiście wspaniałą kobietą, ale byłby idiotą, gdyby sześć lat małżeństwa z podobnie olniewającą istotą niczego go nie nauczyło. Wiadomo, że robi pochopne uogólnienie, wcale mu nie przeszkadzała. Zawsze miał słabość do pięknych kobiet, z wieloma flirtował, więc dobrze znał ją.

Po obudzeniu, idąc jeszcze niepewnym krokiem do drzwi po gazetę, Elizabeth wiedziała jedynie, że April nie ma już w domu. Po wczorajszej awanturze obie zaraz poszły spać - Elizabeth do swojej sypialni, a April do gościnnego pokoju, który zawsze był gotowy na jej przyjęcie.

Elizabeth długie godziny przewracała się na łóżku, gdy niepokój o siostrę nie pozwalał jej zasnąć. Teraz, otworzywszy drzwi domu, przekonała się, że razem z siostrą zniknął jej własny samochód.

Wpatrując się oniemiałym wzrokiem w miejsce przy chodniku, gdzie poprzedniego dnia zaparkowała auto, Elizabeth pomyślała sobie, że właściwie nie powinna się dziwić. To była cała April. Wiecznie nieodpowiedzialna, zachowująca się, jakby była wciąż nastolatką, zaabsorbowana wyłącznie sobą, żyjąca we własnym ograniczonym i zamkniętym świecie. Czy ona naprawdę nie rozumie, ile przysparza im zmartwień? Elizabeth bezskutecznie usiłowała powstrzymać zalewając jej serce falami i gorzkością. Czy jest do końca życia skazana na to, by wobec samolubnej siostry spełniać rolę dobrej opiekunki?

Kierowca przejeżdżając przed domem samochodu nacisnął klakson na jej widok, więc Elizabeth, po pieśniewnie chwyciwszy gazetę, cofnęła się i zamknęła drzwi. Przez chwilę czuła niejasne wyrzuty sumienia. A może prawda wygląda inaczej? Może, uciekając od ich dawnego wspólnego życia, tak bardzo pogrzewała się w pracy, że zaniedbała siostrę, nie spełniła jakichś jej oczekiwań?

Jednak e przywołuj c gniewne słowa, jakie padły wczoraj z ust April, szybko pozbyła si w tpliwo ci. Robiła dla niej wszystko, co tylko było mo liwe, a nawet wi cej, i prosz , jaka za to spotyka j nagroda!

Rzuciwszy „Chronicie” na stolik w holu, ruszyła do sypialni, eby si ubra , a po drodze wł czyła stereo.

Po piesznie, nadal kipi c gniewem, narzuciła ubranie, upi ła włosy i nało yła na twarz lekki makija . Tego tylko mi brakowało, my łała ze zło ci . Jakbym bez pomocy April nie miała dosy własnych kłopotów.

Nie b d c pewna, czy stercz cy przed domem gruchot siostry dowiezie j do ródnie cia, zamówiła telefonicznie taksówk . Czekał c na jej przyjazd, wypiła jednym haustem fili ank kawy instant, po czym zadzwoniła do April do domu. Po dziesi tym sygnale odło yła słuchawk . Siostra nie miała nawet automatycznej sekretarki.

Starła si pohamowa narastaj c irytacj , lecz próby te przynosiły jedynie odwrotny skutek. W gł bi duszy wiedziała, dlaczego tak si dzieje. Oto kolejny raz powtarzał si znajomy schemat, w którym ona odgrywała wyznaczon jej rol , tak jak April grała swoj . Siostra robi jakie głupstwo, a Elizabeth zamartwia si i zło ci. Potem dochodzi do pojednania, a po pewnym czasie wszystko zaczyna si od pocz tku. Obie znamy to na pami , my łała ze smutkiem i zniech ceniem. Jeste my niepoprawne.

W dwadzie cia minut pó niej wchodziła do swego biura z mocnym postanowieniem zaj cia si wył cznie prac . W ko cu za to jej płac . Sekretarka, Betty Starnes, u miechn ła si na jej widok.

- Dzie dobry, Elizabeth. Jak si udało urodzinowe przyj cie?

- Nie bardzo - odparła Elizabeth z westchnieniem. Ograniczaj c si do najniezb dnejszych szczegółów, opowiedziała, co si wydarzyło, a Betty słuchała, ze współczuciem kiwaj c głow . Betty była od dawna zwi zana z Elizabeth i nawzajem wietnie si rozumiały.

- I dot d si nie odezwała?

- Nie - odparła Elizabeth, tłumic wewn trzny niepokój. - Ani słowem. Wi c gdyby zadzwoniła...

- Natychmiast ci z ni poł cz . Mo esz by spokojna.

Elizabeth weszła do swego gabinetu. Jako prawniczka zajmowała si doradztwem podatkowym, a jej praktyka obejmowała szeroki

wachlarz zagadnie , od porad natury finansowej a po kwestie spadkowe. Od pewnego czasu wi kszo spraw rozpatrywała na zlecenie władz federalnych. Szybko zyskała sobie opini prawnika umiej cego wykrywa najbardziej wyrafinowane oszustwa finansowe czy podatkowe, a poniewa federalni prawnicy byli notorycznie zawaleni prac i le opłacani, coraz wi cej spraw kierowano do takich jak jej prywatnych firm.

Wła nie przed tygodniem przekazano jej dossier niejakiej Lindy Tremont oraz jej brata Tony'ego Mastersona. Rodze stwo prowadziło odziedziczon po rodzicach firm maklersko - inwestycyjn , na któr do władz skarbowych napływały liczne za alenia od klientów, którzy powierzyli firmie swoje fortuny. Byli to w wi kszo ci starzy ludzie, którzy podejrzewali jakie machlojki, poniewa ich pieni dze najwidoczniej przynosiły zyski wył cznie Tony'emu Mastersonowi. Kiedy Elizabeth pierwszy raz zadzwoniła do biura firmy, telefon odebrała Linda Tremont, która wyja niła, e firm prowadzi ona, za jej brat zajmuje si głównie pozyskiwaniem klientów. Pani Tremont była wstrz ni ta faktem, i przeciwko firmie wytoczono jakie zarzuty, i wyraziła pełn gotowo współpracy.

Elizabeth wiedziała, e Linda Tremont nale y do najwy szych kr gów housto skiej socjety. Przewodniczyła niezliczonym uroczystym galom, zdobywaj c astronomiczne pieni dze na rzecz lokalnego ycia artystycznego. To musi by dla niej okropne dowiedzie si , e post powanie własnego brata, jednocze nie wspólnika w interesach, zagra a dobremu imieniu rodzinnej firmy. O ile Elizabeth zdołała si zorientowa , Tony Masterson był człowiekiem równie nieodpowiedzialnym jak April.

Teraz z ci kim westchnieniem si gn ła po akta sprawy i zagł biła si w pracy. Kiedy po paru godzinach zdj ła wreszcie okulary i spojrzała na zegarek, była zdumiona, e jest tak pó no. Prawie szósta! Zbli ał si wieczór, a od April wci ani słowa. Elizabeth szybko wybrała numer siostry, ale i tym razem nikt nie podniósł słuchawki.

Zaniepokojona nie na arty, wyci gn ła z torebki notatnik, znalazła numer nocnego klubu przy Richmond Avenue, gdzie wyst powała April, i zadzwoniła wła nie tam.

- Klub Esquire, słucham. - Schrypni ty kobiecy głos, który odezwał si w słuchawce po trzecim sygnale, nie był Elizabeth obcv.

Parokrotnie rozmawiała z Tracy przez telefon, a kiedy nawet osobiście się poznały.

Elizabeth od pierwszej chwili wyrobiła sobie opinię na temat Tracy i ostrzegła April, żeby miała się przed nią na baczność, lecz April, swoim zwyczajem, wybrała dobre rady siostry.

Rudowłosa Tracy Kensington o bujnych kształtach była najpopularniejszą tancerką w klubie - do czasu pojawienia się April. W ich zawodzie wysoko napiwków w dużej mierze zależało od wieku tancerek, a Tracy była o parę lat starsza od April. Aby to sobie powetować, rywalizowała z April, walczyła o przydział głównych numerów, pokazywanych w najlepszym czasie, z najbardziej podniecającym akompaniamentem muzycznym. Mimo to April niezmiennie okazywała jej wyrozumiałość, której Tracy nie tylko nie odwzajemniała, lecz przy każdej sposobności starała się podstawić rywalce nogę.

- Tracy? Tu Elizabeth Benoit, siostra April. Możesz mi powiedzieć, czy widziała ją dzisiaj?

- Nie, dziś nie - odparła Tracy, rezygnując z seksownego mruczenia i przechodząc na swój normalny, przeciętny sposób mówienia. - A co, siostrzyczka ci zginęła?

- Nie, nie zginęła. Po prostu nie mogła zastać jej w domu. Ma chyba dziś wieczorem występ, prawda?

- Chyba tak.

- O której się jej spodziewacie?

- Nie jestem pewna.

Elizabeth starała się nie okazywać irytacji. Tancerki były z reguły szalenie skryte, i to nie tylko wobec osób spoza własnego zamkniętego kręgu, ale nawet we wzajemnych stosunkach; nie miały zwyczaju się zwierzać. Elizabeth przypisywała to panującemu w ich zawodzie duchowi rywalizacji, który sprawiał, iż każda ukrywała własne karty w obawie, by ktoś przypadkiem nie poznał i nie wykorzystał jej atutów.

Takie nastawienie bynajmniej nie ułatwiało Elizabeth zadania. Do diabła, pomyślała, przecie jestem rodzoną siostrą April, a nie jakimś napalonym zboczeńcem! Przetykajcie zło i starajcie się nie podnosić głosu, zapytała:

- Czy mogłabym wobec tego porozmawiać z panem Lansingiem?

Tracy bez słowa odłożyła słuchawkę i dokąd poszła. Elizabeth słyszała stukot jej wysokich obcasów na kamiennej posadzce. Potem zawołała:

- Greg? Jesteś tam? Telefon do ciebie!

Elizabeth niecierpliwie uderzała piórem o blat biurka. Po nieskończonej chwili oczekiwania kierownik klubu Greg Lansing podniósł słuchawkę i powiedział:

- Halo! - On też miał schrypnąć, ty głos, jeszcze bardziej zdarty niż Tracy, na pewno wskutek wieloletniego nadużywania alkoholu i palenia papierosów oraz konieczności ciętego przekrzykiwania nastawionej na pełny regulator rockowej muzyki.

Nigdy z sobą nie rozmawiali, chociaż Elizabeth raz go widziała - kiedy to w chustce na głowie i z twarzą ukrytą za ciemnymi okularami wkradła się wieczorem do klubu, by popatrzeć na tańczącą April.

Wtedy zrozumiała, dlaczego Greg spodobał się jej siostrze. Był wielkim, dobrze zbudowanym mężczyzną o długich jasnych włosach, obdarzonym ową nader szczególnie urodą, pachnącą brutalnością i zepsuciem, która tak bardzo pociąga niektóre kobiety.

Niektóre, lecz nie Elizabeth. Miała okazję poznać wielu tego typu mężczyzn, toteż pod cienką pozłotą urody natychmiast rozpoznała całą jego miernotę.

- Dzień dobry panu, mówi Elizabeth Benoit. Szukam April.

- Nie widziałem jej. - W trakcie mówienia głos Grega stopniowo cichł. Zorientowała się, że zamierza odłożyć słuchawkę.

- Chwileczkę, panie Lansing! Proszę się nie...

Nie od razu odpowiedział. Już myślała, że się rozłączył, gdy w końcu się odezwał:

- O co chodzi?

- O której April ma dzisiaj występ?

- Nie jestem w stanie pamiętać godzin występowania tej dziewczyny. - Usłyszała, że Greg zaciąga się papierosem. - Pewnie koło dwunastej albo pierwszej. Mniej więcej.

Z głębi klubu dobiegał brzęk szklanek, miechy, pulsująca w tle muzyka. Elizabeth rozpoznała stary hit zespołu „Aerosmith” z wybijającym rytmem perkusji.

Greg, rzecz jasna, kłamał w jej oczy. Miał w małym palcu wszystko, co działo się w klubie, z dokładnością do jednego pensa i

ka dej minuty programu. Elizabeth, nie zwa aj c na jego wykr t, skupiła si na tym, by co jednak z niego wyci gn .

- Wydawało mi si , e April jest dla pana czym wi cej ni po prostu jedn z dziewczyn - powiedziała.

Przez chwil nic nie mówił, po czym tonem jeszcze bardziej burkliwym ni dot d o wiadczył:

- Pani siostra to wariatka. Staram si od niej trzyma z daleka, i pani radz robi to samo.

Elizabeth oniemiała.

- Jak mam to rozumie ?

- Tylko patrze , jak wdepnie w jakie paskudztwo. Niech lepiej uwa a, bo inaczej czekaj j powa ne kłopoty. - Znowu zaci gn ł si papierosem; odgłos ten wzbudził w Elizabeth wyra ny niesmak. - I to takie, e sobie popami ta. Na całe ycie.

Pióro z brz kiem wypadło Elizabeth z palców i potoczyło si po blacie biurka.

- O czym pan mówi? Co si z ni dzieje?

- To pani siostra, nie moja. Niech j pani sama zapyta.

Umilkł i kolejny raz, jeszcze gł biej, zaci gn ł si dymem. Elizabeth odniosła wra enie, e znajduje si obok niego w mrocznym klubie, czuje wibrowanie muzyki, dusz cy zapach oparów tytoniu.

Kiedy znów si odezwał, w jego głosie brzmiała tak wyra na pogró ka, e Elizabeth ciarki przeszły po plecach.

- Tylko niech si pani pospieszy, bo mo e by za pó no - o wiadczył.

Dr czona czarnymi my lami, wreszcie nie wytrzymała. Pó nym wieczorem poddała si i zadzwoniła na policj . Kobieta, która przyj ła zgłoszenie, potraktowała Elizabeth niemal jak natr ta. Po spisaniu podstawowych danych - nazwisko, imi , adres, wiek - przyst piła do zadawania pyta .

- Kiedy siostra znikn ła?

- Ostatni raz widziałam j wczoraj wieczorem. Zatrzymała si u mnie na noc, ale dzi rano, kiedy wstałam, ju jej nie było.

- Mniej ni dwadzie cia cztery godziny... - mrukn ła kobieta, jakby do siebie, najwidoczniej wypełniaj c jaki formularz.

- Czy to wa ne? - zaniepokoiła si Elizabeth. - Czy policja wszczyna poszukiwania dopiero, kiedy od znikni cia upłynie okre lona ilo czasu?

- To nieprawda. Tylko w telewizji tak opowiadaj . Je eli sprawa jest powa na, zaczynamy szuka od razu.

- Od czego zale y, czy uznacie spraw za powa n ?

- Przede wszystkim od tego, czy towarzysz jej podejrzone okoliczno ci. Czy ma pani podstawy, eby przypuszcza , e siostrze co zagra a?

Elizabeth przygryzła wargi.

- Słyszysz mnie pani?

- Nie potrafi powiedzie na pewno, e spotkało j co złego, ale bardzo si niepokoj . Wiadomo, jakim niebezpiecznym miastem jest Houston.

- Ale czy ma pani konkretny powód, eby przypuszcza , e mogło j spotka jakie nieszcz cie?

- Jej szef, z którym była do niedawna zwi zana, dał mi do zrozumienia, e wpl tała si w jak gro n afer . Nie chciał powiedzie nic konkretnego.

- Kto to taki?

Elizabeth przeliterowała imi i nazwisko Grega, po czym niepewnym głosem wyja niła, czym on si zajmuje.

- Prowadzi Klub Esquire? A pani siostra tam pracuje?

- Co to ma za znaczenie? - zaprotestowała Elizabeth, czuj c, e przechodzi do defensywy.

Funkcjonariuszka wahała si chwil , nim o wiadczyła:

- No có , to zmienia troch posta rzeczy, nie s dzi pani?

- Czy mam przez to rozumie , e gdyby moja siostra była szefem konsorcjum naftowego, to policja natychmiast rozpocz łaby poszukiwania, ale poniewa jest tancerk z nocnego klubu, poczekacie z tym jeszcze par dni?

- Chc jedynie powiedzie , e s ludzie prowadz cy o wiele bardziej uregulowany tryb ycia ni inni, dlatego znikni cie kogo takiego jest bardziej znacz ce. Czy pani siostrze zdarzyło si ju kiedy co podobnego?

Elizabeth zamkn ła oczy.

- Tak - rzekła cicho. - Dwa lata temu. Wyjechała bez uprzedzenia na Karaiby. Na tydzie .

Z m czyzn , którego ledwo poznała. Wysłała Elizabeth pocztówk , a po tygodniu zadzwoniła na jej koszt. Płacz c i rozpaczaj c, wyznała, e facet j porzucił. Okazał si kompletnie

innym człowiekiem ni przypuszczała - to było jedyne, co miała do powiedzenia na swoje usprawiedliwienie. Elizabeth wysłała jej pieniądze na powrotny bilet, uzyskując w zamian jedno - przyrzeczenie, że nic podobnego nigdy się jej nie zdarzy. April dała słowo honoru, że będzie uprzedza siostr o ka dym wyje dzie z miasta, i jak dot d nigdy go nie złamała.

A do dzi .

Elizabeth próbowała jeszcze przekona o tym urz dniczk , lecz tamta wyra nie straciła zainteresowanie.

- Na pani miejscu odczekałabym jeszcze par dni - o wiadczyła.
- A gdyby siostra nie dała znaku ycia, powiedzmy do wtorku albo do rody, prosz ponownie do nas zadzwoni . My l , e tak b dzie najrozs dniej.

Elizabeth podzi kowała i odło yła słuchawk . Było jasne, że nic jej nie wskóra.

Rozdział 2

Byłaroda po południu. John stał pod wiat, gdzie mieciły się skrzynki pocztowe mieszkać jego eleganckiego osiedla, i przyklejonym do twarzy uprzejmym uśmiechem spoglądał za odchodzącymi niepewnymi krokami pani LeBlanc, zastanawiając się po raz nie wiadomo który, dlaczego jeszcze się nie wyprowadził.

W rodzinnych siadach prawie nie było osób w jego wieku, a większość szeregowych domów zajmowały małe, w ciemne staruszki w rodzaju pani LeBlanc, które co rusz próbowały go oświecić z którąś z swych rozwiedzionych i na ogół dzieciatych wnuczek albo dalszych krewnych.

Bezpośrednio po rozwodzie, zostawiwszy Marshy ich dawny dom, John mieszkał przez jakiś czas w anonimowej kamienicy, której lokatorzy nigdy z sobą nie rozmawiali. Potem zmarła mu matka, po której odziedziczył tutejszy dom. Zamiast go sprzedawać, łatwiej było po prostu się wprowadzić, zwłaszcza że był położony w bezpiecznej dzielnicy, mógł więc bez obawy zabierać małą Lisę na noc do siebie.

Choć tak, ale trzeba znosić te wszystkie staruszki albo kobiety w rodzaju Elizabeth Benoit. Zrobił dwa kroki w kierunku najbliższego kosza na śmieci i właśnie wyrzucał znalezione w poczcie reklamy, kiedy zza węgła najbliższego domu wyłoniła się ... Elizabeth Benoit we własnej osobie.

W jednej ręce niosła aktówkę, a w drugiej torebkę. Spod pachy wystawała jej ciemnoniebieska tekturowa teczka z wydrukowanym srebrnymi literami nagłówkiem „Firma Konsultingowa E. Benoit. Dyskrecja i zaufanie”.

Przeniósł wzrok na samą Elizabeth. Ciemnozłoty kostium, podobnie jak czarny, w którym widział ją poprzednim razem, sprawiał wrażenie szytego na miarę. Krawat był dopasowany - chociaż nie przesadnie - spódnica za którą czyła się prowokacyjnie tuż nad kolanami. Złocisty materiał znakomicie uwydatniał alabastrowe odcienie kości słoniowej, która przywiodła mu na myśl matczyne serwis z przezroczystej chińskiej porcelany, nadal ustawiony w kredensie w stołowym pokoju.

Elizabeth Benoit była piękna, wytworna i nieskazitelna w każdym calu - wyjąwszy zmarszczki srogiego zmartwienia na czole. Na widok Johna gwałtownie zwolniła krok, chmura zniknęła z jej czoła, a twarz przybrała sztucznie uprzejmy wyraz.

Powinien był uklonić się, zrobić w tył zwrot i odejść. On tymczasem stał jak wryty, nie mogąc oderwać od niej oczu. Elizabeth pierwsza odwróciła wzrok. Znowu powiedział sobie, że trzeba odejść, lecz nogi miał jak przyrośnięte do ziemi. Elizabeth musiała go wyminąć, aby otworzyć swoją skrzynkę na listy. Zauważył przytroczony do kółka na klucze firmowy znaczek mercedesa. Wsunęła rękę do skrytki, lecz gdy ją cofnęła, dłoń była pusta - nie dostała nawet bezużytecznych reklam!

Prostując się miała tak zgnębiony wyraz twarzy, że niewiele się zastanawiając, zapytał:

- Nic nie przyszło?

Kiedy podniosła oczy, John zaniemówił. Wszystkiego mógł się spodziewać - ci tej riposty, chłodnego wzruszenia ramion, nawet ostrej odprawy, ale nie tego, co zobaczył: oczy pięknej siadki były pełne łez.

Nim zdążył cokolwiek powiedzieć, zza rogu wyłoniła się pani Beetleman spod numeru 10 D. Obrzuciwszy Elizabeth zaciekawionym spojrzeniem, zwróciła swój upakowany najdroższymi kosmetykami twarz ku Johnowi, najwidoczniej gotując się do pogawędki. Skinął głową jej po piesznie głowę, chwycił Elizabeth za łokieć i wyprowadził spod wiaty, nim staruszka zdążyła zapytać, czy stało się coś złego.

Podeszli do stojącej nieopodal drewnianej ławki, ocienionej konarami rozłożystego dębu. Elizabeth osunęła się na nią, a John usiadł obok w taki sposób, by zasłonić ją przed zdumionym wzrokiem pani Beetleman. Potem wyciągnął z kieszeni chustkę do nosa i podał ją Elizabeth. Podziękowawszy mu skinieniem głowy, zaczęła osuszać oczy.

Po chwili opuściła rękę i dłuższą chwilę przypatrywała się kawałkowi cienkiej białej materii, nim wreszcie podniosła wzrok.

- Od miłości ojca nie spotkałam mężczyzny noszącego prawdziwą chustkę do nosa - powiedziała.

Miała niski gardłowy głos, na którego dźwięk Johnowi zrobiło się dziwnie gorąco.

- Jestem policjantem - odparł bez zastanowienia. - Muszę być na wszystko przygotowany.

Skinął głową, jakby jego nieco dziwaczne wyjaśnienie było jak najbardziej sensowne. Chwilę siedzieli obok siebie w milczeniu.

chłon c upalny zmierzch letniego dnia. Szum przeje d aj cych boczn ulic samochodów i nawoływania bawi cych si w s siednim parku dzieci pozwalały im milcze bez skr powania.

Wreszcie John odezwał si :

- Mo e mógłbym pani w czym pomóc. Zdaje si , e ma pani zmartwienie.

Ku jego przera eniu oczy Elizabeth znowu wypełniły si łzami. Pokr ciła głow , by w nast pnej chwili, schrypni tym i załamuj cym si z rozpaczy i zdenerwowania głosem, wyrzuci z siebie:

- Chodzi o moj siostr . Nie wiem, gdzie si podziewa. Mogłaby przynajmniej napisa kartk .

- Chce pani powiedzie , e siostra zagin ła? Przytackn ła ruchem głowy.

- Tak. Ostatni raz widziałam j u siebie, kiedy miały my urodziny. Doszło wtedy... pokłóciły my si , i od tamtej pory przepadła bez ładu. Bardzo si o ni niepokoj . - Opu ciła oczy i pokr ciła głow . Po chwili dodała nieco spokojniejszym tonem: - Sama nie rozumiem, dlaczego to wszystko panu opowiadam. - Zrobiła ruch, jakby chciała wsta . - Przepraszam. Nie powinnam zawraca panu...

Wyci gn ł r k i poło ył na jej ramieniu. Elizabeth drgn ła spłoszona, wi c szybko cofn ł dło , zd ył jednak poczu dreszcz, który przebiegł mu po ciele. Cudowny jest dotyk mi kkiej i ciepłej, jedwabistej skóry...

- Prosz , niech pani nie odchodzi. Prosz mi wszystko opowiedzie .

Po krótkim wahaniu opadła z powrotem na ławk .

- Wiem, e pan pracuje w policji - oznajmiła. - Słyszałam od pani Shoftel.

Twarz jej drgn ła, jakby nieopatrznie zdradziła si z sekretem. Kto wie? - pomy lał. Mo e naprawd zdradziła si ? W ka dym razie nie ulega w tpliwo ci, e rozmawiała o nim z ich wspóln s siadk . Czy to znaczy, e nie tylko on zwrócił na ni uwag , ale i ona na niego?

- A czym si pan konkretnie zajmuje, je li wolno zapyta ? - podj ła z nagłym po piechem.

- Jestem detektywem - odparł. - Pracuj w wydziale zabójstw.

Skin ła głow , jakby tego si spodziewała.

- Ile lat ma pani siostra? - spytał John. - Jest nastolatka ?

- Nie, nie - energicznie zaprzeczyła. - Ma tyle lat co ja. Jesteśmy bliźniaczkami. Identycznymi bliźniaczkami. W niedzielę obchodziłyśmy dwudzieste ósme urodziny.

W głowie Johna odezwały się ostrzegawcze dzwonki. Dwadzieścia osiem lat? Co on sobie wyobraził? Odczuł nagle ciężej swoich trzydziestu siedmiu lat. A dziwnie, że ta piękna kobieta nie mówi do niego „sir”. Zawsze go złościło, kiedy ludzie w ten sposób się do niego zwracali.

- Dwadzieścia osiem lat - powtórzył. - Wiem, że jest dorosła. Trudno mówić o ucieczce z domu. Może się dokąd wybrała, wyjechała na jakiś czas i po prostu pani nie uprzedziła?

- Gdyby miała wyjechać, na pewno by mi powiedziała. A może nawet pożyczła pieniądze. - Elizabeth przygryzła wargi. - W dodatku zniknęła razem z moim samochodem.

John nie okazał zdziwienia.

- Mogłaby pani zgłosić kradzież auta - zasugerował neutralnym tonem.

- Wolałabym tego uniknąć - odparła już bardziej opanowanym głosem, odzyskując stopniowo pewność siebie. Przywdziała na nowo swój zwykły pancierz obojętności i rezerwy. - Zawiadomiłam policję o zniknięciu siostry i na tym zamierzam poprzestać. Nie chcę, żeby ją śledzono czy sprowadzano siłą.

John wzruszył ramionami.

- To mogłoby po prostu przyśpieszyć jej odnalezienie - zauważyła rzeczowo.

- Nie.

Po prostu „nie”. Bez wyjątków, bez próby uzasadnienia.

- Siostra mieszka razem z panią? Nie przypominam sobie, żeby ją kiedyś widział w naszym sąsiedztwie.

- Ma własne mieszkanie na osiedlu Pines, w dolnym Montrose. - Mówiąc to, rzuciła mu szybkie spojrzenie, po czym spuściła oczy. Dolne Montrose dzieliła od ich osiedla ogromna odległość, mierzona nie kilometrami, lecz poziomem zamieszkania. Nie była to szacowna dzielnica Houston. - Pracuje tam... w sąsiedztwie Galerii.

John odczekał chwilę, nim zapytał:

- Sądzi pan, że mogło być spotkanie coś złego? Rzuciła mu ostre spojrzenie.

- Skąd przyszło to panu do głowy?
- Wygląda pani na bardzo zaniepokojoną.
- A pan nie byłby zaniepokojony, gdyby pana siostra zniknęła bez słowa?

Bolesny skurcz serca na chwilę odebrał mu głos. Nie ma siostry. Już nie ma. Póki Beverly żyła, nie zdawał sobie sprawy, jak wiele dla niego znaczy. Dziś wiele by dał, żeby cofnąć czas i zmienić przeszłość, okazując jej takie samo przywiązanie, jakim Elizabeth najwidoczniej darzyła swoją siostrę. Z wysiłkiem odpodził smutnym li.

- Gdybym miał siostrę, która właśnie skończyła dwadzieścia osiem lat, uznałbym, że jest wystarczająco dorosła, by decydować o swoim losie - oświadczył. Twarz Elizabeth złagodniała.

- Chyba ma pan rację, tylko że April jest... mało odpowiedzialna jak na swój wiek.

- A kto, mając dwadzieścia kilka lat, jest naprawdę odpowiedzialny? Może po trzydziestce... raczej po czterdziestce, ale wcześniej? - Z powątpiewaniem potrząsnął głową. - Nie sądzę.

Elizabeth najęła się.

- Ja - rzuciła. - Mam dwadzieścia osiem lat i jestem w pełni odpowiedzialna.

Zmierzył ją wzrokiem i uznał, że chyba nie przesadziła. Dopiero teraz zauważył utajone w głębi jej zachwycających oczu i w kącikach ust napięcie. Pewnie już jako omiotanka była za siebie odpowiedzialna, a co dopiero dziś! Ale dlaczego? Jakie nikomu prócz niej nieznane demony kryła w sobie przeszłość tej pięknej kobiety?

- Oczywiście - rzekł w końcu. - Łatwo się tego domyślić, widząc, jak bardzo jest pani niespokojna o... - Zawiesił głos, czekając, by podpowiedziała imi siostry.

- April - rzekła niechętnie. - April Benoit. A ja mam na imię Elizabeth.

- Jestem John Mallory.

Po wzajemnej prezentacji się Elizabeth zrobiła jeszcze bardziej oficjalna. Zapadło niezręczne milczenie. Wreszcie odezwała się chłodnym, pełnym rezerwy tonem:

- Najmocniej przepraszam, nie powinnam była obarczać pana moimi osobistymi kłopotami. To wszystko ze zdenerwowania.

Zapewniam pana, że na ogół nie mam zwyczaju zwierzać się obcym osobom.

- Nie musi pani przepraszać - odparł. - Chciałbym się tylko zająć tą sprawą.

Oczy Elizabeth zaczęły się gwałtownie zaskładać.

- Ale nie, proszę, tak nie myśl. Wcale mi o to nie chodziło.

- Wiem - odparł. - Niemniej chciałbym się przyjąć panią z pomocą. To naprawdę żadna fatyga. Mogę przeprowadzić wstępne dochodzenie, którym wydział poszukiwania zaginionych nie będzie skłonny podjąć się zająć. Jeśli w ogóle zechce sobie zawracać tym głowę.

- Doceniam pańską uprzejmość, ale... - Elizabeth podniosła się z ławki, odruchowo wygładzając kostium, jakby poprawiała chroniący ją przed zewnętrznym wiatrem pancerz - nie mogła prosić o coś takiego.

John też wstał. Był wysokim mężczyzną, miał dobre metryki osiemdziesiąt pięć wzrostu, ale jego oczy znajdowały się niewiele niżej niż jego.

- O nic mnie pani nie prosiła. To ja chciałbym pani pomóc. Przybrała nieprzenikniony wyraz twarzy, ale nim to nastąpiło, zdążył wyczytać jej prawdziwe uczucia. Bardzo, wręcz rozpaczliwie potrzebowała czyjegoś wsparcia, ale jaki wewnętrzny opór nie pozwalał jej przyjąć ofiarowanej pomocy.

- Dziękuję, ale nie - powtórzyła jeszcze bardziej stanowczo. - Nie mogłabym się na to zgodzić.

Pod wpływem ciekawości pozwolił sobie na wyjtkowo jak na siebie natarczywość.

- To ja proponuję pani pomoc. Dlaczego nie chce jej pani przyjąć?

Splaszona, zamrugła rzęsami, które rzuciły cień na jej policzki. Po sekundzie znów podniosła oczy.

- Przepraszam, czy może pani odnajdzie - odrzekła nienaturalnie spokojnym głosem. - Proszę nie sędzi, że nie doceniam pańskiej uprzejmości, ale nie chcę naszymi kłopotami obciążać postronnych osób. Sama sobie z nimi poradzi. Jestem do tego przyzwyczajona.

Sposób, w jaki to powiedziała, na nowo zaintrygował Johna, budząc w nim ciekawość tego w nim policjanta.

- A są jakieś problemy? - zapytał. Spokojnie wytrzymała jego spojrzenie.

- Kto ich nie ma? - odpowiedziała pytaniem.

John nic nie odrzekł, czekaj c, a zaci y jej milczenie. Ludzie na ogół le znosz cisz . Cz sto dowiadywał si ciekawych rzeczy, kiedy zaczynali mówi tylko po to, by j zagłuszy . Elizabeth jednak nadal spokojnie patrzyła mu w oczy.

- Ma pani pewno , e siostra nie była w nic wpl tana? Zawahała si , ale tylko na ułamek sekundy.

- W ka dym razie nic mi o tym nie wiadomo - odparła. Po chwili wyci gn ła r k na po egnanie.

- Jeszcze raz dzi kuj , e zechciał mnie pan wysłucha . Nie b d panu wi cej zawraca głowy.

Uj ł jej dło , któr podała mu chłodnym gestem.

- Mam nadziej , e wszystko si wyja ni - powiedział równie neutralnym tonem.

U cisa li sobie r ce, po czym Elizabeth odwróciła si i odeszła, a John stał i patrzył za ni , dopóki nie znikn ła za rogiem.

Nie mogła przesta o nim my le . Siedziała nazajutrz rano przy biurku i wygl dała przez okno, nie mog c skupi my li na niczym prócz Johna i oferowanej przez niego pomocy. Odmowa nie przysła jej łatwo. W gruncie rzeczy bardzo pragn ła móc si na nim oprze , ale od tak dawna przywykła nikomu nie ufa , e niemal automatycznie powiedziała „nie”, mimo e z jego oczu wyzierała prawdziwa yczliwość i wyrozumiało .

Miał w sobie co , co budziło zaufanie. Mo e dlatego, e z takim spokojem słucał jej zwierze . No tak, ale jest przecie policjantem, to pewnie taki zawodowy nawyk. Po raz nie wiadomo który z niedowierzaniem potrz sn ła głów . Kiedy zdarzyło si jej po raz ostatni płaka w czyjej obecno ci? Kiedy w ogóle zdarzyło jej si płaka ?

Chyba straciłam rozum!

Skupiła uwag na sun cych w dole samochodach. Nerwowy, skł biony ruch na jezdni odpowiadał stanowi jej ducha. Jednego była pewna: nie ma nic za darmo. Kimkolwiek by si było. Od nikogo, a ju zwłaszcza od m czyzny, nie mo na oczekiwa , e ofiaruje ci pomoc, nie spodziewaj c si niczego w zamian. Elizabeth od dwunastego roku sama sobie radziła, maj c pod opiek matk i April, i najwa niejsze, czego si nauczyła, to by nigdy od nikogo nie oczekiwa bezinteresownej pomocy.

Wi c dlaczego zachowywał si tak, jakby naprawd chciał jej pomóc? Czy by był a tak dobry? Czy w ogóle s tacy ludzie?

Nie dalej jak tydzie temu widziała go przed domem, przechodz cego przez ulic w towarzystwie paroletniej dziewczynki, pewnie jego córki. Trzymał mała za r czk , najwidoczniej wybierali si do parku. Obserwuj c ich przez okno swego saloniku, Elizabeth ze ci ni tym gardłem pomy lała o swoich własnych dziecinnych spacerach z ojcem.

Póki ył, wydawał si jej cudotwórca i czarodziejem, chodz cym ideałem. Zapewniał onie i córkom luksusowe ycie, robił wra enie najbardziej kochaj cego, najwspanialszego m czyzny. Wymarzonego ojca i najczulszego m a. A nagle wszystko rozsypało si w gruzy.

Zadzwoił wewn trzny telefon i Elizabeth nacisn ła guzik, nadal patrz c na ulic , my l c o ojcu i swoim dzieci stwie.

- Przyszła Linda Tremont. - Elizabeth zdziwiła si , usłyszawszy zdenerwowanie w głosie sekretarki. Betty była osob , któr niewiele rzeczy potrafiło wytr ci z równowagi. - Nie była umówiona, prosiłam, eby poczekała, ale twierdzi, e to pilne. Jest okropnie przygn biona. Przyjmiesz j ?

Elizabeth stłumiła westchnienie. Wolałaby unikn tej rozmowy, dopóki ma głow zaprz tni t znikni ciem April, ale i tak nie da si tamtej sprawy odkłada w niesko czono .

- Przy lij j do mnie - powiedziała.

Po paru sekundach otworzyły si drzwi. Na widok id cej po dywanie w kierunku jej mahoniowego biurka kobiety Elizabeth pomy lała, e Linda wygl da, jakby od ich pierwszego spotkania przybyło jej dziesi lat. Zza okularów wyzierały zgn bione, podkr one oczy, a usta miała zaci ni te. Tak e jej ruchy i postawa znamionowały napi cie i niepewno .

Usiadła nerwowo na brze ku jednego z dwu stoj cych przed biurkiem foteli.

- Czy pani raport jest ju gotowy? Musz wiedzie , co si dzieje - zacz ła bez adnych wst pów. - Miałam w tym tygodniu kolejn wizyt zaniepokojonego klienta. Rozeszła si wiadomo , e przeciwko Tony'emu prowadzi si dochodzenie...

- Droga pani...

- Prosz mi mówi Linda. Skoro czeka mnie zła wiadomość, wolałabym ją usłyszeć w moim liście najmniej oficjalnej formie.

Linda robiła wrażenie osoby na skraju nerwowego załamania, toteż Elizabeth patrzyła na nią z głębokim współczuciem. Zdecydowanie polubiła tę kobietę, zresztą dobrze rozumiała jej zdenerwowanie.

- Nie, raport nie jest jeszcze skończony - odparła łagodnie. - Wykonałam już wszystkie czynności, ale brakuje niektórych szczegółów, jak na pewno dobrze rozumiesz, nie wolno mi ujawniać.

- Przecież to ty pierwsza zwróciłaś się do mnie! Dlaczego teraz nie chcesz mi powiedzieć, co się dzieje?

- Skontaktowałam się z tobą, ponieważ potrzebne mi były rejestry kasowe, i jestem bardzo wdzięczna za pomoc i współpracę. Nie wolno mi jednak ujawniać wyników kontroli. Bardzo mi przykro, Lindo, ale takie są zasady, jakimi kieruję się w pracy.

- Nie musisz wchodzić w szczegóły - upierała się Linda. - Ale proszę... Muszę przynajmniej w przybliżeniu wiedzieć, na czym stoję, nie tylko ze względu na mnie, ale moich klientów. Czy... czy Tony'emu coś grozi?

Elizabeth sięgnęła po stojącą na biurku szklankę i małymi łykami zaczęła popijać wodę, zastanawiając się, co może, a czego nie może Lindzie wyjawiać. Musi się liczyć z każdym słowem.

- Czy wiesz, co określa się mianem „karuzeli inwestycyjnej?” - zapytała ostro.

- Oczywiście. To proceder polegający na namawianiu klientów do nabywania i sprzedawania akcji tylko po to, aby cię z nich prowizja. - Nagle przestraszyła się. - Chcesz powiedzieć, że Tony nabijał prowizję?

Elizabeth milczała. Kontrole etyczne - skarbowe z natury rzeczy nie mogły być całkowicie utajnione, choćby z uwagi na długi i skomplikowany proces docierania do prawdy. Ona jednak trzymała się w tym względzie własnych, surowych zasad. I tak ujawniła Lindzie Tremontowi, nie miała w zwyczaju.

Ta jednak, uznawszy - nie bez przyczyny - milczenie Elizabeth za odpowiedź, zdjęła okulary i rozcierając palcami grzbiet nosa, z oczami wbitymi w ziemię spytała:

- Ile z tego miał?

- Tego nie wolno mi zdradzić.

- Tysi ce? A mo e miliony?! - zawołała. - Chciałabym mieć chociaż najogólniejsze wyobrażenie.

Elizabeth spuściła oczy i po chwili znów je podniosła.

- Kiedy mamy do czynienia z podbijaniem prowizji, chociaż nie twierdzę, że tak jest w tym przypadku, w grę wchodzi na ogół sumy rzędu milionów, a nie tysiący dolarów.

- O Boże! - Linda aż się zachłysnęła. - To... to... po prostu nie do

si go usprawiedliwi , wyznała, e Tony podczas studiów uprawiał sportowo gr w bryd a, a po uzyskaniu dyplomu w dziedzinie zarz dzania i finansów wykorzystywał kontakty nawi zane przy bryd owym stoliku i w studenckiej korporacji, nakłaniaj c znajomych oraz ich krewnych do nawi zania współpracy z rodzinn firm maklersko - konsultingow Masterson Investments.

Aby nast pnie, jak Elizabeth zd yła si zorientowa , nabija ich w butelk .

- Musz si jeszcze raz spotka z Tonym dla wyja nienia paru szczegółów - oznajmiła Elizabeth. - Czy jest w mie cie?

Linda przygryzła wargi.

- Pojechał na tydzie do Europy, ale w pi tek b dzie z powrotem. Musiał wyst pi na wa nej konferencji. - Po krótkim milczeniu spytała: - Czy skontaktowała si ju z kontrol skarbow ?

- Nie przekazałam im jeszcze ostatecznego raportu, bo nie jest gotowy. Po l im cało , kiedy sko cz , a wtedy rozpocz n oficjalne dochodzenie, wyznaczaj c własnego prawnika, który wszystko dokładnie oceni.

Elizabeth z zasady unikała udzielania porad, lecz Linda Tremont budziła wyj tkowe współczucie, wi c postanowiła przyj jej z pomoc . Pochyliła si ku niej przez biurko i dodała:

- Na twoim miejscu zatrudniłabym dobrego adwokata. Leo Stevens jest wietny. Pracuje u Bakera i Tornago. - Linda pobladła. Wydawało si , e zaraz zemdleje. - Je li wolisz, jestem gotowa sama do niego zadzwoni - ci gn ła Elizabeth. - Mog was umówi i...

- Nie! - zawołała Linda, gwałtownie kr c c głów . Zaraz si jednak zreflektowała. - Ja... sama do niego zadzwoni . Jestem... jestem ci bardzo wdzi czna, ale sama musz si tym zaj . Zrozum mnie.

- Ale rozumiem.

- Kiedy raport b dzie gotowy?

- Za jakie dwa tygodnie. Pracuj nad nim głównie w domu. W domu lepiej mog si skupi ni tutaj.

Linda wstała i z oci ganiem ruszyła w kierunku wyj cia. Przed drzwiami odwróciła si .

- Nie mo na by tego przyspieszy ? - spytała. - Im szybciej ta sprawa si wyja ni, tym b dzie lepiej. Dla wszystkich.

Elizabeth zastanawiała się. Zaprzętniła zniknięciem April z trudem nadążała za bieżącymi sprawami, a co dopiero mówi o szybszym ich załatwianiu.

- To bardzo ważne, inaczej bym nie naciskała.

- Nic nie szkodzi - rzekła na koniec Elizabeth. - Chodzi o to, że... mam akurat rodzinne zmartwienie i jestem nim bardzo zaabsorbowana.

- Współczuj. Mam nadzieję, że to nic poważnego. - Linda stała koło drzwi, najwyraźniej oczekując informacji.

- Moja siostra zaginęła - wyznała Elizabeth. - W niedzielę obchodziłyśmy moje urodziny, a w poniedziałek rano zniknęła bez śladu. Razem z moim samochodem. Nie widziałam jej od tamtej pory.

Zapadło kłopotliwe milczenie. Wreszcie Linda odezwała się cicho:

- To naprawdę bardzo przykre. Nie domyślasz się, gdzie się podziała?

- Nie mam pojęcia. Zawiadomiłam policję o jej zaginięciu. To wszystko, co mogę zrobić.

Twarz Lindy zmieniła się. Elizabeth nie potrafiła odgadnąć, co dokładnie wyrażała, lecz był w niej na pewno przynajmniej cień niezadowolenia.

- Zawiadomiła policję? - powtórzyła jak echo.

- Tak, zgłosiłam meldunek o zaginięciu. To wszystko, co mogę zrobić.

- Oczywiście. Ale nie martw się. Siostra na pewno się odnajdzie.

- Po sekundzie dodała: - Proszę, daj mi znać, kiedy raport będzie gotowy. - To mówiła, Linda wyszła z pokoju, ostro nie zamykając za sobą drzwi.

Mam się „nie martwi”? To mi dopiero rada! Jak mam się nie martwić zniknięciem siostry, nawet jeżeli ta znika nie po raz pierwszy?

Elizabeth obróciła się z fotelem ku oknu i znów wyjrzała na ulicę, wracając do poprzednich myśli. John Mallory. Piwne oczy, zdecydowanie zarysowany podbródek, szczupłe mocne ciało, zdolne dać sobie radę z najtrudniejszym wyzwaniem.

Znała go z widzenia. Pewnego razu, będąc u Elizabeth z wizytą, April zapytała, kim jest ten „kowboj” z domu na końcu osiedla. Elizabeth wyjrzała przez okno i rozpoznała znajomą postać w hialei

wykrochmalonej koszuli i wysokich kowbojskich butach na podwyszonych obcasach. Wielu Teksasczyków ubiera się w ten sposób, jest to niemal rodzaj teksaskiego munduru, który jednak na nim wyglądał wręcz rewelacyjnie. Z niezrozumiałych dla siebie powodów Elizabeth udała wtedy, że nie wie, o kogo April pyta.

Choć w rzeczywistości ci wietnie wiedziała, a co więcej, ku własnemu zdziwieniu, jej to ciekawiło, kim może być ten wysoki mężczyzna w wyczyszczonych do połysku butach.

Na ogół nie zwracała na mężczyznę uwagi. Po skończeniu studiów przeżyła jeden powalający romans, z którego nic nie wyszło. Przez prawie pół roku spotykała się regularnie z kolegą prawnikiem Jackiem Montgomerym. Jack chciał jednak założyć rodzinę, więc nie pracując on, która zawsze czekałaby na niego w domu, a dla niej taka propozycja była nie do przyjęcia. Kiedy mu wyznała, że nie czuje się stworzona do tego, by być on i matką, Jack po prostu przestał do niej dzwonić.

Między innymi dlatego odrzuciła propozycję Johna. To, że się przed nim rozkleiła i wyśpowiadała, było niewłaściwe, ale w końcu do odrobienia. Natomiast wszelkie dalsze kontakty groziłyby zbyt dużym zaangażowaniem, a tego Elizabeth bynajmniej sobie nie życzyła. Przynajmniej na razie.

Było już po szóstej, kiedy John pchnął ciężkie szklane drzwi prowadzące do holu wieńcowca, w którym mieściła się Firma Konsultingowa E. Benoit. Spodziewał się, że drzwi wejściowe mogą być zamknięte, a tymczasem otworzyły się cicho i bez opora. Wiedział, że Elizabeth pracuje do późna - wiatła w jej mieszkaniu nigdy nie zapalały się przed siódmą, a nawet ósmą wieczorem - nie przypuszczał jednak, by cały budynek mógł być nadal otwarty o tak późnej porze.

Siedząca w recepcji ciemnowłosa Latynoska spojrzała na niego pytająco. Chyba jej minęło, należało mu odpowiedni kart magnetyczny, dopasowany do wieszaka na cianie czytnika. W budynku mieściło się wiele prywatnych firm.

- Czym mogę służyć? - zapytała uprzejmie recepcjonistka.

Zamiast pokazać policyjną odznakę, obdarzył ją miłym uśmiechem.

- Jestem znajomym pani Benoit, która prowadzi w tym gmachu biuro konsultingowe. Nie orientuje się pani, czy jest jeszcze na miejscu?

- Zaraz sprawdz .

Po chwili z wyrazem rozczarowania na twarzy odło ła słuchawk .

- Niestety, biuro jest ju chyba nieczynne. Nikt nie podnosi słuchawki. - Recepcjonistka zafrasowała si , lecz po chwili strzeliła palcami. - Wie pan co? Mogła pój na dół po wiczy w siłowni. Kto ze rodka musiałby pana wpu ci , ale zawsze warto spróbowa .

- Doskonale, bardzo pani dzi kuj . - Odwrócił si i odszedł bezgło nie po puszystym dywanie.

Co ja tu u diabła robi ? - zastanawiał si , stoj c przed wind . Kiedy w ci gu dnia zadzwonił z biura do informacji, by zapyta o biurowy numer Elizabeth, miał cich nadziej , e nie b d go mieli w rejestrze. Otrzymał jednak dany numer, wobec czego zatelefonował do sekretarki i w ten sposób poznał adres biura. Nie wiedział wprawdzie, czym dokładnie Elizabeth si zajmuje, wygl dała jednak na osob lubi c porz dnie podliczone kolumny cyfr.

Po tych telefonach odło ył spraw na pó niej, zaj ł si codzienn prac , a pod wieczór wyruszył do domu, zamierzaj c szybko co przegry i wróci z powrotem do komisariatu. Marshy udało si w ko cu storpedowa jego dzisiejsze widzenie si z Lis , postanowił wi c po wi ci wolny wieczór na pozbycie si zaległej papierkowej roboty. Chciał te odreagowa zło na był on . Tymczasem mniej wi cej w połowie drogi do domu niespodziewanie skierował sw półci arówk ku zachodniej dzielnicy miasta.

Tak si tutaj znalazł.

Zad wi czała winda, otworzyły si drzwi i wszedł do rodka. Nie rozumiał, dlaczego Elizabeth odrzuciła jego propozycj , był jednak przekonany, e zrobiła to wbrew własnej ch ci.

Par minut pó niej wszedł w podziemny korytarz prowadz cy do sali wicze . Widywał ju wiele ekskluzywnych siłowni przeznaczonych dla profesjonalistów i wy szego personelu biur, tote wiedział mniej wi cej, czego si spodziewa . Biały dywan, l ni ce chromy, bezalkoholowy bar z sokami w rogu sali. Przy wej ciu urz dowala zwykle wystrzałowa panienska, na której widok oczy wychodziły człowiekowi z orbit.

W chwili kiedy si zbli ał, siłowni opuszczał akurat m czyzna w granatowym dresie, który uprzejmie przytrzymał mu drzwi. John

podzi kował mu skinieniem głowy i wszedł do rodka. Tu czekało go zaskoczenie.

Zamiast eleganckiej siłowni zobaczył wielk nag hal z cementow posadzk i lustrzanymi cianami. Na ró nych przyrz dach wiczyły cztery, mo e pi osób. Wzrok Johna zatrzymał si na Elizabeth. Z wyci gni tymi wysoko nad głow r kami wiczyła rozci ganie, przebieraj c miarowo swymi niezwykle długimi, kształtnymi nogami.

Zapatrzył si w ni z przyjemno ci . Nie nosiła wymy lnego stroju gimnastycznego ani pantofli do wicze za dwie cie dolarów. Miała na sobie znoszone adidas, stare czarne szorty i wystrz piony, rozci gni ty podkoszulek z obci tymi r kawami, spod którego wystawał zwyczajny bawełniany top do joggingu. Zsuni ta z czoła wyblakła opaska przytrzymała rozwichrzone kosmyki wymykaj ce si spod gumki, któr ci gn ła włosy na karku.

Była najbardziej seksown kobiet w tej sali.

Kiedy ich spojrzenia spotkały si w lustrze, John dostrzegł w jej oczach najpierw zdziwienie, a potem irytacj . Zeskoczyła z przyrz du, chwyciła r cznik i podeszła do niego.

- No prosz , detektyw Mallory! - powiedziała. - Przyszedł pan do mnie, czy eby zapisa si do klubu?

Chwil rozgl dał si po sali, zanim zdecydował si spojrze jej z powrotem w oczy. Potrzebował nieco czasu, by doprowadzi swój puls do mniej wi cej normalnego stanu, w ka dym razie poni ej stu pi dziesi ciu uderze na sekund . Kształty obleczone gimnastycznym strojem były nie mniej imponuj ce ni podziwiane przed chwil nogi. Wzi wszy gł boki oddech, zwrócił si do Elizabeth z prawie swobodnym u miechem na twarzy:

- Raczej nie - odparł. - Nie wygl da lepiej ni policyjna siłownia.

- Wła ciciel budynku woli inwestowa w pomieszczenia reprezentacyjne. Głównie biura. I bardzo dobrze. Tutaj liczy si skutek.

- Wła nie widz .

John był przekonany, e zrozumiała komplement, lecz nie dała tego po sobie pozna . Najwidoczniej nie wiedziała, jak zareagowa .

- Jak mnie pan tutaj znalazł? - zapytała.

- W biurze nikt nie odbierał telefonu. Recepcjonistka poradziła mi, ebym zajrzał do siłowni.

- A skąd pan wiedział, gdzie pracuję ?

Była bez wątpienia osobą ostro n . John rozbrajał cym gestem rozłożyła ręce.

- Zapomniała pani, że jestem policjantem? Zdobywanie informacji to moja specjalność - wyjął z uśmiechem. - A tak naprawdę, to podczas naszej rozmowy przy skrzynkach pocztowych miała pani z sobą firmoweteczki na akta. Zapamiętałem wydrukowaną na okładce nazwę firmy.

Trochę się odprężyła, ale nie do końca. Przypomniała Johnowi pewnego dzikiego kota, który lubił się wałęsać w pobliżu komisariatu. Miał czarne i niebieskie futerko, baczne spojrzenie i napięte ciało, gotowe w każdej chwili uskoczyć w bok.

Znowu dłuższą chwilę mierzyli się wzrokiem. Nagle w jej oczach błysnęła strach, a dłoń powdrowała do gardła.

- Boże! - wyszeptała. - Czy to ma coś wspólnego z April? Przyszedł pan powiedzieć, że znalazła jej ciało albo coś podobnego?

Poczuł dla niej współczucie. Szybko pokręcił głową.

- Nie, nie. Nic takiego się nie stało. Oddechnął jej bokiem, z widoczną ulgą.

- Ale przyszedłem z powodu pani siostry. Jej napięcie wróciło.

- Od naszej ostatniej rozmowy sprawdziłem parę rzeczy.

- Po tym, jak powiedziałam, że sobie tego nie życzy. Z wyrazem skruchy zwiesił głowę.

- Tak, po tym.

Wbrew jego oczekiwaniom nie zgromiła go ani nie zaczęła czynić wyrzutów, tylko zmierzyła uważnym spojrzeniem, z którego nic nie umiał wyczytać.

- I co? - zapytała.

- Zastanawiałem się - odparł, patrząc jej bokiem w oczy - dlaczego nie powiedziała mi pani, że siostra jest striptizerką.

Rozdział 3

Czuła, jak na jej twarz i szyję wystąpiła z wolna palca rumieniec.

- Nie podoba mi się to określenie - zaprotestowała ostro. - April uprawia taniec egzotyczny. Zresztą, to i tak niepańska sprawa. Dzi rano ponownie zadzwoniłam na policję i sprawa znajduje się już we władaniach rękach.

- Nie chciałem pani urazić ...

- Wcale nie czuję się urażona. Po prostu nie lubię, kiedy ludzie myślą tancerki ze striptizerkami. Jedno lewytę słowo zwykle pociąga za sobą całą łąkę pomyłek, prowadzących nieodmiennie do postępowania o prostytutkę.

- Czy pani siostra uprawia prostytutkę ?

Elizabeth zaniemówiła z oburzenia. Bez słowa zakryła się na pięcie i w ciekłym, zamaszystym krokiem ruszyła w kierunku pryszniców. Nim jednak dotarła do celu, John zastąpił jej drogę i powstrzymującym gestem położył rękę na jej ramieniu. Opuściła wzrok na jego dłoń, cofając się jednocześnie o krok.

- Proszę trzymać ręce przy sobie! Niech się pan stąd wynosi! Natychmiast!

- Ja naprawdę chcę tylko pomóc pani z pomocą - wyjął najłagodniej, jak potrafił.

Zobaczyła, że patrzy na nią z tym samym wyzłościwym zatroskaniem, jakie dostrzegła w jego oczach podczas pierwszej rozmowy koło skrzynek pocztowych, i serce zaczęło jej mięknieć. Przypomniła sobie jednak własne rozmyślanie sprzed paru godzin i postanowiła nie ulegać łatwym emocjom.

- To ma być pomoc? Nazywanie mojej siostry prostytutką ?

- Wcale jej tak nie nazywałem - zaprotestował. - Chciałem tylko ustalić prawdę, która... może mieć związek z jej zniknięciem.

Elizabeth zacisnęła wargi, a jej dłonie zwinęły się w pięści.

- April zarabia na życie takcem - wyrzuciła z siebie, mierząc go piorunującym spojrzeniem. -

Elizabeth nie była w stanie nic powiedzieć. Gdy John po chwili się odezwał, niski tembr jego głosu sprawił, że po jej plecach i ramionach przebiegł lekki dreszcz.

- Prosz mi wybaczyć, jeśli bywam nietaktowny - powiedział - ale jeśli chce pani odnaleźć siostrę, ja naprawdę chętnie pomogę. Jestem uczciwym policjantem, proszę mi wierzyć.

- Słyszałam już takie zapewnienia.

- Jeśli nawet, to nie ode mnie.

Czuła jeszcze wewnątrz opór, lecz gdzieś w głębi jej serca zapaliła się iskierka - może intuicyjnego zaufania? Nie łudziła się, skarciła się natychmiast w duchu. Mylisz tak, ponieważ bardzo chcesz mu uwierzyć.

Jednak i w spojrzeniu Johna było coś, co bardzo przypominało szczerą. Ostatecznie co się takiego stanie, jeśli spróbuję skorzystać z jego pomocy?

John domyślił się, że Elizabeth toczy wewnątrz trzęsawki.

- Niech się pani ubierze - zaproponował. - Zaczekam na panią, a potem pójdziemy do baru na rogu i porozmawiamy. Pewnie nie pani jadła.

- Rzeczywiście, ale...

- Prosz się ubrać - powtórzył łagodnie, choć stanowczo. - Chciałbym się z panią rozmówić, a za godzinę muszę być z powrotem w komisariacie. Jechałem do domu, żeby coś przegryźć, a tymczasem wylądowałem tutaj.

O pustym ołdkiem nie będzie miał siły stawić czoła centrali. - A kiedy Elizabeth nadal się wahała, z lekkim rozbawieniem dodał: - Ostatecznie zjedzenie razem kanapki to jeszcze nie zobowiązanie na całe życie! Kolejny raz popatrzyła mu w oczy.

- No dobrze - rzekła w końcu. - Ale ubieranie się zajmie mi trochę czasu.

- Jestem cierpliwy.

Odwróciła się i poszła do szatni. Pospiesznie wzięła prysznic i narzuciła ubranie. Dopiero stojąc przed lustrem, zdała sobie sprawę, że wyjątkowo starannie robi makijaż. Zła na siebie wrzuciła tubkę tuszu do torebki i szybko ją zatrzasnęła. W dwie minuty później opuściła razem z Johnem budynek. W jej głowie dźwięczały ostrzegawcze sygnały, lecz udawała, że ich nie słyszy.

Pod ali w kierunku niewielkiego baru szybkiej obsługi. Mimo zapadaj cego zmięchu powietrze było nadal upalne i parne. Na ulicy panował wci du y ruch, a samochodowe wyziewy dodatkowo powi kszały duchot . Elizabeth z prawdziw ulg weszła do klimatyzowanego wn trza baru.

Lokal był pusty. W gł bi pod cian znajdowało si sze nie zaj tych, oddzielonych przepierzeniami ló , a przy pozostałych stolikach te nikogo nie było. Zaj li lo przy ko cu ciany. Młoda dziewczyna, która podeszła do nich, by przyj zamówienie, miała tak min , jakby wołała si znajdowa gdziekolwiek b d , byle nie przed tym przykrytym kraciast serwet stolikiem.

Potem znikn ła na zapleczu, by natychmiast wróci , przynosz c zamówion kaw wraz z zapewnieniem, e kanapki zaraz b d gotowe. Po jej odej ciu John od razu przyst pił do rzeczy, wracaj c wprost do przerwane go w tku.

- Nie obchodzi mnie, w jaki sposób pani siostra zarabia na ycie, i niczego nie sugerowałem. O jej zawodzie wspomniałem tylko dlatego, e ró ni si nieco od zawodu przedszkolanki. Ludzie prowadz cy tego typu lokale to dosy szemrane towarzystwo.

- Wiem - przyznała z westchnieniem. - Wci j namawiam, eby z tym zerwała.

- Ale nie le si zarabia.

- Nie le jak na kogo , kto nie sko czył studiów ani nie zdobył konkretnego zawodu. April na razie nie ma wielkiego wyboru.

- Mimo e chciała jej pani pomóc.

Nie było to pytanie, lecz raczej stwierdzenie faktu.

- Tak - odparła, nie zwracaj c na to uwagi. - Jestem gotowa zrobi dla niej wszystko... co tylko zechce. Ale April potrafi by uparta. Nawet w dzieci stwie, kiedy były my sobie bardzo bliskie, zawsze chciała by inna, odr bna. Dostawała furii, kiedy matka próbowała nas ubiera w identyczne sukienki.

- To zrozumiałe.

- Dlaczego? - zdziwiła si Elizabeth. - Mnóstwo bli ni t ubiera si jednakowo.

- Co skłania do porówna , nie s dzi pani?

Przytakn ła ruchem głowy.

- Kto przy zdrowych zmysłach chciałby by porównywany z pani ? - powiedział cicho.

Przez moment patrzyli sobie w oczy, nim Elizabeth, rozbrojona komplementem, odwróciła spojrzenie i podniosła do ust filiżankę kawy.

- Jako małe dziewczynki byłyśmy bardzo do siebie podobne, ale teraz April stała się blondynką, jest szczuplejsza i...

- Rozjaśnia włosy?

- Tak, a poza tym robi trwałą i nosi dłuższe włosy. A także zielone szkła kontaktowe.

- Aby jak najbardziej się odróżnić? Elizabeth przytaknęła niechętnie.

- Nigdy nie myślałam o tym w ten sposób, ale pewnie ma pan rację.

Skinął głową, napił się kawy.

- Skąd pan wie? - spytała. - O tym, że jest tancerką.

- Podczas naszej poprzedniej rozmowy podała pani jej adres.

Czekała na dalsze wyjaśnienie, ale ponieważ się z nimi nie kwapił, spytała znowu:

- I co? Przeprowadził pan wywiad wśród siadów, czy jak?

Na twarzy Johna pojawił się tajemniczy uśmiech, a jego pełne wargi lekko się podniosły, wprowadzając Elizabeth w stan lekkiego oszołomienia.

- Nie może pani chyba wymagać, abym zdradzał moje zawodowe sekrety? - odparł pół żartem, zabawnie podnosząc brwi, ale zaraz stanowczo odmawiając odpowiedzi.

- Był pan w klubie?

- Jeszcze nie. Jutro się tam wybieram. Nadal pracuję w Esquire, czy tak?

Elizabeth skinęła głową. John szybko dowiadywał się rzeczy, o których nawet mu nie wspomniała.

- Od trzech lat - odparła. - Odkąd przenieśliśmy się do Houston.

Przez chwilę zbierała myśli, po czym z pewnym pośpiechem, nie dając sobie czasu na dalsze wahania, powtórzyła Johnowi swą rozmowę z Gregiem Lansingiem.

- Co mógł mi na myśli mówić, że się w coś wplątała? - zapytał.

- Nie mam pojęcia. - Wyczytawszy z jego oczu nieme pytanie, szybko dodała: - I z góry muszę panu wyjaśnić, że April nie jest narkomanką. Za nic nie wezmie nawet proszku od bóli głowy.

- Mo e jest komu winna pieni dze? Za miała si , ale był to miech niewesoły.

- Tylko mnie. Wobec przyjaciół jest bardzo hojna. Wszyscy jej znajomi wiedz , e je li kto znajdzie si w potrzebie, wystarczy poprosi April. Je eli sama nie ma pieni dzy, zwykle przychodzi z tym do mnie.

- Ma jakich wrogów?

Elizabeth wahała si chwil , po czym rzekła:

- Jest taka jedna, tancerka. Nazywa si Tracy Kensington. Nie znosi April, chocia April starała si z ni zaprzyja ni . Przed jej przyj ciem Tracy była pierwsz tancerk w klubie. Potem jej napiwki bardzo zmalały.

John pokiwał głow , po czym, nie zmieniaj c wyrazu twarzy, zadał Elizabeth pytanie, które powa nie wytr ciło j z równowagi:

- Wspomniała pani o przeprowadzce. Gdzie mieszkały cie przed przyjazdem do Houston?

Chocia powiedział to takim samym jak poprzednio, łagodnym i yczliwym tonem, Elizabeth nagle zdała sobie spraw , i w jego pytaniach nie ma adnej przypadkowo ci, e z elazn konsekwencj zmierzaj do jakiego jasno wytkni tego celu, słowem, e ma do czynienia z policjantem.

- W Dallas - odparła ostro nie, zastanawiaj c si , po co mu ta wiadomo .

- Tam te ta czyła?

- Tak.

- Gdzie?

Elizabeth zrobiło si sucho w ustach. Miała uczucie, e w gardle wyrasta jej kula wielko ci baseballowej piłki.

- W lokalu o nazwie „Pod ółt Ró ” - powiedziała z trudem.

- Długo tam wyst powała?

- Kilka lat. Chodziły my w Dallas do college’u, kiedy... kiedy zacz ła ta czy .

John zmru ył oczy i Elizabeth zrobiło si gor co. Odci gn ła palcami kołnierzyk bluzki, który nagle stał si za ciasny. Bo e drogi, pomy lała, jeszcze jedno pytanie, i wszystko mu wygam. Przed oczami zacz ły jej wirowa kolorowe płatki, wi c opu ciła powieki i wzi ła gł boki oddech.

Po chwili podniosła wzrok, starając się nie dać po sobie poznać, co się z nią dzieje. W sukurs przyszła jej kelnerka, podając zamówione kanapki.

On jednak coś zauważył.

- Ile się pani czuje? - zapytał po odejściu kobiety.

- Nie... wszystko w porządku - skłamała. - Po prostu nie mogę uwierzyć w jej zniknięcie. O niczym innym nie potrafię myśleć, chociaż mam mnóstwo biurek do pracy, a na dodatek ekstra zlecenie.

- Czym się pani właściwie zajmuje w tym swoim wielkim biurze?

Wdzięczna za to, że zmienił temat, opowiedziała mu trochę o swojej pracy, przedstawiając wersję, jak miała zawsze w pogotowiu na towarzyskie okazje. On jednak zadawał rzeczowe pytania i objawiał autentyczne zainteresowanie. Sama nie wiedząc kiedy, zaczęła mu mówić o sprawie Mastersona.

John nie mógł się nadziwić.

- To zdumiewające - skomentował. - Facet w czepku urodzony, mający pieniądze, znajomości, wpływy, słowem wszystko, a jeszcze nie może się powstrzymać, żeby nie okraść innych. Skąd się to bierze?

Elizabeth sięgnęła po serwetkę i wytarła usta.

- Nie wiem, czy to takie dziwne. Na wiecie jest pełno ludzi czekających tylko na okazję, żeby wykorzystać każdego, kto nie potrafi zadbać o własne interesy.

Rozmawiali jeszcze parę minut, po czym John poprosił o rachunek i mimo protestów Elizabeth uparł się zapłacić. Kiedy wyszli na parną ulicę, bluzka Elizabeth po paru krokach przywarła jej do pleców, a zbłąkany kosmyk włosów przykleił się do szyi. Podczas gdy jedli kolację, na niebie pojawiły się czarne burzowe chmury, zapowiadające zbliżającą się ulewę. Na chodniku zagrzechotała podana pierwszym podmuchem wiatru puszka po coca coli.

Po piesznie ruszyli w kierunku biurowca Elizabeth. Dotarli do głównego wejścia tuż przed deszczem. John zatrzymał Elizabeth przed drzwiami, kładąc jej rękę na ramieniu. Spojrzała na niego pytając co. Przewyszał ją wzrostem na tyle, że chcąc spojrzeć mu w twarz, musiała lekko zadrzeć głowę.

- Elizabeth, prosz mnie posłucha - powiedział. - Ch tnie zaczn działa , ale musz mie pani zgod . - Jego oczy patrzyły szczerze, szczer o brzmiała w jego głosie. - Decyzja nale y do pani.

Gdzie w górze przetoczył si huk grzmotu, a ona miała uczucie, jakby odbił si echem w jej ciele. Nie wiedziała, jak ma post pi .

- Nie chc ... sprawia panu kłopotu. Na pewno ma pan i bez tego dosy zaj cia, a zreszt ...

- Przede wszystkim nie lubi niepotrzebnie traci czasu - przerwał jej. - Prosz mówi , nie owijaj c niczego w bawełn . Nie jest pani pewna, czy mo na mi zaufa .

Dziwi pani , dlaczego obcy m czyzna, bo prawie si nie znamy, chce pani pomóc. Czy mam racj ? Nie mogła si dłu ej wykr ca .

- Tak - przyznała. - Jestem nieufna. Ale prosz tego nie bra do siebie. Taka ju jestem. ycie mnie tego nauczyło.

- Nie ma w tym nic złego - o wiadczył, jeszcze raz j zaskakuj c.
- W dzisiejszych czasach kobiety musz by bardzo ostro ne. Zreszt , ka dy z nas musi cholernie uwa a . Miała pani racj , wiat rzeczywi cie roi si od oszustów. - Urwał na chwil . - Ale co do mnie, to jestem urodzonym glin . Lubi składa do kupy rozsypane kawałki i szuka sensu tam, gdzie na pozór nic z niego nie zostało. I lubi pomaga ludziom. - Rozło ył r ce gestem, który ju wcze niej zd yła u niego zaobserwowa . - Ot, i tyle. Naprawd nie mam adnego ukrytego celu.

Patrzyła w jego dobre piwne oczy, nie wierz c ani jednemu słowu. Masz ukryty cel, my lała. We wszystkim, co robimy, tkwi jaki ukryty cel, nawet je li nie jeste my tego wiadomi. Cała rzecz w tym, czy cel jest dobry, czy te zły.

- Wiem, jak bardzo martwi si pani losem siostry i jak bardzo chce j odnale . Rozumiem, co pani czuje, lepiej ni si pani zdaje. - Jakby na potwierdzenie swych słów, wyci gn ł r k i lekko dotkn ł jej ramienia. Był to miły gest budz cy zaufanie, który j troch spłoszył, a zarazem przekonał, e mo na mu wierzy . - Ale je eli b dzie jej pani szuka na własn r k , najprawdopodobniej nic z tego nie wyjdzie, dopóki kto całkiem przypadkowo nie odnajdzie ciała.

- My li pan, e ona nie yje? - zapytała zdławionym z przestachu głosem.

- Nie wiem, ale je eli nie zaczniemy od razu energicznie działa , mo e si zdarzy , e nie dowiemy si niczego, dopóki... nie b dzie za pó no.

Mimo wszystko nadal nie mogła si zdecydowa . Czy ma mu zaufa , zaci gaj c tak wielki dług wdzi czno ci? No tak, przyszła refleksja, ale czy te w tpliwo ci maj jakikolwiek sens, skoro godz c si na rozmow z Johnem i odpowiadaj c na jego pytania, faktycznie podj ła ju decyzj ? Zdarzaj si problemy, z którymi niepodobna samodzielnie sobie poradzi , a znikni cie April na pewno mo na do nich zaliczy . Niemniej jaka cz stka jej duszy nadal stawiała opór.

Nie ufaj mu. Mo esz si sparzy . On zanadto ci si podoba...

- Je eli ja si nie wł cz - podj ł John - wydział zaginionych nie ruszy palcem w jej sprawie. Przykro mi to mówi - ci gn ł tonem ubolewania - ale prawda jest taka, e zagini cia kogo takiego jak April nie uznaj za wystarczaj co wa ne.

Jego słowa u wiadomiły Elizabeth bolesn prawd . Ma racj , pomy łała ze ci ni tym sercem, przypominaj c sobie, jak rozmawiała z ni urz dniczka, której zgłosiła znikni cie April. We wtorek rano powtórnie zadzwoniła na policj , domagaj c si wszcz cia poszukiwa , lecz odniosła wra enie, e nic z tego nie wyniknie. Po przyj ciu zgłoszenia urz dniczka poł czyła j z wydziałem kradzie y samochodów, a kiedy tam powiedziała, e samochód najprawdopodobniej zabrała jej siostra, urz dnik okazał jeszcze mniejsze zainteresowanie spraw ni jego poprzedniczka.

Co za przyniosły jej własne usiłowania? W ci gu czterech dni, jakie upłyn ły od znikni cia April, Elizabeth zadzwoniła do klubu, przeprowadziła rozmowy z s siadami April, wła cicielk domu i wszystkimi innymi osobami, które tylko przyszły jej do głowy, i... niczego si nie dowiedziała. Na osiedlu April rozwiesiła nawet kartki z pro b o kontakt, nikt jednak do niej nie zadzwonił. Jedyne, co jej pozostaje, to odda spraw w r ce Johna.

Opu ciła głow .

- No có - rzekła z wahaniem. - Chyba nic si nie stanie, je eli pan spróbuje si czego dowiedzie .

Natychmiast po ałowała swoich słów. W co ja si pakuj ?

- Zrobi wszystko, co b d mógł - obiecał, patrz c jej gł boko w oczy. - Nie b dzie pani ałowa swojej decyzji. Prosz mi wierzy .

W piątek wieczorem John zaparkował przy krawężniku i nie wysiadając z samochodu, patrzył przez chwilę na dom, w którym kiedyś mieszkał. Czerwone ceglane ściany połyskiwały matowo w promieniach zachodzącego słońca, krzewy azalii niedawno przyszyłyono. Dom znajdował się w eleganckiej dzielnicy, za eleganckiej i za drogiej jak na jego gust i możliwości, lecz Marsha uparła się, by w nim zamieszkać, dowodząc, że jej zarobki wystarczą na jego utrzymanie. Teraz mieszkała w domu sama z Lisą, korzystając do woli z finansowej pomocy ojca, odkąd John nie mógł przeciwko temu protestować.

Poprzedniego dnia był zdecydowany wyegzekwować prawo do widzenia z córką, ale Marsha zadzwoniła z samego rana i oddała słuchawkę Lisie. Okazało się, że była ona ani na jot nie zmieniła swych pierwotnych planów, a córeczka zaś skakała z radością o wizycie u fryzjera. John rzecz jasną nie miał serca pozbawiać małą niewinną przyjemności. Dla dziewczynki w jej wieku wypadek do salonu piwnoć był niewątpliwie atrakcyjniejszy niż perspektywa spędzenia kolacji z ojcem w taniej restauracji i spędzenia nocy u niego w domu na rozkładanym łóżku. W tej sytuacji Johnowi nie pozostało nic innego, jak się poddać.

Przyrzekł sobie jednak, że wobec tego przyjedzie po Lisę następnego dnia. Wprawdzie wczorajsza zmiana planów pozwoliła mu złapać Elizabeth w biurze, lecz niezadowolone pozostało. Nie miał ochoty czekać kolejny tydzień na spotkanie z własną córką.

Jego wzrok powędrował ku narożnemu oknu na piątym piętrze. Pokój Lisy. Za szybą połyskiwała lampka w kształcie Goofy'ego. Ulubiona lampka Lisy. Przywiezie to paskudztwo z zeszłorocznej wspólnej wycieczki do Disneylandu. Przez siedem dni byli nierozłączni i Johnowi chodziło wtedy po głowie, czy nie zrezygnować z powrotu. Był policjantem, wiedział jak zorganizować zniknięcie w taki sposób, aby nikt ich nie odnalazł. Toteż bardzo go kusiło, by porwać córkę, zaszyci gdzieś w cichej kalifornijskiej mieścinie, zmieni nazwisko i rozpocząć nowe życie. W rezultacie, rzecz jasną, niczego takiego nie zrobił, i to wcale nie przez wzgląd na uczucia Marshy, lecz ponieważ uznał, że jego córka zasługuje na lepszy los. Niezależnie od egocentryzmu i samolubstwa matki, Lisa ma prawo do obojga rodziców.

Wreszcie wysiadł z samochodu i skierował się ku domowi, wracając myślnie do kobiety, z którą wczoraj wieczorem jadł w barze kolację. Przed poznaniem Elizabeth zaliczał ją do tej samej kategorii kobiet co zawsze był on. Tylko dlatego, że obie odznaczały się wyjątkowym urodzeniem, uznał Elizabeth za podobną do Marshy egoistki. Poznawszy w życiu niemało pięknych kobiet, które uważały, że cały świat kręci się wokół nich, sądził, iż ma prawo podejrzewać o podobne przyzwyczajenia.

No i trafił jak kulą w płot.

Pukając do drzwi i czekając, aż się otworzą, nadal rozpamiętywał wczorajsze wieczorne rozmowy. Elizabeth ponad wszystko kochała siostrę; oddałaby wszystko, byle ją odnaleźć. Pokonała swój głębiący błąd zakorzeniony nieufnością, ponieważ uznała, że musi w tym celu skorzystać z jego pomocy.

Klamka zachrobotowała i uśmiech rozjaśnił twarz Johna.

Kiedy po niego przychodził, Lisa sama otwierała drzwi. Tym razem jednak na progu zobaczył Marshę.

Zdziwiła się na jego widok. Przez moment przypominała kobietę, w której kiedyś się zakochał. Była naprawdę piękna!

- To ty, John? Co cię sprowadza?

- Przyjechałem po Lisę. Zamiast wczoraj. Chcę trochę z nią pobylać.

- No wiesz! - powiedziała, kręcąc z niedowierzaniem głową. - Jesteś niemożliwy! - Johnowi wydało się, że słyszy w jej głosie ciepłe rozczulenie, ale uznał to za złudzenie. - Przecież od początku ci mówiłam, że Lisa idzie dzisiaj do koleżanki na urodzinowe przyjęcie. Dlatego musiałam ją wczoraj zaprowadzić do fryzjera. Najwidoczniej nie słuchała, co do ciebie mówi.

John wziął głęboki oddech, a następnie wypuścił powoli powietrze z płuc.

- Najwidoczniej - przyznał.

- Gdyby uważała, co mówi, nie dochodziłoby do takich nieporozumień.

Niewtpliwie miała rację. Co gorsza, tamtego dnia miał głowę zajęętą Elizabeth.

- No cóż, wobec tego muszę poczekać do przyszłego tygodnia - powiedział zrezygnowany.

Twą Marshę złagodniała.

- Jutro jedziemy od rana do Galveston - rzekła. - Jeśli chcesz, mógłby tam do nas dojechać i pobyć z Lisem.

Ojciec Marsha miał duży nadmorski will nad samym plażem. Rodzina przez całe lato jeździła tam na weekendy.

- Nie zdąży. Podczas weekendowego ruchu sam dojazd zabiera dwie godziny, a ja mam jutro dyżur.

Na wspomnienie jego zawodu Marsha nachmurzyła się. Zawsze miała mu za złe, że jest policjantem; zajęcie, które nie zaspokajało jej ambicji, nie mówił o jej potrzebach finansowych.

- Wiem, nie ma rady, będziesz musiał poczekać. I nie miej do mnie pretensji. Miała wybór.

Zmiana jej nastroju przywołała najgorsze wspomnienia. John tęsknił za nią.

- Rozumiem. Tylko bardzo proszę, żeby w następnym czwartku znowu coś nie wyskoczyło. Nie lubi tak długo jej nie widzieć.

Marsha od niechcenia kiwnęła głową, a John odwrócił się bez słowa. Drzwi zatrzasnęły się za jego plecami, nim zdążył zejść z werandy na chodnik.

Wróciwszy do samochodu, długo chwilę siedział za kierownicą, nie wiedząc, co z sobą począć. Jechać do domu? Po co? Będzie się tylko obijał i irytował. Zapalił silnik, zawrócił samochód i ruszył w kierunku Richmond. Po dziesięciu minutach wjechał na parking przed Esquire.

Znalazł wolne miejsce na parkingu, ale zamiast od razu wysiść, postanowił chwilę posiedzieć, żeby się rozejrzeć i uspokoić. Kiedyś tu pracował, kiedy był czymś zirytowany. Łatwo mógł wtedy przeoczyć jakiś istotny szczegół. Wziwszy kilka głębokich wdechów, przyjrzał się uważnie fasadzie klubu.

Budynek był otynkowany na biało i jasno oświetlony. Na pierwszy rzut oka niczym się nie różnił od eleganckich domów stojących wzdłuż River Oaks Boulevard. Ze swoją co najmniej dwudziestometrową, ozdobioną białymi kolumnkami fasadą do złudzenia przypominał miniaturę Tarrytown.

Pod kolumnadami widniały rozmieszczone w równych odstępach szerokie sklepione okna. Za oknami majaczyły sylwetki przechadzących się tam i z powrotem gości obu płci, którzy sprawiali wrażenie, jakby uczestniczyli w wytwornym przyjęciu. W sumie lokal robił całkiem nobliwe wrażenie, ale ostatecznie ka-

nocny klub stara si ę robi ę nobliwie wra ęnie - w ka ę dym razie po ciemku.

Kiedy po wyj ęciu z auta szedł przez parking ku drzwiom, wra ęnie bogactwa jeszcze si ę wzmogło. W ród stoj ęcych na parkingu samochodów przewa ęły europejskie marki: bmw, mercedesy, dostrzegł nawet par ę rolls - royce'ów. Jego sterana ęciem półci ę arówka stanowiła tu absolutny wyj ętek.

Na werandzie pod kolumnad ę stały grupki go ęci, w ród których zauwa ęył kilka twarzy cz ęsto pojawiaj ęcych si ę w prasie i mediach. Wielu m ęczyzn paliło kosztowne cygara, wydmuchuj ęc ku górze chmury niebieskawego dymu. miali si ę gło ęno i swobodnie. Na pierwszy rzut oka wida ę było, kim s ę ci wszyscy ludzie - nawet ci, których twarze były mu nie znane. Nale ęli niew ętpliwie do towarzyskiej mietanki Houston. Mieli pieni ędze i wpływy.

Przecisn ęł si ę do wn ętrza, gdzie natychmiast uderzyła go w twarz ostra wo ędrogich perfum, pomieszana z zapachem wyszukanych trunków. Tłum ludzi kł ębił si ę w rozległej sali, urz ędzonej na podobie ęstwo wej ęciowego holu eleganckiej prywatnej rezydencji. Z pomieszcze ę w gł ębi dobiegały d ęwi ki muzyki, niczym nie przypominaj ęcej ogłuszaj ęcego hałasu, jaki zwykle wita człowieka w przeci ętnym nocnym lokalu czy barze.

Umieszczony blisko drzwi na ęcianie dyskretny napis informował wchodz ęcych, ę wst ęp kosztuje pi ędziesi ęt dolarów i ę ka ędy go ma obowi ęzek kupi ę przynajmniej dwa drinki. Nim zd ęył si ę zdecydowa ę, jak przyj ęć rol ę - klienta czy policjanta - podeszła do niego młoda kobieta. Krótka czerwona sukienka, wysokie obcasy, długie blond włosy.

- Witamy w Esquire - powiedziała. - Czym mo ęemy panu dzisiaj słu ężyć ?

Było to, trzeba im przyzna ę, wyj ętkowo miłe podej ęcie do klienta.

- Na co miałby pan ochot ę? - podj ęła, widz ęc jego niezdecydowan ę min ę. - Mamy w klubie ró ęne rejony, które mo ęna sobie wybra ę, zale ęnie od nastroju. Co panu odpowiada? Ostra muzyka? A mo ęe co uspokajaj ęcego? Albo troch ę country lub rock and rolla? - Umiechała si ę zniewalaj ęco, muskaj ęc dłoni ę jego rami ę.

- Do koloru, do wyboru. Wszystko, czego pan zapragnie.

- Chciałbym zamieni ę słówko z panem Lansingiem - odparł uprzejmie. Postanowił zrezygnowa ę z pokazywania nolicvinei

odznaki. Nie była potrzebna. Odniósł wrażenie, że dziewczyna w lot pojął, co jest grane.

Leciutko ci gnęła brwi. Twarz na moment jej zastygła.

- Prosz chwileczkę poczeka - rzekła grzecznie, ale już bez wczesniej kokieterii. - Sprawdź tylko, czy jest w klubie.

Wycięgnęła rękę po słuchawkę stojącego opodal na barze telefonu. John był jednak szybszy. Z uprzejmym uśmiechem przytrzymał jej dłoń.

- Proponuję wspólny wycieczkę na zaplecze. Zrobimy mu niespodziankę.

- Pan Lansing nie lubi niespodzianek.

- Wielka szkoda. Prosz mnie po prostu zaprowadzić do jego biura.

Jej wahanie trwało najwyżej sekundę. Zrozumiała, że nie ma wyboru. Skinęła głową, ruszyła w głąb klubu. John szedł za nią, ale bez pośpiechu, zaglądając po drodze do kolejnych sal oferujących coraz to nowe atrakcje.

W końcu grano inny typ muzyki, wnetrza było odpowiednio urządzone. Pierwsza przypominała gabinet w bogatym domu. Wokół niskich drewnianych stołów porozstawiano giętkie, obite skórą fotele, a w powietrzu unosił się ten sam co na werandzie zapach kosztownych, zapewne importowanych, i to nielegalnie, cygar. Płynęła z głośników, nieznana Johnowi melodia, brzmiała łagodnie i uwodzicielsko.

Na niewielkim podium, umieszczonym blisko drzwi, odziana w cienką jak mgła, powiewną szatę dziewczyna poruszała się leniwie w takt muzyki. Oprócz przeźroczystej sukni miała na sobie jedynie wiskę przepaskę poniżej talii. Niektórzy mężczyźni obserwowali tancerkę, większość jednak zajęta była rozmową z dziewczynami. Zauważył ponadto, iż w pokoju znajduje się chyba tyle samo kobiet co mężczyzn.

W następnej sali grano rock and rolla, a jej urządzenie było typowe dla większości rockowych lokali. W głąbibi długi bar wzdłuż całej ściany, przy mione wiatła. Snujące się w powietrzu dymy miały tu mniej kosztowny aromat. Ściana za barem pokryta była lustrami, pozostałe zaś pomalowano na czarno. Sale wypełniały małe okrągłe stoliki, zdolne w sam raz pomieścić dwie szklanki z piwem i stopy tancerki w pantoflach na wysokim obcasie. Za dnia sala wyglądała niewnie

tandetnie i pretensjonalnie, teraz jednak a dyszała erotyzmem, głównie za spraw zajmuj cej rodek podium tancerki.

Jej wij ce si ciało przykuwało uwag . Okre lenie „poci gaj ca” nawet w cz stce nie mogło odda wra enia, jakie wywoływała. Za cały strój miała przepask na biodrach i przerzucon przez jedno rami chmur długich i jedwabistych, ogni cie rudych włosów. Poruszała si w idealnej zgodzie z rytmem i melodi dobrze Johnowi znanej starej piosenki Santany „Czarodziejka”. Dziewczyna spostrzegła, e si jej przypatruje, i obdarzyła go powłóczystym spojrzeniem.

Poczuł mimowolny dreszcz w całym ciele; ostatecznie miał w yłach krew, a nie wod . Dziewczyna musiała odgadn , co si z nim dzieje, bo u miechn wszy si szeroko, j ła owija si zmysłowym ruchem wokół stoj cego na rodku podium słupa. Oparta plecami o pod wietlon kolumn , pochyliła górn połow ciała a do podłogi, a jej rude włosy spłyn ły kaskad w dół. Chwil trwało, nim John wyrwał si z transu. W sztucznym wietle, stoj c na podium, robiła fascynuj ce wra enie, co mu jednak podpowiadało, e tancerka, podobnie jak całe pomieszczenie, nie najlepiej zniosłyby wiatło dnia.

Odwrócił si do swej blond przewodniczki, która obserwowała go od drzwi jadowym wzrokiem. Kiedy podszedł do niej, okr ciła si na pi cie i poszła dalej długim korytarzem. Min li jeszcze trzy inne sale. W jednej grano rap, w drugiej muzyk country, a w ostatniej zmysłowa odaliska wykonywała taniec brzucha przy akompaniamencie indyjskiego instrumentu zwanego sitar.

Blondynka zatrzymała si przed obitymi drewnem drzwiami i zapukała. Mimo huku muzyki musiała otrzyma ze rodka odpowied , której John nie dosłyszał, bo nacisn wszy mosi n klamk , otworzyła drzwi, po czym odsun ła si , robi c Johnowi przej cie. Usłyszał za sob trzask zamykanych drzwi i muzyka nagle ucichła.

Zobaczył przed sob masywne d bowe biurko, za którym na skórzanym fotelu siedział nie mniej masywny m czyzna. W mi sistych palcach trzymał zapalonego papierosa. Przymru one oczy patrzyły zimno spoza unosz cej si ku górze smu ki dymu. M czyzna miał długie jasne włosy zwi zane na karku w mysi ogon.

- Czy pan Greg Lansing? - odezwał si John. M czyzna zmierzył go wzrokiem.

- A kto pyta?

Była to odzywka jakby ywcem wyj ta z taniego kryminału. John wyci gn ł wreszcie swój odznak , otworzył j i pokazał, a nast pnie schował z powrotem do tylnej kieszeni.

- Detektyw Mallory - przedstawił si . - Z wydziału zabójstw miejskiej policji.

Zimne niebieskie oczy lekko zamrugały.

- Słucham, panie władzo. Czy co si stało?

- Nie, nic. Chc jedynie zada panu par pyta na temat jednej z pa skich tancerek, niejakiej April Benoit.

- Nie yje?

- Sk d takie przypuszczenie? Facet wzruszył ramionami.

- Skoro jest pan z wydziału zabójstw, a ona znikn ła, to chyba samo si narzuca - odrzekł.

John bez zaproszenia przysun ł sobie jedno ze stoj cych przed biurkiem krzesel. Kiedy siadaj c, lekko si pochylił, spod poły jego marynarki wychyn ła na moment kabura rewolweru.

- Nic mi nie wiadomo o jej mierci, natomiast prowadz ledztwo w sprawie jej zagini cia.

- Ja tam nic nie wiem - zniecierpliwionym tonem rzucił m czyzna. Pochylił si nad blatem i gwałtownie zdusił papierosa w obtłuczonej, kryształowej popielniczce. - Co panu powiem. Jestem akurat cholernie zaj ty, ale nawet gdybym miał wi cej czasu, i tak nic panu nie powiem, bo nie...

- Panie Lansing, po co mamy sobie nawzajem utrudnia ycie - odezwał si John łagodnym, pojednawczym tonem. - Pani Elizabeth powtórzyła mi wszystko, czego dowiedziała si od pana przez telefon, wi c przyszedłem tu, eby si dowiedzie , w co konkretnie April była zamieszana. Wystarczy powiedzie , co panu w tej sprawie wiadomo, a natychmiast sobie pójd .

- Nie wiem nic ponad to, co jej powiedziałem.

- Jako trudno mi w to uwierzy .

- Nic na to nie poradz . John pokr cił głow .

- Oj, to nie była m dra odpowied .

Siedz c po przeciwnych stronach biurka, wpatrywali si w siebie złym wzrokiem jak dwa naje one koty. Czy by utkn li w martwym punkcie? Ech, chyba nie. Lansing nie wygl dał na głupca; na pewno nie jest idiot , skoro prowadzony przez niego nocny klub najwidoczniej wietnie prosperuje. W Houston tego tvnu lokale.

ucz szczone przez zamocnionych klientów, muszę przynosić co wieczór tysiące dolarów. Lansing nie jest taki głupi, żeby popsuć sobie interesy, odsyłając gliniarza z kwitkiem.

- Proszę mówić - przyznał Lansing.

Zanim ten zdążył się odezwać, ktoś niespodziewanie otworzył drzwi i obaj odwrócili głowy. Na progu stała ta sama tancerka, która przed chwilą zwróciła uwagę Johna. Miała rację, pomyślał cynicznie. Choć jej uroda nadal robiła wielkie wrażenie, to jednak pewne oznaki wskazywały, iż wdzięki dziewczyny wkrótce zaczną wędrownie. Jeszcze parę lat, a blask oczu przygaśnie, oł nieważką cera zmatowieje. Zacznie się nieuchronne schodzenie w dół, do coraz mniej eleganckich lokali, w których występ nie najmłodsze kobiety, a w barach podaje się tańsze trunki.

Jednak póki co, prezentowała się bardzo dobrze. A nawet piekielnie dobrze. John nie oparł się pokusie zlustrowania jej wzrokiem od stóp do głów. Twarz otoczona burzą rudych włosów, wyraźnie zarysowane kości policzkowe, pełne zmysłowe wargi. Krótki szlafroczek frotte ukazywał długie i kształtne nogi w całej ich naderpniętej okazałości.

Lansing dokonał prezentacji.

- Detektyw Mallory, Tracy Kensington. Tracy, pan detektyw reprezentuje wydział zabójstw.

Twarz dziewczyny jakby się skurczyła, ponownie ukazując Johnowi, co ją wkrótce czeka. W kącikach ust pojawiły się dwie bruzdy.

- Od razu wiedziałam, że z pana gliniarz. To widać.

- Tracy! - Głos Lansinga brzmiał ostro.

Z rezygnacją podniosła obie ręce, po czym znów sięgnęła po szlafroka, zasłaniając piękny dekolt.

- Pan Mallory przyszedł w sprawie April.

- Znalazła ją? - spytała z nadzieją w głosie.

- A może pani mogłaby mi coś powiedzieć o jej zniknięciu? - zapytał John, nie odpowiadając na pytanie. - Słyszałem, że stosunki między panią i April były, delikatnie mówiąc, nie najlepsze.

- Kto panu nagadał takich rzeczy?! - wykrzyknęła i nie czekając na odpowiedź, wycedziła: - Ta jej siostrzyna to...

- Wyjdź! - przerwał jej Lansing. - I nie zapomnij zamknąć za sobą drzwi!

- Ale ja muszę z tobą ...

- Nie teraz.

Rzuciwszy Johnowi na odchodnym znaczące spojrzenie, dziewczyna opuściła gabinet, a wychodząc, z całej siły trzasnęła drzwiami.

John milcząc popatrzył na Lansinga, podnosząc obie brwi. Kierownik klubu wzruszeniem ramion zareagował na to milczące pytanie.

- O, zwyczajna zawodowa zazdrość - powiedział.

- Jak silna? Lansing pokręcił głową.

- Nie aż tak, jak pan myśli. Tracy nie zrobiłaby jej krzywdy. Bałaby się złamać sobie paznokcie.

- Jest pan tego pewien?

W oczach Lansinga pojawiły się złe błyski.

- Pani Mallory, kobiety to jadowite stworzenia. Niczego nie można być z nimi pewnym. - Wstał z biurka. - Nie chcę być niegrzeczny, ale mam cały klub na głowie, więc jeżeli to wszystko, co...

- Zaraz sobie pójdę, proszę mi tylko powiedzieć, jakie April miała kłopoty i co jej groziło - spokojnie odparł John, nie ruszając się z miejsca.

- Największym wrogiem April jest ona sama. Zdążyła wszystkim zaleźć za skórę, nawet barmankom, nie mówiąc już o Tracy. Wyjtkowo ci taki charakter, tak bym to nazwał. Chorobliwie zawistna.

- Ale panu to jako nie przeszkadzało. Lansing niepewnie popatrzył na Johna.

- Co pan ma na myśli?

- Parę miesięcy temu wpłacił pan za nią kaucję, kiedy została aresztowana. Za zakłócanie porządku publicznego po pijanemu.

Po rozmowie z Elizabeth John sprawdził kartotekę April. W ten sposób dowiedział się, gdzie mieszka i pracuje, a także o konfliktach z policją, o których Elizabeth najwidoczniej nie miała pojęcia.

Lansing machnął lekceważąco ręką.

- Ach, to nie było nic poważnego. Dziewczyny urządziły sobie przyjęcie. Więzi towały, bo jednej z nich udało się złapać jakiego głupka na małe stwo. No i trochę przeholowały. Wielka rzecz! Chciała to ukryć przed siostrą, więc jej pomogłem.

- Prosz mówić dalej.
- Nie mam nic więcej do powiedzenia.
- Jest bardzo piękna?
- Zdetronizowała Tracy. To chyba coś znaczy, no nie?
- Umiiała wykorzystać swoją przewagę?

Lansing oci gał się z odpowiedzi .

- April wie, jak ol n klientów, jeżeli o to panu chodzi. Ka demu może czy nie na sali wydaje się, że ta czy tylko dla niego. Niektórzy biorą to na serio i potem domagają się spełnienia obietnicy.

- Ma pan na myśli kogo konkretnego? Czy poza klubem spotykała się z którymś z klientów?

- W zasadzie jest to zabronione, ale dziewczęta bywają niezdyscyplinowane. Mogą się po kryjomu z kim spotykać. - Lansing okręcił biurko, niecierpliwie bębnił palcami o blat. - Bardzo przepraszam, ale muszę dopilnować interesu. O dziesięć tej spodziewamy się wizyty całego zjazdu komputerowców.

John wstał wolno z krzesła. Oczy obu mężczyzn znajdowały się niemal dokładnie na tym samym poziomie.

- Nadal nie wyjaśnił mi pan, jakie April miała ostatnio kłopoty. Te, o których wspomniał pan w rozmowie z jej siostrą.

Lansing zeszywniał.

- Czy to oficjalne przesłuchanie?
- Wystarczy coś oficjalne.
- Nie widziałem nakazu.

- Bo go nie mam - z całym spokojem owiadczył John. - Ale powiem jedno. Nie muszę mieć nakazu, aby skutecznie zatruć panu życie. Wystarczy jeden telefon do izby obrotu alkoholem, wydziału kontroli publicznych lokali albo urzędu skarbowego. - Wskazując ręką rozrywkowy lokal, dodał: - Obaj wiemy, jakiego fioła mają ci państwo obłąkani seksem biznesmeni. Byliby niepokieszeni, gdyby któregoś dnia zastali drzwi zamknięte. Facet nawet nie drgnął. John wyciągnął z kieszeni słuchawki wizytówek i rzucił je na biurko.

- Prosz zadzwonić, gdyby coś pan sobie przypomniał. Liczę na daleko idącą współpracę.

John odwrócił się, wyszedł z biura i zapukał do mrocznego korytarza. Zbliżył się właśnie do pierwszej sali, gdy nagle z ciemności wysunęła się czyjaś smukła dłoń, chwytając go za ramię. Podniósł oczy i zobaczył Tracy Kensington.

- Nic pan z niego nie wyci gn łą, no nie? John przyjrzał si dziewczynie.

- Pani si czego domy ła, tak?

- Nie domy lam si , tylko wiem - odparła. - A do tego wiem, dlaczego Greg udaje, e nie ma o niczym zielonego poj cia.

Rozdział 4

John przyjrzał się twarzy tancerki.

Z jednej z sal dobiegały ogłuszające dźwięki kolejnej piosenki; było to coś szybkiego i „mocnego”, o nie dajcież się rozróżnić słowach. W mrocznym i zadymionym, wypełnionym dziką muzyką korytarzu blask jej urody nie był już tak olniewający i John znowu pomyślał, że za kilka lat niewiele z niej zostanie.

- Słucham, mów - powiedział. Pokręciła głowę.

- O nie, panie władzo. Nie tak szybko. Nie jestem naiwna, znam się na tej zabawie. Nie ma nic za darmo.

- Ile?

- Po normalnych stawkach - odparła. - Ale nie tutaj. - Sięgnęła do kieszeni szlafroka i wyciągnęła wstępek papieru. - To mój domowy telefon. Niech pan zadzwoni. Umówimy się.

John wyciągnął dłoń, ale dziewczyna nie wypuściła kartki z ręki. Stali więc przez chwilę, połączeni trzymanym za dwa końce kawałkiem papieru.

- Przystojny z pana gość, nie ma co - powiedziała z uznaniem. - Do wzięcia?

Gdyby tydzień wcześniej nie kobieta tak seksowna jak Tracy zadała mu podobne pytanie, wychodziliby już razem z lokalu. Jednakże teraz, z jakiegoś dziwnego powodu, Johna ogarnęło niezdecydowanie. Pomiędzy nim a rudowłosą półnąg tancerką w mrocznym korytarzu zamajaczył ulotny obraz Elizabeth Benoit.

Szybko zamknął oczy, odpychając natrętny zjaw.

- To zależy - odparł.

- Od czego?

- Od tej, która zadała pytanie.

Umiechnęła się szeroko i przechyliła na bok głowę, wypuściła z ręki wizytówkę.

- Czekam na telefon, panie detektywie. Nie bój się, ałował, już się postaram.

Elizabeth szła przez podziemny parking, zmierzając w kierunku swego wynajętego samochodu. Stukot jej obcasów na wilgotnej cementowej podłodze odbijał się niesamowitym echem, ale ona nie zwracała na to uwagi. Była całkowicie zaprzęgnięta myśl o kolejnej bezowocnej rozmowie telefonicznej z urzędnikami z wydziału zaginionych. Przed chwilę dowiedziała się jedynie tego, że nadal

zajmuj się tą sprawą". Była ruda; od zniknięcia April upłynęło już półtora tygodnia, a policja nawet nie ruszyła w jej sprawie palcem.

Kontynuując marsz przez parking, miała uczucie, że za chwilę zacznie krzyczeć. Jak długo ma tolerować taki stan zawieszenia? Niepewność i niewiedza?

April, gdzie jesteś?

Podskoczyła nagle, słysząc za sobą jakiś hałas. Trzasnęły drzwi samochodu? A może ktoś upuścił coś na ziemi? Obejrzała się przez ramiona, badając wzrokiem tonące w półmroku zakamarki garażu, ale nigdzie niczego nie dostrzegła. Zbijcym niespokojnie sercem ruszyła dalej w kierunku swego samochodu. Zaczynam dostawać bzika, pomyślała.

Jazda przez uliczne korki nie poprawiła jej samopoczucia i w rezultacie dotarła do domu w stanie nerwowego roztrzęsienia. Zgrzana i spocona, zrzuciła szybko kostium, przebrała się w szorty i bawełnianą koszulkę. W momencie, gdy nalewała sobie wino, usłyszała dzwonek do drzwi. Odstawiwszy kieliszek, poszła je otworzyć.

Na progu stał John Mallory. Wyglądał wiecznie czysto w wyprasowanych dżinsach i niebiałej koszuli, która wręcz jaśniała w przedwieczornych promieniach słonecznych. Kiedy uśmiechnął się do niej spod rądków słomkowego kowbojskiego kapelusza, Elizabeth poczuła dziwne ciepło rozchodzące się od serca po całym ciele.

- Zobaczyłem, że pani wróciła. - Przyjrzał się uważnie jej twarzy.
- Mogę wejść na minutę? Chciałbym o coś zapytać.

- Ach tak, proszę - zreflektowała się, zaskoczona swoją reakcją. - Proszę, niech pan wejdzie. Wypij pan kieliszek wina? Właśnie sobie nalałam.

- Z przyjemnością.

Poszła do kuchni, nakazując sobie zachowanie spokoju. Rada poskutkowała, lecz tylko do momentu, gdy z dwoma kieliszkami w rękach weszła do saloniku i zobaczyła, że John stoi przed kominkiem, przypatrując się zdjęciu jej i April, zrobionym tu przed ich dwunastymi urodzinami. Ubrane w baletowe stroje z „Jeziora łabędziego” dziewczynki stały upozowane na scenie w szkole tańca, do której wówczas uczęszczały. Pod fotografią widniał wszystko mówiący podpis: „Centrum Sztuki Scenicznej im. Harriet Beecham w Dallas”.

Widz c wchodz c Elizabeth, John podniósł na ni wzrok i ruchem głowy wskazał fotografi . Wstrzymała oddech w oczekiwaniu na nieuchronne pytanie.

- Nie zdawałem sobie sprawy, e pani te ta czyła. - Powiedział to, przeci gaj c z zaciekawieniem słowa, głosem, który brzmiał niewinnie i rozbrajał co.

- To było dawno temu - odparta bagatelizuj cym tonem, podaj c mu kieliszek. I chc c szybko zmieni temat, dodała: - Miał mnie pan o co zapyta . Co to takiego?

Bior c kieliszek z winem, przez długi moment patrzył jej w oczy. Musiał si zorientowa , e usiłuje odwróci jego uwag od zdj cia, ale nic na ten temat nie powiedział.

Elizabeth odetchn ła z ulg . Nie b dzie tej sprawy dr y . Przynajmniej na razie.

- Ano wła nie - rzekł. - Wybrałem si w pi tek do nocnego klubu. Poznałem Tracy i Grega. Miła z nich parka, nie ma co.

Elizabeth skrzywiła si .

- Prawda, jacy to okropni ludzie?

- Tracy wyznała mi, e wie, co si stało z April. Elizabeth była tak zaskoczona, e jej serce na chwil przestało bi .

- Niemo liwe! Co powiedziała?

- Na razie nic. Chce si ze mn spotka u siebie w domu. A poza tym, domaga si pieni dzy za informacje.

Była tak podniecona, e słowa Johna dopiero po chwili dotarły do jej wiadomo ci. Ogarn ło j rozczarowanie. Ze smutkiem pokr ciła głow .

- To zwykłe kłamstwo - zawyrokowała. - Tracy nic nie wie.

Popatrzył na ni z zaciekawieniem. Nie dlatego, eby był zdziwiony - sam podobnie ocenił rzekome wtajemniczenie Tracy - ale poniewa zaskoczyła go domy lno Elizabeth.

- Dlaczego tak pani uwa a?

- Po pierwsze dlatego, e Tracy nie znosi April. Nie tylko za to, e pozbawiła j cz ci napiwków, ale na dodatek odbiła jej Grega. Tracy nigdy mu tego nie darowała, a jej tym bardziej. April próbowała si z ni zaprzyja ni , ale Tracy była w swojej niech ci nieprzejednana. Bardzo w tpi , eby w tej sytuacji April zwierzała si jej ze swoich sekretów.

John przytakn ł skinieniem głowy.

- Podejrzewałem co podobnego. Jak pani s dzi, czy Tracy byłaby w stanie zrobi jej krzywd ?

- Nie umiem powiedzie - odparła Elizabeth. - Tracy jest twarda. Nie na darmo siedzi w tym zawodzie od lat. Potrafi walczy o swoje. Kiedy Greg z ni zerwał, dobrała mu si do samochodu i nasypała cukru do baku. A April przyłapała j raz w garderobie, jak ci ła no yczkami jej ubranie. April obróciła to w art, ale mnie wcale nie było do miechu.

- Niemniej Tracy nie przestała pracowa w klubie.

- Widział pan, jak ona ta czy?

- Uhm.

- No to nie musz tłumaczy , dlaczego jej nie wyrzucili. W zamy leniu pokiwał głow .

- Jakie mo e mie inne powody, eby kłama ? Powiedziała pani: „po pierwsze”...

Elizabeth opu ciła wzrok na swój kieliszek. Wino chybotąo si nieznacznie w jej r ku. Bezskutecznie próbowała uspokoi dr enie r k, wi c zaniechała wysiłków i podniosła oczy.

- My l po prostu, e nawet je eli Tracy naprawd o czym wie, to pr dzej opowie o tym której z dziewcz t ni panu.

- Tak dobrze j pani zna? - zdziwił si John, mierz c j baczynym spojrzeniem.

Z trudem przełkn ła lin .

- Rozmawiałam z ni par razy. Nie mog powiedzie , e dobrze j znam, ale ja i siostra utrzymujemy bliskie stosunki i April wiele mi o niej opowiadała. Jak zreszt o wszystkim.

- Chyba niezupełnie. Gdyby rzeczywi cie zwierzała si z wszystkiego, nie musiałaby jej pani dzisiaj szuka .

- Pewnie ma pan racj - przyznała. - Nasze stosunki s bardzo skomplikowane. Trudno to wytłumaczy , ale April naprawd mówi mi o wielu rzeczach... a w ka dym razie tak było kiedy . Dawniej ł czyła nas bardzo bliska wi , a teraz, no có , rozmawiamy, sp dzamy razem wiele czasu, mamy z sob bliski kontakt, chocia nie taki, jak to bywa mi dzy siostrami. Ale bardzo si kochamy. Prosz mi wierzy .

Przez chwil sprawiał wra enie, jakby rozwa ał jej słowa, po czym najwidoczniej przyj ł je za dobr monet i podj ł decyzj .

- Mam propozycję - oznajmił. - Wieczorem muszę się na krótko zobaczyć z córką, a jednocześnie nie zależy mi na tym, żeby obejrzeć mieszkanie April. Co by pani powiedziała, żebyśmy teraz zajrzeli tam na chwilę? Bardzo by mi pomogło, gdybym mógł zobaczyć, jak mieszka, jakie jest jej otoczenie...

A ponieważ Elizabeth nie zareagowała od razu, dodał:

- Ma pani chyba klucze do jej mieszkania?

- Tak, mam.

' - Wiem, wyskakuje z tym trochę jak Filip z konopi, ale może natrafi na coś, czego nie braliśmy dotychczas pod uwagę.

Elizabeth nadal zwlekała z odpowiedzią. Skręcała się w duchu na wspomnienie mieszkania siostry, które nawet w swoich szczytowych momentach wyglądało jak po przejściu huraganu. Wprawdzie po zniknięciu April była tam już parę razy i zdążyła zlikwidować najgorszy bałagan, lecz jej ociąganie się miało też inne przyczyny, z których jasno zdawała sobie sprawę: osiedle Pines było niedobre i obskurne.

April miała nadzwyczaj lekką rękę do pieniędzy - dlatego zawsze chodziła bez grosza - ale to, co miała, wolała wydać na stroje i przyjaciół niż na mieszkanie. Elizabeth ze wstydem przyznała w duchu, że boi się, co John sobie pomyśli, kiedy zobaczy, gdzie i w jakim środowisku mieszka jej siostra. Na pewno nie odniesie dobrego wrażenia.

Za długo zwlekała z odpowiedzią. John odgadł jej myśli, nie pierwszy zresztą raz.

- Myśli pani, że nie wiem, co to bałagan? - zapytał tym swoim łagodnie kpiącym tonem. - Na Boga, Elizabeth, proszę nie zapominać, czym ja się na coś dzieła zajmuję. Widywałem mieszkania, o jakich nie mówiła pani w najgorszych koszmarach.

- Jak pan to robi? - obruszyła się. - Jakim cudem odgaduje pan moje myśli?

- Tajemnica zawodowa - rzekł z uśmiechem. - Ucz nas tego w akademii policyjnej. „Odczytywanie cudzych myśli”, ćwiczenie numer 101. Zaraz po lekcji o tym „Jak być podejrzany”.

- Może należałoby zmienić kolejność, żeby nie trzeba było być podejrzanych.

Uśmiechnął się przekornie.

- I co, zrezygnowa z głównej przyjemności? Skwitowała jego dowcip uśmiechem, lecz zaraz spowaśniała.

- Gdyby ktoś zrobił krzywdę mojej siostrze... - Zawiesiła głowę. - Tak, potrafi zrozumieć, ale wówczas może być trudno oprzeć się pokusie.

Przez twarz Johna przemknęła ledwo zauważalna zmiana wyrazu, której istoty nie umiała określić.

- Ja zajmuję się chwytaniem złoczyńców - oświadczył suchym głosem. - Wymierzanie im kary zostawiam sądom. - Podniósł kieliszek i jednym haustem opróżnił go do dna, po czym ruchem głowy wskazał drzwi. - Chodźmy, pojedziemy obejrzeć jej mieszkanie.

Elizabeth jechała pierwsza, a John za nią. Twierdziła, że po wizycie w mieszkaniu April musi jeszcze załatwić jakieś sprawy, więc będzie porządnie, jeżeli pojedą osobno. John domyślił się jednak, że nie z tego powodu nie chciała jechać jego samochodem. Należało do osób, które pod byle pretekstem starają się uniknąć cudzego towarzystwa.

Fakt, i z jakiego powodu Elizabeth nie czuła się swobodnie w otoczeniu ludzi, nie dawał Johnowi spokoju, skłaniając go, zresztą nie pierwszy raz, do rozmowy na temat jej przeszłości. Co trzeba zrobić, aby przedrzeć się przez mur, jakim się obudowała? Co za nim tak starannie skrywa, i dlaczego?

Nie miał wiele czasu na rozważanie tych kwestii, bo po kwadransie dotarli do osiedla Pines. Szkoda, że jazda trwała tak krótko, pomyślał, zajmując miejsce na parkingu i przekraczając kluczyk w stacyjce. Osiedle April różniło się od kompleksu, w którym mieszkali on i Elizabeth, jak niebo i ziemia.

Stało tam ze dwadzieścia parterowych segmentów, połączonych jednym dachem, który lśnił w zachodzącym słońcu. Dach wydawał się nowy, widocznie został wieńcem, co jednak podkreślało jedynie marny stan całej reszty. W miejscach nie pokrytych wieńcem wymalowanymi graffiti ze ścian łuszczyła się farba. Wzdłuż wyszczerbionego chodnika rosły rzędy mizerne, od tygodni nie podlewane rośliny. Samochody lokatorów, stojące ukosem przed wejściowymi drzwiami poszczególnych segmentów, były również sfatygowane, jak ich otoczenie.

John wysiadł i podążył chodnikiem w kierunku czekającej na niego przed ostatnim segmentem Elizabeth. Smukła i elegancka. Z

włosami nadal upi tymi na karku, wygl dała tu jak przybysz z innego wiata. Ze swej skórzanej torebki wyją kółko na klucze z przytroczon do niego Myszki Miki.

- Mieszkanie jest bardzo skromne - ostrzegła.

- Myśl, że jako to znios - odparł.

Przekręciła klucz w zamku i nacisnęła klamkę. Uderzył w niego ostry zapach st chizny, odór nie wietrzonego pomieszczenia, który niezmiennie przyprawiał Johna o skurcz oł dka. Z reguły nie wró ył nic dobrego. Elizabeth sięgnęła ręk do rodka i nacisnęła kontakt, ale bez widocznego efektu.

Kręcąc głowę zaczęła wyczuć i wyczuć wiatło, które jednak nie chciało się zapalić.

- Boję się, że tydzień temu upłynął ostatni termin zapłacenia rachunku - oznajmiła. - Będzie musiała to załatwić.

Powiedziała to bez rozgoryczenia, jakby była przyzwyczajona do zajmowania się sprawami siostry.

John wszedł za nią w półmrok mieszkania i rozejrzał się. Bałagan był rzeczywiście okropny, lecz nie pozbawiony indywidualności. Chociaż umeblowanie ograniczało się do minimum, to jednak nieliczne meble były czyste i zadbane. Barwne dywaniki rozmieszczono w strategicznych miejscach - pomyślała, że pewnie zakrywały wytarte linoleum - a ponadto ktoś zadał sobie trud pomalowania ścian na wesoły różowy kolor.

Ten sam odcień różu powtarzał się na kilku plakatach wiszących nad kanapą oraz jedynym w całym pokoju, bardzo głębokim fotelu. Mimo słabego oświetlenia widać było, że ktoś o to trochę dba.

- Nie jest aż tak źle - zauważył. Minął korytarzem, poszedł dalej korytarzem. - Widywałem już o wiele gorsze rzeczy.

Elizabeth spojrzała na Johna poprzez otaczający mrok.

- April mogłaby być zupełnie inaczej. Nie zarabia i gdyby nie to, że połowę zarobków trwoni na swoich przyjaciół, mogłaby sobie pozwolić na znacznie lepsze mieszkanie. A nawet gdyby nie było jej na to sta ...

- To pani by jej pomogła?

- Tak - odparła obronnym tonem. - Chyba nie bym jej pomogła. Co w tym złego?

- Nic - odparł spokojnie, lecz w dzielnicy ich mroku zawisło napięcie. - Gdyby sobie tego życzyła.

- Co chce pan przez to powiedzieć ? - spytała oburzona.

- Nic szczególnego. To, co powiedziałem. Je eli pani siostra chce korzystać z pani pomocy, to wszystko w porządku. Ale je eli sobie tego nie życzy, to ci głę narzucanie si z pomoc musi j okropnie wkurza .

Elizabeth zwiży ramiona; poczuła si jak balon, z którego uszło powietrze. Opadła na oparcie fotela.

- Ona nie życzyła sobie mojej pomocy - przyznała martwym głosem. - Wła nie o to pokłóciły my si wtedy wieczorem w dniu naszych urodzin. - Zwiesiła głow . - Nie zdawałam sobie z tego sprawy. My lałam, e post puj wła ciwie. Wiedziałam, e chce by samodzielna i niezależna, ale poniewa cz sto sama zwracała si do mnie o pomoc, wi c s dziłam, e nic si nie zmieni, je eli jej to zaproponuj . - Podniosła oczy. - Sk d mogłam wiedzie ? - spytała z westchnieniem.

Miał ochot pokona niewielk przestrze , jaka ich dzieliła, i przytuli Elizabeth do serca, lecz nie zrobił tego. Stał bez ruchu w drzwiach, patrząc na ni ze współczuciem. Miło , jak darzyła siostr , była widoczna jak na dłoni.

- Nigdy przedtem nie mówiła o tym? Nie dawała do zrozumienia, co czuje? - zapytał.

- Nie, w ka dym razie nie wydaje mi si . Albo próbowała, a ja nie rozumiałam, co mi chce powiedzieć .

- Mo e bała si zrani pani uczucia? Mo e nie wiedziała, jak to zrobi ?

- Wi c dlaczego teraz...?

- Mo e co si zmieniło?

Dług chwil spogl dali na siebie, Stoj c w półmroku. Wreszcie John przekroczył próg i ruszył korytarzem w gł b mieszkania. Przeszukał szuflady w łazience, zajrzał do apteczki, podniósł klap sedesu. Nic. To samo w sypialni. W s siaduj cej z sypialni garderobie nadal unosił si słodki, mdl cy zapach perfum, którym przesi kni te były ubrania. Odurzaj cy aromat, jak e odmienny od wie ego zapachu wody toaletowej u ywanej przez Elizabeth. I ta sama odmiennie strojów: jaskrawe modne kolory, tanie materiały - April z cał pewno ci nie ubierała si u Neimana. Otworzył szufladk nocnej szafki i przetrz sn ł jej zawarto . Pomieszane bez ładu i składu le ały tam najrozmaitsze drobiazgi - krem do r k.

sfatygowany kryminał w kieszonkowym wydaniu, pudełko papierowych chusteczek.

W ród tego bałaganu natrafił na małe pudełeczko z ró owego plastiku. Wyj ł je z szuflady i ostro nie otworzył wieczko, a upewniwszy si , co zawiera, wsun ł pudełko do kieszeni. Nast pnie wrócił do saloniku i, min wszy Elizabeth, udał si na dalsze poszukiwania do kuchni. Tu wykonał podobne czynno ci, które równie nie przyniosły adnego rezultatu. Wsz dzie puszek i gotowe dania do podgrzania w mikrofalówce. A gdy otworzył lodówk , z wn trza buchn ł obrzydliwy fetor zepsutych produktów. Sprawdziwszy dat wa no ci na kartonie mleka, pospiesznie zatrzasn ł drzwiczki i wrócił do głównego pokoju.

- Ostatni raz widziała j pani w zeszł niedziel , czy tak?

Elizabeth skin ła głow .

- Wygl da na to, e nie wróciła do domu. Zepsute mleko stoi w lodówce od prawie trzech tygodni. - Si gn ł do kieszeni i wyci gn ł z niej ró owe pudełeczko. - I prosz , to znalazłem w sypialni. Chyba nie zostawiałaby ich w domu, gdyby miała zamiar wyjecha z miasta, nie uwa a pani?

Elizabeth rozpoznała pudełeczko; były to pigułki antykoncepcyjne, tej samej marki, jakich sama u ywała. Zacisn ła powieki i odchrz kn ła, usiłuj c opanowa emocje, te jednak okazały si silniejsze; oczy Elizabeth napełniły si łzami.

Johna na nowo ogarn ło współczucie. Ukl kł przed ni , a dla zachowania równowagi oparł r k na jej kolanach.

- Bardzo mi przykro - powiedział łagodnie. - Wiem, jak musi by pani ci ko. Mo e przynios szklank wody? Albo zrobi kaw ? Poci gn ła nosem.

- Ja... ja sama sobie wezm .

No oczywi cie! Sama sobie we mie! Zawsze niezale na, nawet w najci szych chwilach. Pokiwał głow i odsun ł si , pozwalaj c jej wsta i uda si do kuchni. Podnosz c si z podłogi, omiół wzrokiem male ki salonik. Ju miał uzna , e i tu nie ma nic ciekawego, kiedy jego uwag przykuł srebrny przedmiot połyskuj cy na małym stoliku pod cian .

Pokonawszy jednym susem niewielk przestrze , wzi ł do r ki kosztown miniaturow ramk i spojrział na fotografii .

Dalsze badania przerwały mu kroki Elizabeth, więc nie zastanawiając się, dlaczego to robi, szybko wsunął zdjęcie razem z ramką do kieszeni. Odwróciwszy się, powitał ją uśmiechem. Trzymała w ręku puszkę wody sodowej.

- Znalazłam jeszcze jedną, ale uprzedzam, jest ciepła. Ma pan ochotę?

- Dziękuję, muszę już iść - odparł. - Chyba zobaczyłem wszystko, co było do zobaczenia. Pani też już wychodzi?

- Ja... nie, jeszcze chwilę zostanę. Chciałabym trochę posprzątać, no i opróżnić lodówkę. Trzeba pozbyć się tego paskudztwa. Po co ma tam leżeć i dalej się psuć...

- Zaraz zrobi się ciemno, nic nie będzie widać.

- Uwinę się raz dwa.

- Nie wiem, czy to rozśnie. - Machnął ręką w kierunku parkingu. - Nie zna pani tej części miasta.

- Wiem, ale nie zostanę dłużej niż pół godziny, albo nawet krócej. Obiecuję.

Elizabeth nieoczekiwanie obdarzyła go promiennym uśmiechem, którego skutek był wręcz porażający. Dosłownie. Dawno temu, miał wtedy zaledwie sześć lat, asystując ojcu przy reperowaniu zepsutej lampy, John dotknął palcem nieizolowanego drutu i poraził go prądem. Teraz poczuł się podobnie.

- Zresztą proszę sprawdzić, jeśli ma pan ochotę. Obserwuj moje mieszkanie. Po powrocie do domu zapal wszystkie światła. Dam sygnał, że jestem.

Nadal lekko oszołomiony, John nie omieszkał docenić ustąpienia, na jakie się zdobyła. Był to pierwszy wyłom, może niewielki, ale jednak wyłom w murze, za którym się ukrywała.

- Umowa stoi - odparł. - W domu powinienem być... - zerknął na zegarek - nie dalej jak o dziewięć. Do tego czasu spokojnie zobaczysz się z Lisą i wróci tutaj. Zgoda?

Skinęła głowę. Stał już w holu, trzymając rękę na klamce, kiedy zawołała go po imieniu.

Gdy się obejrzał, widok Elizabeth w tym ałosnym otoczeniu ponownie uderzył go swym niepodobieństwem. Jej obramowana czernią włosów twarz przypominała delikatny, skomponowany ze światła i cieni rysunek. Była zbyt piękna, zbyt egzotyczna, by mogła naprawdę istnieć.

- Tak?

- Dziękuj - powiedziała. - Dziękuj za pomoc. Uśmiechnął się, dotknął palcami rąka kapelusza, po czym zrobił w tył zwrot i wymaszerował na ulicę, czując, jak w jego piersi serce wykonuje dziwne, nie pamiętane od wielu lat fikołki.

Elizabeth podeszła do okna i odsunęła firankę, wzrokiem odprowadziła Johna do samochodu. Jego ruchy były pełne harmonii, a chód naturalny i swobodny, znamionujący człowieka, który dobrze się czuje we własnej skórze.

Jest pewnie dobrym tancerzem. Wyobraziła go sobie tańczącego ciego honky-tonka, czyli teksaskiego fokstrotę: wykonującego ciego skomplikowane kroki, odsuwającego ciego z czoła jasny kapelusz, uśmiechającego ciego swoim szerokim, pogodnym uśmiechem. Nagle się zreflektowała, oderwała od okna, objęła spojrzeniem wyzierającą z wszystkich kątów bałagan. Ma się za sprawcą ciemnych lodówek. Nic jej do tego, jak wygląda John Mallory, ani jak się porusza.

Zdecydowanym krokiem ruszyła do kuchni. W szafce pod zlewem znalazła gumowe rękawiczki. Odpędziła od siebie niesformy myśli, zabrała się do porządków. Na początek wyszorowała kuchenny blat, wyrzucając przy okazji ukryte za opiekaczem torebki starego, spleśniałego chleba. Nieco więcej czasu zajęło jej wyszorowanie zlewu. Wstawione do spłukanej i poółkniętej miski brudne naczynia obrosły substancją, nad której naturą wolała się nie zastanawiać.

Kiedy wreszcie dotarła do lodówki, mrok był już tak gęsty, że prawie nic nie widziała, lecz tutaj wzrok był najmniej potrzebny. Wystarczyło kierować się powonieniem. Starając się jak najmniej oddychać, wyjmowała po kolei wszystko, co wpadło jej w ręce, i wrzucała do znalezionej wcześniej w spierni plastikowego worka na śmieci. Właśnie zawiązywała wypełniony worek, kiedy od strony saloniku dobiegł jakiś szmer.

Przerwała robotę i nastawiła uszu. Szmer się powtórzył. Metaliczny brzęk, a potem szczyknięcie. W pierwszej chwili nie potrafiła ustalić źródła tych dźwięków, ale po sekundzie zrozumiała i serce załomotało jej w piersiach. Ktoś naciska klamkę u wejściowych drzwi.

April!

Poderwała się na nogi, ale natychmiast, nie dotarwszy nawet do drzwi siedzącego z kuchni pokoju, pojęła swój omyłek. April ma klucz do drzwi. A zresztą, po co by miała z taką ostrością naciskać klamkę?

John? Niemożliwe. Zapukałby albo zawołał, jak każdy normalny człowiek. Nie, to całkiem inna para kaloszy. Jaki nieproszony go usiłuje wdrzeć się do domu.

Uczucie rozczarowania zmieniło się w niepokój, a niepokój zaczął się przeradzać w paniczny strach. Czy zajęta obserwowaniem Johna zapomniała zamknąć drzwi na klucz? Znowu dobiegł jej cichy szum naciskanej klamki. Zamarła bez ruchu, nasłuchując, czy nie zaskrzypi zawiasy, i odetchnęła z ulgą, gdy to nie nastąpiło. Widocznie odruchowo zamknęła zasuw. Nieproszonemu go ciowi nie udało się wdrzeć do środka. W każdym razie przez drzwi.

Co robi?

Było już niemal zupełnie ciemno, nie tylko w domu, ale i na dworze. Z siedniego segmentu dochodziło wycieki z czubka pełnego regulatora telewizora; może sobie zedrze gardło, i tak jej nie usłysz.

Nakazała sobie spokój i próbowała zebrać myśli. April miała tylko jeden aparat telefoniczny, który stał w salonie koło kanapy. Elizabeth delikatnie odstawiała plastikowy worek na podłogę i najciszej, jak umiała, ruszyła w stronę przyległego pokoju. Już była w drzwiach łączących kuchnię z salonem, kiedy serce na nowo jej załomotało, a w ustach zrobiło się sucho. Znowu zdrztywała ze strachu.

Włamywacz podjął kolejną próbę sforsowania wejścia. Przez matowe szyby w drzwiach zaczęło się do środka słabe światło ulicznej lampy, w którym pobłyskiwała poruszana od zewnątrz mosianna klamka. Elizabeth wstrzymała oddech. Za szklanymi szybami majaczył na tle lampy cień szamoczącego człowieka. Wysoka, potężna postać w ciemnej, naciąganej na twarz, obcisłej czapce. Dałaby głowę, że to kominiarka.

Przestała się zastanawiać. Nie odrywać oczu od drzwi, a raczej cienia na szybie, wyciągnęła za siebie rękę, obmacując kuchenny blat. W samym rogu, tu koło lodówki, stał drewniany blok z wetkniętymi w niego nożami, który Elizabeth podarowała kiedyś siostrze na Boże Narodzenie. Leciące helgerowskie noże są dziś na pewno równie ostre

jak w dniu, kiedy zostały rozpakowane. Dr cymi palcami odnalazła blok i wyci gn ła nó . Podniosła go do oczu, by przyjrze si ostrej jak brzytwa klindze: był to nó do krojenia mi sa.

Nie zwa aj c na ciskanie w oł dku, ruszyła, skradaj c si , do pokoju. Je eli dotrze do telefonu, zanim złoczy ca wedrze si do rodka, zadzwoni pod numer 911.

Ledwo to pomy lała, gdy drzwi znowu szcz kn ły, a ona zdała sobie spraw , e tym razem włamywacz nie manipuluje przy klamce, tylko usiłuje wywa y drzwi. Usłyszała cichy metaliczny zgrzyt podwa aj cego zamek łomu. Z bij cym sercem, trzymaj c nó w r ku i nie odrywaj c oczu od wej cia, podniosła słuchawk , wcisn ła j sobie pod brod i nakr ciła numer.

Telefon milczał. Albo odci to kabel, albo April nie zapłaciła rachunku. Zreszt oboj tne. Tak czy owak, nie uzyska t drog pomocy. Przeklinaj c w duchu bezu yteczny przedmiot, wbiła trwo ne spojrzenie w drzwi. Napastnik zostawił zamek w spokoju i zaj ł si szyb , opukuj c j i sprawdzaj c jej moc. Przez sekund nic si nie działo, a potem co zaszele ciło. Z przera eniem zdała sobie spraw , e włamywacz okleja szyb od zewn trz samoprzylepn foli .

Zrobiło jej si słabo. Facet chce wybi szyb , a foliowy plaster sprawi, e odłamki szkła nie rozsypi si . Stłumi te odgłos uderzenia i nikt niczego nie usłyszy. Zdj ta przera eniem, stała i patrzyła, czekaj c, co b dzie dalej. W sekund pó niej pi w grubej skórzanej r kawicy wypchn ła szyb , a nast pnie r ka si gn ła w dół, odnalazła zamek, i odsun ła zasuw .

Szcz k zamka wyrwał Elizabeth z ot pienia. Rzuciła si ku drzwiom z podniesionym w gór ostrym narz dziem w r ku. Jednym szybkim ruchem zadała cios; ostrze no a weszło jak w masło w skórzan r kawic .

Powietrze rozdarł dziki wrzask bólu.

Rozdział 5

John patrzył na swoją pięcioletnią córeczkę, która z przyklejonym do gąbki buzi i wyrazem całkowitego niezdecydowania wpatrywała się w wystawione na ladzie jogurty. Po wyjściu z mieszkania April popadł po Lise, wcale nie mając pewności, czy Marsha znowu nie zmieni zdania i nie odmówi mu widzenia się z córką. Narobił tyle szumu o miniony czwartek, że Marsha w końcu uległa i zgodziła się na dodatkowe spotkanie w tym tygodniu, zastrzegając, aby koniecznie odwiedził córkę przed nocą do domu. John nie bardzo umiał sobie wytłumaczyć, dlaczego była ona pozwoliła sobie na takie ustępstwo. Czy by jej charakter zaczynał z czasem łagodnie? Mało prawdopodobne, ale w końcu wszystko może się zdarzyć.

- Zdecyduj się, kochanie, który wolisz - delikatnie przynaglił córkę. - Czekoladowy czy waniliowy?

Lisa bezradnie pokręciła głowę, a tymczasem za ich plecami kolejka czekających przestała powalać z nogi na nogi. John uśmiechnął się do sprzedawczyni.

- Poproś po jednej porcji każdego smaku - powiedział. - W przeciwnym razie będziemy stercze tutaj do rana.

Kobieta odwzajemniła uśmiech i naciskając dźwignię, napełniła mocno substancją dwa białe plastikowe pojemniki. Po uregulowaniu rachunku John zaprowadził Lisę do stolika pod oknem. Wdrapała się ochoczo na pierwsze z brzegu krzesło i wyciągnęła obie ręczki.

- Jak to, chcesz jedno i drugie? - spytał ze śmiechem.

- Miałem nadzieję, że i mnie coś się dostanie.

- Ty lubisz ten rodzaj - odparła - a ja czekoladowy i waniliowy.

Usiadł obok Lisy i postawił przed nią oba kubki.

- Sprytna jesteś, jak na takiego skrzata. Naumyślnie zrobiła mi kawę?

Jej serduszko stopniało szybciej niż jogurt. Zreflektowała się i poważyła pokręciła głowę.

- Nie, tatusiu, wcale nie chciałam zrobić ci kawy. Słowo daj.

- Oczywiście, że nie, kochanie - zgodził się, podając jej dwie ręczki. - Na pewno nie chciała mi dokuczyć.

- W przeciwieństwie do mamy, dodał w duchu.

Lisa z ukontentowaniem raczyła się czekoladowym przysmakiem, od czasu do czasu czerpiąc również z waniliowego pojemnika. Otwierała buzi najszerszej, jak mogła, pakując do ródka koniatego

ły eczki, a robiła to tak zwracanie, że niemal cała zawartość za pierwszą próbę trafiała do ust.

John siedział rozparty wygodnie na krześle i przyglądał się małej. Mógłby tak siedzieć i patrzeć na nią przez cały wieczór. Fascynowało go wszystko, co Lisa robiła, i to nie tylko teraz, ale odkąd się urodziła. Marsha twierdziła, że ją rozpieszczą, i mogła mieć rację. No i co z tego? Każde dziecko potrzebuje, żeby ktoś czasem je rozpieszczał.

Gdy poprawił się na twardym plastikowym krześle, tkwiąca w kieszeni mała srebrna ramka przypomniawszy mu o swoim istnieniu. Wyprostowawszy nogi, wsunął rękę do kieszeni i wyjął niewielki przedmiot. W ramce tkwiły dwa zdjęcia, jedno ukryte pod drugim. Jadąc po Lisę, rzucił okiem na to, które było pod spodem i zamknął je w samochodowym schowku. To, które miał teraz przed oczami, przedstawiało dwie dziewczynki mniej więcej w wieku Lisy. Popatrzył na nie, zastanawiając się, czy Elizabeth i April Benoit były przez kogo rozpieszczane. Miał nadzieję, że tak.

- Co to takiego?

- Zdjęcie - odparł. - Chcesz zobaczyć?

Mała kiwnęła głową i wyciągnęła uwalniany jogurtem rączkę. John z uśmiechem cofnął zdjęcie.

- Tata ci potrzyzyma, dobrze?

- Dobrze. Pokazał jej zdjęcie.

- Kto one są?

- To znajoma taty i jej siostra. Kiedy były małe.

- Jak się nazywają?

- Elizabeth i April. Są bliźniaczkami. Wiesz, co to bliźniaczki, prawda?

Kiwnęła głową.

- W przedszkolu też są bliźniaczki. Latesza i Kenisza. John skinął głową. Pamiętał, że widział w jej grupie

w przedszkolu dwie podobne do siebie dziewczynki.

Lisa znowu wyciągnęła łyżeczkę, pokazując zdjęcie i marszcząc czoło.

- Ale one nie są bliźniaczkami.

- Dlaczego? - zdziwił się.

- Bo są inaczej ubrane.

John pochylił się nad stołem, opierając łokcie na blacie.

- Nie wszystkie bli niaczki ubieraj si jednakowo. Nie dlatego s bli niaczkami.

- A dlaczego?

- Bo wyszły jednocze nie z brzuszka mamusi.

Lisa zastanowiła si nad tym przez chwil , po czym z powag skin ła głow .

- A czy ja mog mie siostr bli niaczk ?

- Boj si , kochanie, e jest na to za pó no. - Z wielu powodów... Marsha od pocz tku nie chciała dzieci. I tak miał szcz cie, e urodziła si Lisa.

Lisa, najwidoczniej usatysfakcjonowana jego wyja nieniami, zaj ła si jogurtem, a John ponownie spojrział na zdj cie. Zrobiono je na pla y, a dziewczynki miały na sobie opalacze - ka da inny. Jedna z dziewczynek budowała zamek z piasku, a na jej dziecinnej buzi malowała si powaga, podczas gdy jej siostra dokazywała w morzu. Fotograf uchwycił j w momencie, gdy przeskakuj c spienion fal , z szelmowskim u mieszkciem obejrzała si przez rami .

Były na pozór podobne do siebie jak dwie krople wody, a jednak John od razu domy lił si , która jest która.

Po chwili wrócił my lami do drugiej fotografii, tej, któr zamkn ł w schowku. Przedstawiała dwie młode kobiety obejmuj ce si ramionami, których pi kne ciała były niemal zupełnie nagie. Obie miały na twarzach wymy lne, obszyte cekinami i ozdobione piórami maseczki, spoza których wyzierały jedynie ich oczy. Pocz tkowo pomy lał, e to reklamowe zdj cie, jakie April zrobiła sobie razem z inn tancerk . Po namy le uznał jednak, i takie wyja nienie nie trzyma si kupy. Gdyby chodziło o reklamowe zdj cie, dlaczego trzymałaby je ukryte pod innym, w pami tkowej ramce na stoliku w salonie?

Nie, to zdj cie musi mie dla niej sentymentaln warto , na równi z tym, które trzymał w r ku. Ale dlaczego je ukryła? Musiała mie po temu jaki istotny powód. Kto wie, mo e rozwikłanie tej zagadki pomo e mu odgadn , gdzie podziewa si April Benoit.

Bardzo tego pragn ł. Dla dobra Elizabeth.

Przez par chwil pozwolił sobie na przyjemno obserwowania córki bawi cej si ły eczk i resztkami jogurtu, po czym wstał niech tnie od stołu.

- Czas wraca , kochanie - powiedział. - Obiecałem mamie odwieść ci do domu. Ale jutro znowu po ciebie przyjadę . I zostaniesz u mnie na noc. Cieszysz się ?

Lisa z pomrukiem zadowolenia wygramoliła się z krzesła. Kwadrans później odprowadzał ją do domu, trzymając jej lepką rękę w swojej dłoni. Marsha otworzyła im drzwi, nim zdążyła zapukać . Bez słowa, nie mówiąc nawet „dzień dobry”, wciągnęła ją do rodzaka i zatrzasnęła drzwi. Jeśli nawet złagodniała, to nie na długo.

Kiedy wsiadał do samochodu, zadzwonił radiotelefon.

- Mallory - odezwał się , podnosisz słuchawkę i naciskasz guzik.

- John? Tu Elizabeth Benoit. Przepraszam, ale cię niepokoję , ale nie miałam do kogo zadzwonić ...

Głos jej się załamał, a Johnowi cisnęło się serce. No tak, pomyślał. Znalazła April. Mówił tym idiotom z komisariatu, żeby w razie czego nie dzwonili do Elizabeth, tylko do niego. Ale te zawsze muszą wszystko pokrzyczeć ! Na głos powiedział:

- Słucham? Co się stało?

- Przyjedź koniecznie do mieszkania April. Tutaj... - Słyszał jej przyśpieszony oddech. - Tutaj wszędzie pełno krwi... Nie wiem, co robi , John. Dławiłam kogoś nożem.

Czekała na niego na parkingu przed domem April. Siedziała zamknięta od rodzaka w swoim samochodzie. John z piskiem hamulców zaparkował tu obok i wyskoczył niemal w biegu. Ona też wysiadła i podbiegła do niego. Zdążyła się tymczasem trochę uspokoić i serce zaczęło jej bić niemal normalnie, wiedziała jednak, że jeśli trzyma się jeszcze na nogach, to tylko dzięki adrenalinie. Na widok Johna odczuła niewymowną ulgę i radość . Niedobrze ze mną , pomyślała.

Położył jej ręce na ramionach.

- Wszystko w swoim czasie - powiedział spokojnie. - Jesteś cała i zdrowa? Nic ci się nie stało?

- Nie, nic mi nie jest - odparła.

- Wiem, to nie twoja krew?

Popatrzyła ze zgrozą na zakrwawiony przód swojej bawełnianej koszulki.

- Nie - nie, nie moja.

- Wiem, czyja?

- Ja... nie mam pojęcia. Kończyłam sprzątać kuchnię, kiedy ktoś zaczął się włamywać. Złapałam nóż i dźgnęłam go w rękę, a on uciekł.

- Zadzwoń pod 911?

- Tak, skorzystałam z telefonu w biurze administratora osiedla, jeszcze zanim zadzwoniłam do ciebie. Może powinnam zdać się na pogotowie policyjne, ale pomyślałam...

- Bardzo dobrze zrobiłaś. Najlepiej jak możesz. - Spojrzenie jego piwnych oczu ogrzało skołataną serce Elizabeth. - Ciesz się, że mnie wezwałaś.

Podziękowała mu skinieniem głowy, ale nim zdołała się odezwać, na parking wjechał biały - niebieski wóz patrolowy. Wysiadło z niego dwóch umundurowanych funkcjonariuszy z notatnikami w rękach. Szybko zbliżyli się do Elizabeth i Johna. Ten wyciągnął swój policyjny odznak.

Elizabeth zaczęła opowiadać, lecz jeden z policjantów powstrzymał ją.

- Wejdźmy do mieszkania - powiedział, wskazując głową gromadzących się na chodniku gapiów. - Nie robmy widowiska.

Weszli do mieszkania April. Elizabeth stała ostro nie, omijając plamę krwi na podłodze koło drzwi. Jeden z policjantów oświetlał drogę latarką. Nóż leżał nieopodal wejścia, tam gdzie go upuściła, a odłamki szkła dopowiedziały resztę. Dokładnie zrelacjonowała trzem policjantom przebieg wydarzenia.

- Uciekł zaraz po otrzymaniu ciosu?

- Tak. Wrzasnął, wyszarpnął rękę z okna i uciekł. Wybiegłam za nim, ale było tak ciemno, że nic nie mogłam zobaczyć. Był wysoki... wysoki i potężnie zbudowany. Cały ubrany na czarno, w kominiarce na głowie.

- Wybiegła pani za nim na ulicę? - Policjant popatrzył na nią z podziwem.

- Tak. Co innego miałam zrobić?

Policjant, zdziwiony, zerknął na kolegę i pokręcił głową, mrużąc pod nosem: „Dobrze, że nie miała rewolweru”, po czym obaj funkcjonariusze, zaopatrzeni w pomnikujące radiotelefony, zabrali się do oglądania framugi drzwiowej i podestu za drzwiami.

John zbliżył się do Elizabeth, która stała wciąż przy wejściu.

- Na pewno nie domy lasz si , kto to mógł by ? Skup si i pomy l.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- To musiał by zwykły włamywacz. S siedzi na pewno zd yli si zorientowa , e mieszkanie stoi puste. Kto widocznie postanowił skorzysta z okazji.

John zamylał si .

- Czy do jej mieszkania ju si kiedy włamano?

- O, tak. I to nie jeden raz. Dlatego postanowiła nie mie w domu nawet telewizora.

Zbli ył si jeden z policjantów i Elizabeth odwróciła si ku niemu. Funkcjonariusz zsun ł z czoła kapelusz.

- Prosz pani - powiedział. - Spiszemy oczywi cie protokół, ale nie ma wielkich szans na złapanie faceta.

Spojrzała na Johna, ale on wzruszył tylko ramionami.

- Mog wezwa brygad dochodzeniow - ci gn ł funkcjonariusz. - eby pobrali próbki krwi, zdj li odciski palców, podzwonili po szpitalach i sprawdzili ofiary poci te no em. Ale musi pani poczeka i by na miejscu, kiedy przyjad , a po dokonaniu ogl dzin zabezpieczy mieszkanie. A poniewa mamy pi tek wieczór, mo e upłyn ładnych par godzin, zanim si pojawi .

John zauwa ył niezdecydowanie Elizabeth.

- Mam propozycj - o wiadczył, zwracaj c si do funkcjonariuszy. - Wy spiszecie protokół, a ja i pani spróbujemy jako tako zabezpieczy mieszkanie. A je eli do rana uznamy za konieczne dalsze prowadzenie sprawy, sam zadzwoni po ekip dochodzeniow i zajm si reszt . Co panowie na to?

Funkcjonariusz wahał si , co powiedzie . Propozycja Johna odbiegała nieco od regulaminowych procedur.

- Hej, Morris! - zawołał nagle jego kolega, trzymaj c palec na wpi tym w klap mikrofonie. - Dzwoni , eby jecha do Westheimer. Trzeba si zbiera . Chod , stary!

Sprawa była przes dzona. Pierwszy policjant biegł ju do wyj cia. Zatrzymał si , by powiedzie Johnowi:

- Zadzwoni do pana i podam numer sprawy. - Spojrzał na Elizabeth, dotykaj c kapelusza. - Miała pani ci ki wieczór. Prosz na siebie uwa a .

Po kilku sekundach już ich nie było. Czerwono - niebieskie światło policyjnego reflektora błysnęło w ciemnościach i natychmiast zniknęło.

John uparł się, że sam odwiezie Elizabeth do domu. Gdy dojeżdżał do osiedla, była mu za to wdzięczna. Mniej więcej w połowie drogi zaczęła dręta na całym ciele i nie była w stanie tego pohamować.

John popatrzył na Elizabeth, objął ją ramieniem i bez słowa poprowadził do domu. Kiedy dotarli do drzwi, wyjął klucz z jej dręczonych palców, włożył do zamka, przekręcił, otworzył drzwi i przepuścił ją przodem.

- Idź, weź kąpiel - powiedział. - Najgorzej, jak wytrzymasz. Ja tymczasem przygotuję coś do jedzenia, a przedtem zrobię ci drinka. Podniosła na niego oczy.

- Naprawdę, John, nie musisz tego robić. Ucieszył się, że w dalszym ciągu zwraca się do niego po imieniu, toteż wziął ją za ramiona, obrócił o sto osiemdziesiąt stopni i leciutko pchnął w kierunku korytarza.

- Idź zrzucić ciuchy i wejdź do wanny - rozkazał. - Od razu poczujesz się lepiej.

Nie przywykła do tego, by ktoś ją komenderował, ale nie miała do siły, by się opierać. Tak samo jak nie przywykła do rozdawania ciosów nożem. Ruszyła więc posłusznie przed siebie, przytrzymując się rękami ciany dla zachowania równowagi. Weszła do łazienki i zamknęła za sobą drzwi.

Po dwudziestu minutach usłyszała pukanie.

- Jak tam, wszystko w porządku?

Siedząc w wannie, otoczona unosząc się w powietrzu parą, uświadomiła sobie, że nie tylko przestała się trząść, ale zapadła w lekki drzemkę, co przypisała nagłej utracie sił po całym przeżyciu. Otworzyła oczy.

- W porządku. Zaraz kość! - zawołała.

Drzwi uchyliły się i przez kilkucentymetrową szczelinę wsunęła się dłoń Johna z wypełnioną do połowy szklaneczką bursztynowego płynu. Naczynie zostało postawione na szafce.

- Wypij to - powiedział zza drzwi, zamykając je z powrotem. - Kolacja zaraz będzie gotowa.

Wyszła z wanny, wytarła się do sucha, a następnie sięgnęła po szklankę. Whisky miała smak ambrozji. Nim zdjęła wyszczotkowaną włosy i wsunęła ramiona w rękawy długiego do kostek szlafroka, czuła się jak odrodzona. Już miała nacisnąć klamkę, gdy cofnęła się i spojrzała w lustro. Przystojny mężczyzna siedzi w jej kuchni, gotuje kolację, a ona zamierza mu się pokazać w takim stanie?

Twój wygląd nie ma najmniejszego znaczenia, upomniał ją surowy wewnętrzny głos. On tylko stara ci się pomóc w trudnej sytuacji. Niczego więcej od niego nie oczekujesz, zapamiętaj to sobie!

Sięgnęła po szklankę, dopiła whisky i wyszła z łazienki. Pierwsze, co poczuła, to rozchodzący się po mieszkaniu smakowity zapach. Powdrowała jego ładem przez cały korytarz i hol aż do kuchni, gdzie zatrzymała się w drzwiach. John stał przy kuchence odwrócony do niej plecami, mieszając coś na patelni.

- Proszę, wejdź! - zawołał, nie odwracając się. - Już kończę.

Pokręciła głową.

- Zgadujesz cudze myśli, a do tego masz oczy z tyłu głowy. Twoja córka znienawidzi cię za to, kiedy będzie miała kilkanaście lat.

Odwrócił się z łobuzerskim uśmiechem, wycierając ręce o wetknięty za pasek spodni kuchenny ręcznik.

- Już dzisiaj strasznie się o to zło ci - odparł. - Może zdarzy przywykniesz, zanim skończy szesnastkę.

Wymienili wesołe spojrzenia, po czym John jednym rzutem oka zlustrował ją całą, od zmierzwionych włosów poczynając, poprzez otuloną długim szlafrokiem postać, a na wycierających spod szlafroka gołych stopach kończąc. Kiedy ponownie popatrzyli sobie w oczy, znowu poczuła, że jej nogi robi się jak z gumy, chociaż z całkiem inną niż poprzednio przyczyną.

- Wyglądasz znacznie lepiej - stwierdził rzeczowo. - W mieszkaniu April bałem się, czy nie zemdlejesz.

- Byłam rzeczywiście roztrzęsiona.

- Tak też wyglądała. - Jeszcze raz omiół ją spojrzeniem, by na koniec wpatrzył się w jej twarz. - Ale whisky ma cudowne właściwości lecznicze. Może jeszcze jedną?

- Nie, dziękuję. - Odstawiła szklankę na blat. - Jedna whisky to moja norma.

Skinęła głową, odwrócił się w stronę kucharki.

- W porządku, wobec tego zapraszam do stołu. Zaraz podam
moją jedyną kulinarną specjalność.

Elizabeth posłusznie usiadła. Po krótkiej chwili John zbliżył się
do stołu z dwoma dymiącymi talerzami w rękach. Na widok ich
zawartości nagle napłynęła jej do ust. Omlet po denversku, z
usmażonymi na chrupko plasterkami bekonu i pokrojonymi w trójkątne
grzankami na boku. Tak jak lubiła.

- Wygląda wspaniale. To wszystko wyczarowałaś z rzeczy
znalezionych w mojej lodówce?

Zadowolona miną zajęła miejsce przy stole.

- Wyszperałem ukrytą w kieliszku zieloną paprykę i jedną cebulę.
Rzadko gotujesz w domu, co?

Przytaknęła, sięgając jednocześnie nie po widelec.

- Raczej rzadko. Robi sobie sałatki, sandwicze, tego typu
rzeczy. Jadam głównie w domu. - Wzięła do ust kęs omletu i
przymknęła oczy. - Mniemam.

- Ciesz się, jeśli ci smakuje - odparł, zabierając się do swojego
talerza. - Jak ci mówiłem, to moje jedyne przebojowe danie. Nie lubi
szafowa wrodzonym talentem kulinarnym.

Parsknęła śmiechem. Jedli kolację w pogodnym milczeniu. Po
oproszeniu talerza Elizabeth poczuła się niemal normalnie.

A nagle wróciło wspomnienie krwi. Odłożywszy nożyk i widelec,
wzięła kubek z kawą i zacisnęła na nim palce, które nagle stały się
zimne.

- Ta... ta historia u April - zaczęła niepewnym głosem. - Myślisz,
że to zwykłe włamanie, czy to był ktoś, kogo znała?

- Nie wiem. Jedno i drugie jest możliwe - odparł John, odsuwając
talerz. - Ale myślę, że jeśli April nie wyjechała z własnej woli, to
włamanie może mieć związek z jej zniknięciem.

Elizabeth czuła ciskanie w gardle. Jak to możliwe, że w taki
sposób rozmawiamy o April? Chodzi przecież o moją jedyną siostrę.
Wszystko to wydaje się jakimś niemożliwym koszmarem.

- A jeśli nie wyjechała z własnej woli...? John zawahał się.

- Nie bój się, wytrzymam - rzekła. - Mów, co myślisz. Chcę
wiedzieć, jak oceniasz sytuację w przypadku, gdyby nie wyjechała z
własnej woli.

Skinął głową, pokonując wewnętrzny opór.

- Najgorsza mo liwo jest taka, e z jakiego powodu została porwana przez szale ca - mo e chodziło o jej torebk , jej urod , mo e przypomniała mu własn matk , nie wiadomo co - i ju nie yje. Mógł j sterroryzowa , kiedy jechała twoim samochodem, który potem sprzedał albo zniszczył. Wszcz łem odpowiednie poszukiwania, ale jak dot d bez rezultatu.

Elizabeth upiła łyk kawy. Cho dobrze przyrz dzona, miała gorzki smak. Z trudem j przełkn ła.

- Mów dalej.

- Druga mo liwo : została porwana, lecz nadal yje. Te przez szale ca i z równie tajemniczego, trudnego do odgadni cia powodu. Ale wtedy mo na oczekiwa , e natrafimy na ład auta.

Podniósł dło i wyci gn ł palce, wskazuj c na istnienie trzeciej oraz czwartej mo liwo ci.

- Po trzecie, stało si pierwsze albo drugie, ale sprawc jest kto , kto dobrze j zna. To znaczy, e została porwana albo zabita z powodów znanych jedynie jej i napastnikowi.

- A co tobie wydaje si najbardziej prawdopodobne? John przybrał twardy, bezosobowy ton.

- Według statystyk, sprawcami osiemdziesi ciu procent zabójstw s ludzie, którzy znali swoje ofiary. Tylko dwadzie cia procent ofiar ginie z r k obcych. W ród kobiet trafiaj cych do szpitali, wi cej jest takich, które znalazły si tam za spraw własnyc m ów czy kochanków ni wskutek wszystkich innych przyczyn razem wzi tych, wliczaj c w to wypadki samochodowe, napady i gwałty.

- O mój Bo e! - szepn ła wstrz ni ta Elizabeth. - Jak to mo liwe?

Twarz Johna przeobraziła si ; przybrała ponury, zaci ty wyraz, zupełnie niepodobny do maluj cego si zwykle w jego rysach pogodnego spokoju.

- To kwestia dominacji - o wiadczył. - Wszyscy staraj si podporz dkowa sobie innych. Czasami potrzeba dominacji przybiera skrajn posta i dochodzi do nieszcz cia. - Dług chwil siedział wpatrzony w stół. Wreszcie podniósł na ni oczy. - Powiedz mi, komu mogło zale e na tym, eby j sobie podporz dkowa ? Kto potrafił j zdominowa ?

Nie musiała si zastanawia .

- Greg Lansing - odparła bez wahania. - Jako jej szef, a jednocze nie kochanek. Miał j w r ku na dwa sposoby.

- My lałem, e zerwali.

- On tak twierdzi, ale ja wcale nie jestem tego pewna. April z nikim innym si nie spotykała; gdyby pojawił si kto nowy, powiedziałyby mi o tym.

- Czy nie wspominała czasem o randkach ze swymi klientami?

- April nigdy nie umawiała si z klientami. Obie wiemy dobrze, jakie to niebezpieczne. Ja... kazałam jej przysi c, e nie b dzie si spotyka z klientami poza klubem. Ale dlaczego pytasz?

- Klub roi si od nadzianych facetów. Gdybym był na jej miejscu i facet z rolls - royce'em chciał si ze mn umówi , mógłbym ulec pokusie.

- Ale nie April. Zarabia mnóstwo forsy i wszystko przecieka jej przez palce. Nie przywi zuje do pieni dzy znaczenia.

- Jeste tego pewna?

Co w tonie jego głosu zmusiło j do zastanowienia. A je li si myli? April bardzo si zmieniła od czasu przyjazdu do Houston. Ten facecik, z którym wypu ciła si na Karaiby, był w ko cu klientem klubu. John mo e mie racj . Ju raz wypytywał j o stosunki z siostr . Mo e nie zna April tak dobrze, jak s działa? Albo raczej tak dobrze, jak kiedy j znała. W pewnym momencie ich drogi si rozeszły i ycie ka dej z nich potoczyło si w innym kierunku.

- Nie wiem - przyznała.

- Wydzwaniałem wczoraj do Tracy Kensington, ale nikt nie odpowiadał. Chciałbym z ni jeszcze raz porozmawia , niezale nie od tego, czy rzeczywi cie co wie, czy nie.

- My l , e mo e co wie - Elizabeth skłaniała si teraz ku takiej mo liwo ci - ale tobie i tak nic nie powie. Tancerki odnosz si nieufnie do ludzi spoza bran y. Tworz bardzo zamkni t społeczno , jak policjanci. yj we własnym, odr bnym wiecie. W wiecie, w którym w dzie si pi, a w nocy pracuje. Wi kszo z nich nie przyznaje si do swojego zawodu. - Elizabeth smutno potrz sn ła głow . - Prowadz bardzo samotne ycie, które izoluje je od ludzi. Niedobrze jest y w takim wiecie. Tak mi si przynajmniej wydaje.

- Umilkła na chwil . - Tracy nigdy ci nie powie, czy April spotykała si z klientami poza klubem. W ogóle nic ci nie powie.

- Chocia obiecywała?

Elizabeth przytaknęła. Nie zastanawiała się nad tym, co mówi, rzuciła:

- Wpadła jej w oko, uznała, że nieżył z ciebie kłosek, i zwyczajnie postanowiła cię podderwać.

Natychmiast jednak zdała sobie sprawę, co mówi, i przeklęła się w duchu. Czy taki sposób myślenia i wyrażania się przystoi szacownemu prawnikowi? Czy by przeszło, mimo jej wiedzy, odzyskiwała nad nią władzę? Przenosiła ją w czasy i miejsca, o których starała się zapomnieć?

Jeżeli nawet John coś zauważył, to nie dał tego po sobie poznać. Wyraz jego twarzy nie zmienił się ani na jotę, wiedziała jednak, że to niczego nie dowodzi. John Mallory przewyśszał bystro cię wszystkich znanych jej morderczyń. Jeżeli rzeczywiście potrafi czytać w jej myślach, a wszystko na to wskazuje, to bez większego trudu domyśli się jej przeszłości. Poderwała się od stołu, zbierając swój talerz i kubek, poszła do kuchni i wstawiła naczynia do zmywarki. Stała koło zlewu i zamknęła oczy.

Nagle usłyszała jego głos tuż nad uchem i szybko podniosła powieki. Przeszedł bezgłośnie przez pokój, tak jak wtedy w siłowni. Stał tuż obok niej, tak blisko, że widziała wyraźnie maleńkie blizny na jego prawej skroni, blizny w kształcie miniaturowego półksiężyca. Spojrzała mu w oczy.

- Elizabeth, czy na pewno powiedziała mi wszystko, co wiesz? Niczego nie ukrywasz?

- Na przykład co?

- Nie wiem. - Nieoczekiwanie wycignął dłoń i machinalnie odgarnął z jej czoła zabłądzone kosmyki włosów. Nie uczynił żadnego dalszego ruchu. - Nie wiem - powtórzył - ale chwilami odnoszę wrażenie, że masz jakieś sekrety. Co takiego ukrywasz?

- Nic. Dlaczego miałabym coś ukrywać? Jego głos przeszedł w cichy szept.

- Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć? Roze miała się z udaniem beztrudnie.

- Pan detektyw za bardzo przywykł do przesłuchiwania podejrzanych. Słuchajcie ludzie, którzy nie mają nic do ukrywania. Naprawdę.

- Podobno - odparł. - Ale ja jeszcze nikogo takiego nie spotkałem.

Par minut pó niej po egnął si i wyszedł. Zamkn wszy drzwi na klucz, patrzyła za nim, jak z wła ciw sobie swobod przemierza niewielk przestrze dziel c ich mieszkania. Tym razem jednak jej zainteresowaniu towarzyszyło uczucie niepokoju. Wypu ciła d ina z butelki i nie była pewna, co z tego wyniknie.

John wyszedł od Elizabeth z gotowym planem w głowie. Wst pił na chwil do domu, by załatwi przez telefon odprowadzenie auta Elizabeth z osiedla Pines pod jej dom, poinformował te dy urnego, gdzie ma go szuka , a po kwadransie był ju w drodze do dzielnicy Richmond.

Mimo e był powszedni dzie , na klubowym parkingu stało mnóstwo samochodów, lecz John nie zwracał na nie tym razem uwagi. Po wej ciu do lokalu odszukał hostess , która co prawda okazała si brunetk , lecz urod nie ust powała blondynce sprzed tygodnia, i obdarzył j jowialnym u miechem renomowanego rozrzutnika.

- B d aniołem, laleczko, i znajd mi łaskawie Tracy Kensington - poprosił, wsuwaj c dziewczynie do r ki kilka banknotów. - Bardzo mi na niej zale y.

- Si robi, kowboju. - Dziewczyna u miechn ła si do niego, chowaj c pieni dze w wyci ciu bluzki. - Trafił mi si łatwy zarobek. Tracy ta czy w drugiej sali. Po prawej stronie.

Pod ył znajomym korytarzem do baru z czarnymi cianami i lustrami za kontuarem, lecz w momencie gdy stan ł w drzwiach, w sali zapadła ciemno . Przystan ł wi c i czekał, nie ruszaj c si z miejsca, a kiedy reflektory na nowo zapłon ły, na ka dy stolik padał kr g wiatła, przy czym ten, który padał na scen , był szerszy i intensywniejszy.

Wra enie było piorunuj ce. John nie wiedział, na czym skupi wzrok.

Na ka dym stoliku stała inna tancerka, w rodku za , na podium, królowała Tracy Kensington.

Odezwała si muzyka: Tina Turner szeptała z gło ników czułe obietnice. Manewruj c mi dzy stolikami, zacz ł si przepycha przez zadymion sal ku głównemu podium.

Tracy natychmiast go poznała. Zbli yła si do poprzeczki na kraw dzi podium i j ła owija wokół niej, potrzebuj c grzyw rudych włosów i rzucaj c spojrzenia, których sensu nie umiał odczta .

- Musimy porozmawiać - odezwał się .
- Nie tu - odrzekła, przekrzykując muzykę . - Miała zadzwonić do mnie do domu.

- Dzwoniłem, ale nikt nie odbierał.

Podniósłszy dłoń , wspaniałą nogę , okręciła ją wokół poprzeczki, a jednocześnie nie rzucała po sali nerwowe spojrzenia. Nie była dziś tak figlarna i bez troski jak poprzednim razem. Wydawała się wciąż przestraszona. Nie przeszkodziło jej to jednak posłać Johnowi uwodzicielskie spojrzenie i z fałszywą kokieteryjną zadręgotaną rzęsami.

- Nie chcę z tobą tutaj rozmawiać - oznajmiła. Pragnę zachować pozory, John sięgnął do kieszeni i wyjął kilka banknotów.

- Dlaczego? - zapytał.

- Bo nie. Nie mogę . - Odpychając się rękami, jednym płynnym ruchem znalazła się po drugiej stronie poprzeczki. Był to znany numer, lecz Tracy wykonała go z mistrzowską swobodą . Jej tycjanowskie włosy omiotły mu twarz. Pochyliła nad nim, szepnęła: - Idź stąd. Proszę ci ...

Nie zważając na jej słowa, wsunął dwudziestodolarowy banknot pod cienki pasek na biodrach dziewczyny.

- Powiedz mi, co wiesz o April.

- Nie słyszałam , co mówiłam?

- Owszem, słyszałem, ale to mi nie odpowiada. Albo porozmówimy tutaj, albo bierz się musiała pofatygować na Travis Street.

Posłała mu wystraszone spojrzenie, pierwszy raz okazując wahanie. Szybko się jednak zreflektowała.

- Na komisariat? O nie, chłoptasiu - rzuciła, wystukując rytmowymi niewiarygodnie wysokimi obcasami.

Przysunął się jeszcze bliżej.

- Wiem wszystko o twoich prywatnych występach na zapleczu klubu, Tracy. - Patrzył na nią z podniesionymi brwiami, nie dopowiadając milcząco groby.

- Jesteś niedobry.

- wiat jest niedobry. Poczekam, a skończysz. Wystarczy pięć minut, przyrzekam.

Jednym zrycznym susem przeniosła się na drugi koniec podium, gdzie kontynuowała swój występ, otoczona tłumem młodych gorliwie obdarowanych napiwkami. Ponad ich głowami rzuciła

Johnowi długie spojrzenie. Tym razem nie miał w tliwo ci: Tracy była miertelnie wystraszona.

Par minut pó niej muzyka umilkła i tancerki znikn ły, a wraz z nimi Tracy. John gło no zakl ł, zaraz j jednak dostrzegł. Stała za podium, kto podawał jej szlafrok. Narzuciwszy na siebie króciutkie nakrycie, podeszła i usiadła przy jego stoliku. Natychmiast zjawiała si kelnerka, któr John spławił, wtykaj c jej do r ki par banknotów. Bez wst pów przyst pił do rzeczy.

- Co wiesz na temat znikni cia April? - zapytał. - Chodzi mi o fakty, nie jakie tam domysły.

- Ja nic nie wiem - odparła.

- Kiedy byłem tu poprzednio, mówiła zupełnie co innego. Czy chodziło o klientów, z którymi April spotykała si poza klubem?

- April nie umawiała si z klientami.

- Elizabeth te tak uwa a. Natomiast Greg nie był pewien, a wła ciwie dał mi do zrozumienia, e si z nimi spotykała.

Tracy rozejrzała si trwo liwie.

- To do niego podobne.

John splótl r ce na blacie i pochylił si do przodu.

- Po co Greg Lansing zmy lałby takie rzeczy? Czy miał co wspólnego ze znikni ciem April?

- Nie! - Przygryzła kciuk i zacz ła go ssa , musiała si jednak zorientowa , co robi, bo szybko opu ciła r k na kolana. - Głupia byłem, e ci wtedy zaczepiałam, kapujesz? Nie trzeba było w ogóle otwiera g by.

- Wi c jednak było co , o czym chciała mi powiedzie .

Tracy milczała. Pochylił si jeszcze ni ej.

- Posłuchaj, Tracy, pr dzej czy pó niej i tak si wszystkiego dowiem. Lepiej b dzie dla ciebie, je eli powiesz mi wszystko od razu.

- Nie musz ci nic mówi .

- Owszem, nie musisz, ale kiedy przyjdzie ci si spowiada na komisariacie, po ałujesz, e mnie nie posłuchała.

Zauwa ył kropelki potu wyst puj ce nad jej górn warg .

- Chciałam ci , kochasiu, naci gn na fors , i tyle.

- Nie wierz - o wiadczył wprost. - My l , e było co , o czym chciała mi powiedzie , ale teraz z jakiego powodu zmieniła zdanie.

Gwałtownie potrz sn ła grzyw rudych włosów, jeszcze nim zd ył sko czy .

- To nieprawda! Nic o niej nie wiem, kapujesz? Kompletnie nic!

- April nigdy nie opowiadała ci o sobie? Mo e wspomniała, e si dok d wybiera? Albo e si z kim spotyka? Nie widywała jej z kim ? Mo e z którym z klientów?

- Nic o niej nie wiem!

- A co wiesz o niej i Gregu? Wci z ni kr ci? Podskoczyła na krze le jak pora ona pr dem.

- Odczep si , do jasnej cholery! Powiedziałam, e nic nie wiem i kropka. - Rozejrzała si nerwowo po barze. - I nie przychod tu wi cej ze swoimi głupimi pytaniami. Nic ci z tego nie przyjdzie, a mnie narobisz kłopotów. - Poderwała si i raczej wybiegła, ni wyszła z sali.

Odprowadzaj c j wzrokiem, John przypomniał sobie, co mówiła mu Elizabeth. Czy poprzednio Tracy próbowała go tylko naci gn , czy te od tamtej pory zmieniła zdanie? A mo e zmieniła je pod czym wpływem? John wstał od stolika i skierował kroki do wyj cia. W holu odszukał urodziw brunetk .

- Greg jest dzisiaj w klubie? - zapytał.

- Jasne. Był tu gdzie przed chwil . Jego te mam szanownemu panu dostarczy ? - Umiechn ła si figlarnie, podnosz c jedn idealnie zarysowan brew.

- Dzi ki, laleczko, nie trzeba. Chciałem tylko wiedzie .

- Zawsze do usług - zamruczała kokieteryjnie. - Do zobaczenia, kowboju.

Rozdział 6

„Elizabeth, czy na pewno powiedziała mi wszystko, co wiesz?” Słowa Johna nadal dźwięczały jej w uszach, kiedy następnego ranka ubierała się do pracy. Stojąc potem przed lustrem w łazience i upinając włosy, przypomniała sobie towarzyszący pytaniu wyraz jego twarzy. W dobrych piwnych oczach Johna malował się sceptycyzm. Elizabeth wciąż nie mogła się pozbyć niesmaku na myśl o kłamstwie, jakim go wczoraj poczuła.

Przymknęła oczy, lecz kiedy na powrót je otworzyła, z lustra patrzyła na nią ta sama twarz. Twarz kobiety, która kłamała.

Odwróciła się, wpadła do sypialni po teczkę, która leżała na łóżku, i szybkim krokiem przeszła do salonu. Jak to możliwe, by życie w tak krótkim czasie tak strasznie się skomplikowało! Nie dalej jak dwa tygodnie temu płynęło normalnym trybem, a dziś zmieniło się w istne piekło.

Dziękuję ci, April.

Jednak kiedy wsiadając do wynajętego samochodu, poczuła natychmiast wyrzuty sumienia. Siostrze mogło się zdarzyć coś okropnego, a ona jeszcze jej o to obwinia! Jedyną najbliższą osobą, jak ma na wasz wiecie! Przez dłuższą chwilę robiła sobie gorzkie wyrzuty, w końcu jednak udzieliła sobie rozgrzeszenia, uznając, iż i tak tego mogła czasami ponieść nerwy. Odkąd odrosła od ziemi, musiała się stale zajmować kłopotami April - a przedtem także ich matki. Byłoby miło, gdyby dla odmiany ktoś inny zatroszczył się o jej sprawę.

Kto ją to robi, a w każdym razie stara się, podszeptął jej wewnętrzny głos. John Mallory.

Jadąc autostradą w kierunku rodzimych stron, rozmyślała o wczorajszym wieczorze. John okazał jej niesłuchanie i odwrócił się od serca i pomocy, zarazem jednak pierwszy raz w jego ciemnych oczach dostrzegła coś, co zdawało się wskazywać, że i on kryje w sercu jakieś sekrety. Czy w jego chęci przyjąć jej pomoc nie kryje się jakiś szczególny motyw? Powołując się na statystyki mówiące o sprawcach zabójstw, nie umiał ukryć zawziętości. Elizabeth nie mogła się oprzeć podejrzeniu, że kogoś mu bliskiego, może członka najbliższej rodziny, spotkało coś złego. Przeszedł jej zimny dreszcz i wyłczyła klimatyzację, która nagle wydała się zbędna.

Musiła jednak przyznać, że niezależnie od tego, jakie kierowały nim motywy, niewątpliwie robił, co mógł, aby nie jej pomóc. Nie mogła też zaprzeczyć, że kiedy wczoraj po południu ujrzała jego postać biegnącą ku niej przed domem April, serce zabiło jej szybciej z wrażenia. Miał w sobie coś uspokajającego i kojącego, co sprawiało, że wbrew własnym chęciom pragnęła się do niego zbliżyć.

Ale to niemożliwe.

Niemożliwe, ponieważ nie chce tego, i dlatego... Po prostu nie chce, i już. Poznałby niechybnie jej sekrety, a gdy pozna prawdę, nie potrafiłby z nią pogodzić. Przed Johnem nic się nie ukryje, nie miała w tym wątpliwości. Prędzej czy później dowiedzie się wszystkiego. To wyłącznie kwestia czasu.

Wciąż nie rób sobie złudzeń, snuła dalej swoje myśli. Możliwość polega tylko na sobie. Byłoby grubym błędem wyobrazić sobie, że jest inaczej. Jeżeli chcesz się dowiedzieć, co przydarzyło się April, musisz sama zacząć działać.

Doszedłszy do tego wniosku, jął na nowo rozważać sytuację. Pomysł Johna, by przeszukać mieszkanie April, był logiczny i rozsądny, mimo iż siostra nie trzymała w domu żadnych cennych rzeczy. Próba włamania dowodnie pokazała, że mieszkanie nie jest bezpieczne, a April pewnie zdawała sobie z tego sprawę. Elizabeth dzwoniła na policję, ale śledztwo w sprawie ustalenia to samo ci włączywać nie posunęło się ani o krok. W dzielnicy o tak wysokim wskaźniku przestępczości policjanci nie mieli czasu zajmować się takim drobnym napadem, i April również z tego zdawała sobie sprawę. Wspomniała kiedyś siostrze, że cenne albo wartościowe dla niej rzeczy woli przechowywać w klubie.

Dopiero po chwili uświadomiła sobie sens tej refleksji. Oczywiście, pomyślała, uderzając ręką o kierownicę. Trzeba było od razu pojechać do Esquire i zajrzeć do szafki, w której April trzymała swoje rzeczy. Wiedziała, jakim szyfrem można otworzyć zamek; we wszystkich okolicznościach używały tej samej kombinacji, a była nią data urodzin ich matki. Jeżeli April planowała wyjazd, w szafce mogły zostać jakieś lądowe w rodzaju notatki z godzinami odlotu samolotów albo coś w tym rodzaju.

Niezważąc na trzęsienie jadących za nią samochodów, Elizabeth przerzuciła się nagle na prawy pas i już po chwili zjechała z autostrady. Kręcąc bocznymi uliczkami, po upływie zaledwie

dziesi ciu minut dotarła na niemal całkowicie pusty parking przed klubem. W pobliżu wygaszonego neonu stało osamotnione bmw, niechybnie pozostawione minionej nocy przez właściciela, który po libacji wolał nie siadać za kierownicą.

Widok porzuconego samochodu uwiadomił jej, że cały ten pośpieszny wypadek jest od początku czystą stratą czasu. Co za bezmyślność! Mogła przecież przewidzieć, że o tak wczesnej porze nikogo w klubie nie zastanie. Pewnie zaledwie parę godzin temu porzuciła się do domów.

Ze stropioną miną popatrzyła na ozdobną fasadę budynku, która w jasnym porannym świetle miała wygląd pretensjonalny. Elizabeth była w klubie tylko raz. Z ciekawości, chcąc zobaczyć taniec siostry, zakradła się kiedyś w noc bez jej wiedzy, ubrana w tanie sukienki, które potem wyrzuciła, osłoniwszy twarz ciemnymi okularami. Nie było wprawdzie żadnego istotnego powodu, aby to wizyt trzymać w tajemnicy, Elizabeth wolała jednak nie mówić o niej siostrze. Tłumaczenie, dlaczego to zrobiła, byłoby... zbyt skomplikowane.

Włączyła stacyjkę i skierowała się na powrót ku autostradzie. Dopiero koło południa znalazła chwilę czasu, żeby zadzwonić do klubu.

- Słucham, tu Esquire.

- Tracy? Mówi Elizabeth Benoit. Zastanawiałam się, czy...

Tancerka przerwała jej w pół słowa:

- Powiedziałam ci wczoraj temu w ciemnym detektywowi, że nie wiem nic na temat zniknięcia April, więc dajcie mi spokój. Niczego się ode mnie nie dowiesz, bo nie mam o niczym pojęcia.

Elizabeth dopiero po sekundzie zrozumiała, co nastąpiło. Najwidoczniej wczoraj wieczorem John zadzwonił do Tracy albo przyjechał do niej do klubu, a Tracy postąpiła zgodnie z jej przewidywaniem - spławiła go. Zamiast więc, jak zamierzała, zapytać Tracy o szafkę April, postanowiła grać na zwłokę, przedłużając rozmowę.

- Tak, słyszałam, co mi powiedziała. Ale ja wiem swoje. April mówiła mi, że się tobie zwierzała.

- A co? - Tracy z podniecenia podniosła głos. - To ja ci powiem... że ci okłamała. Z niczego mi się nie zwierzała. Ona kłamie - powtórzyła.

- A ja myślałam, że to ty nie mówisz prawdy.

- Mam w nosie, co sobie myślisz. Nic nie wiem o April i nie mam pojęcia, gdzie się podziała. Nie wyobrażaj sobie, że się przestraszę jakiejś fumiastej pani mecenasz z naszego biura. Nie mam ci nic do powiedzenia, panienko Benoit!

Elizabeth wyobraziła sobie minę Tracy. Pewnie triumfowała z powodu zniknięcia April i cieszyła się, że jej siostra ma teraz zmartwienie.

- Tracy, posłuchaj mnie... Nie chcę ci dokuczać, próbuj tylko ustalić, co mogło się zdarzyć. Może sobie chyba wyobraziła, co przeżyłam. Pomyśl, proszę. Może jednak coś wiesz?

Tym razem Tracy przybrała zimny, odpychający ton.

- Powiedziałaś wczoraj temu gościowi, że nic nie wiem i nic więcej nie mam ci do powiedzenia.

- A może któraś z dziewcząt coś słyszała?

- Nie mam pojęcia.

- Mogłabyś się dowiedzieć?

- Sama je zapytaj, jak ci tak zależy.

- świetna rada - mruknęła Elizabeth, bezradnie pocierając czoło.

- Już widzisz, jak się piesz z dobrymi radami. Tyle samo się od nich dowiem, co od ciebie.

Zapadło krótkie, pełne napięcia milczenie. Wreszcie Elizabeth usłyszała głos Tracy:

- Jeśli sobie wyobrażasz, że będą ci pomagać, to musisz być jeszcze głupsza niż ten gliniarz, którego na mnie nasłała. Powiem ci jedno, morderco - idź do diabła!

To mówiła, Tracy odłożyła słuchawkę, nim Elizabeth zdążyła zareagować.

W ten sposób nigdy nie skłonił Tracy do mówienia. Inne dziewczęta też nabiorą wody w usta. Z Grega Lansinga też niczego nie wycignie.

Tworzyli własny zamknięty wiaterek, do którego nikt obcy nie miał dostępu. John nie przeniknie tego muru, bo nie ma nakazu, ona też go nie przebije. Są obcy. Są intruzami, z którymi się nie rozmawia.

Elizabeth wyjrzała przez okno. Przywykła obcować z liczbami, z kolumnami cyfr, które albo się sumowały, albo nie. Spróbowała spojrzeć na sytuację innym okiem, z innej perspektywy. Jest tylko jeden sposób...

Rozwianie samo się nasunęło, lecz natychmiast je odrzuciła. Wszystko, tylko nie to. Za nic w świecie.

Zajęła się pracą. W pierwszym rzędzie zadzwoniła do Lindy Tremont, prosząc o podanie paru informacji niezbędnych dla dokonania raportu. W trakcie rozmowy odpowiedziała Lindzie na kilka uprzejmych pytań z jej strony, dotyczących April. Po odłożeniu słuchawki zajęła się studiowaniem innej sprawy.

Dopiero późnym wieczorem opadły jej na powrót niespokojne myśli. Czekała, czekając bezsennej nocy. Musi odnaleźć siostrę, tylko to jest ważne. April, w przeciwieństwie do niej, nigdy nie umiała o sobie ożadbać. Czy siostra chce tego, czy nie, Elizabeth musi się o nią zatroszczyć, tak jak kiedyś troszczyła się o ich matkę.

Poczuła gwałtowny ucisk w gardle, a po jej policzkach zaczęły spływać gorzkie łzy. Niech to diabli, myślała, April jest mi tak samo niezbędna, jak ja jej. Życie bez siostry straciłoby wszelki sens. Chociaż nie umiały już czytać nawzajem swoich myśli tak jak dawniej, to jednak nadal ją czytała niepojęta, nierozrwalna więź, która nadawała sens całej ich egzystencji.

Elizabeth usiadła i popatrzyła najpierw na budzik - była druga nad ranem - a potem na przeciwległą ścianę. Gałęzie rosnące tuż za oknem drzewa mirtu poruszały się w porywach wiatru jak cienie, a uderzając o szybki wydawały nieprzyjemny, skrzypiący dźwięk, który przywołał przykre wspomnienie z dawnych lat.

Niedługo po śmierci ojca Elizabeth miała koszmarne sen. Jeszcze dziś, po upływie szesnastu lat, nie mogła o nim myśleć bez zgrozy. Przygnięto jej się trzaskiem ziemi; wszystko wokół niej waliło się i pękło; cały ukochany, znajomy wiatr zniknął w bezdennej, czarnej czeluści. Uczucie wszechogarniającego rozpadu było tak przerażające i tak realne, że na samo wspomnienie Elizabeth zamarło serce. Nigdy, ani przedtem, ani potem, żaden sen tak nie wstrząsnął ani nie zapisał się tak mocno w jej pamięci.

Obudziła się wtedy z krzykiem, słysząc głos siostry, która wzięła ją w ramiona i poczęła głaskać czule po plecach.

dzi pomyślała o owym dawnym, wspólnym przeżyciu, które było tak słodkie i miłe, a na jego wspomnienie ogarnęła ją fala wzruszenia.

Ona i April nie mogły być bez siebie.

Nie zastanawiając się, nawet nie zapalając światła, wyciągnęła rękę w stronę telefonu.

John odłożył słuchawkę, starając się zachować spokój. Nie trzeba wpadać w panikę tylko dlatego, że Elizabeth przez cały wieczór nie odbiera telefonu. Ostatecznie jest sobota, a kobieta tak piękna jak ona na pewno ma wielu adoratorów. Z powodu zniknięcia siostry nie musi rezygnować z normalnego życia. Najprawdopodobniej wybrała się do restauracji, do kina albo na drinka. Nie musi się przed nim opowiadać.

Siedząc za biurkiem w zatłoczonym komisariacie, John z pogardą odrzucił to wyjaśnienie, które tylko na pozór miało sens. Nie ma co się oszukiwać. Przecież zdaje sobie świetnie sprawę, jak bardzo Elizabeth przeżywa zniknięcie siostry. Jeżeli nie ma jej w domu, to znaczy, że wybrała się dokądś w nadziei odnalezienia April. Oby tylko nie przyszło jej do głowy wrócić do mieszkania siostry. John starał się nie wyolbrzymiać sprawy włamania, co mu jednak podpowiadało, że nie był to przypadkowy napad.

Przypomniawszy sobie niespokojny wzrok Tracy Kensington. Skąd mu się bierze to uparte przecucie, że rozwiązanie zagadki należy szukać w klubie?

Ponieważ dzieją się tam rzeczy dziwne i podejrzane, odpowiedział sam sobie. Bardzo podejrzane.

Kryształowe kryształki, lśniące parkiety, atmosfera bogactwa i luksusu to tylko pozory. Klub Esquire to nic więcej jak kolejny nocny lokal ze striptizem, za którego olśniewającą fasadą dzieją się takie same łajdactwa jak w każdej innej nocnej knajpie. Narkotyki. Hazard. Prowadzące do ogólnych orgii prywatne występy w zamkniętych gabinetach. Goście Esquire mogą przyjechać luksusowymi samochodami i palić cygara, których cena przekracza tygodniową pensję Johna, ale w istocie niczym się nie różni od bywalców innych podobnych lokali, gdzie drinki są tańsze, a striptizerki nie tak piękne i młode. Rekrutują się spośród wykończonych i nieudaczników, ludzi, którym obsunęła się noga, nie są „na fali”. Poszukują zapomnienia i zastępczych wrażeń.

Kluczem do zniknięcia April trzeba szukać w klubie. Zerknąwszy na zegarek, odrzucił ołówek, który obgryzał od dłuższej chwili. i

zerwał się na nogi. Zdjął cały kapelusz z wieszaka, szybkim krokiem skierował się do wyjścia.

Nazajutrz po włamaniu Elizabeth załatwiła podłogę przed wejściem do mieszkania April. Kazała tam wstawić wykładnię. Stojąc teraz przed zamkniętymi drzwiami, otworzyła nowym kluczem, który ona sama dostała z zamku, po czym wsunęła rękę i nacisnęła kontakt. Dopiero kiedy zapłonęło górne światło, rozpraszając ciemność w holu i w salonie, zdecydowała się na przekroczenie progu.

Była sobota wieczór i miała niewiele czasu. Zwlekając z przyjazdem do ostatniej chwili; patrzyła teraz pod nogi, rozumiała dlaczego. Zarządcą domu przysłał na jej prośbę człowieka do wyszorowania podłogi, ale jego wysiłki nie na wiele się zdały. Ślady krwi były wciąż widoczne. Z trudem przełknęła ślinę. Czy włamanie było przypadkowe, czy też kryło się za nim coś groźniejszego? Lepiej się nad tym nie zastanawiać.

Ominając plamy na podłodze, udała się wprost do sypialni siostry i otworzyła wnękę na ubrania. Chwilę stała przed rzędami ubrań, nim lekko drąc ręką zaczęła rozgarniać upchnięte gałki wieszaki. Po krótkiej chwili znalazła to, czego szukała. Zgodnie z jej przewidywaniami April zachowała ozdoby maseczki.

Wyciągnęła rękę, która drżała coraz bardziej, i dotknęła wymyślnego nakrycia twarzy, a gdy poczuła pod palcami jedwabiste pióra, niemal nie cofnęła się z krzykiem. Dotyk maski obudził wspomnienia, których siła była wręcz porażająca. W jednej chwili wszystko ożyło w jej pamięci, jakby to było wczoraj. Ogłuszająca muzyka, snujący się w powietrzu dym z papierosów, rozgorczkowane twarze, prostackie okrzyki.

Szybko zdjęła maskę z wieszaka i wycofała się z garderoby, w której nagle zrobiło się za ciasno.

Choć sypialnia była bardzo mała, pokonanie dwumetrowej odległości dzielącej wnękę od lustra wymagało od Elizabeth ogromnego wysiłku. Kiedy dotarła do celu i spojrzała w lustro, osoba stojąca przed nią nie była tą samą kobietą, która minut wcześniej pewnym krokiem wchodziła do pokoju.

Zobaczyła wystraszony siedemnastolatek; wygłodzony, pozbawiony rodaków do życia dziewczyn, której z dawnej egzystencji nie zostało nic prócz poczucia godności, a i ono miało za chwilę rozwiać się wniwecz.

Elizabeth nogi odmówiły posłuszeństwa i z westchnieniem rozpaczy osunęła się na łóżko. Mocne postanowienie, z jakim tu przyszła, zaczynało ją opuszczać. Chyba pomieszało ci się w głowie, pomyślała.

Wcisnąła maskę w rękach, kiwała się w przód i w tył.

- To niemożliwe - szeptała. - Nie potrafi się na to zdobyć. Nie chcę do tego wracać.

Odeszła tak daleko, tak wiele dokonała... po to, by wrócić do punktu wyjścia? Bezradnie kręciła głowę, mając uczucie, jakby trzymane w spoconych dłoniach cekiny i pióra paliły ją i stawały się coraz ciśnie. Zresztą pewnie i tak nic by z tego nie wyszło. Najpierw muszę ją rzeczywiście zatrudnić, a potem trzeba się zaprzyjaźnić z tancerkami - i to szybko. A jeśli się okaże, że dziewczyny naprawdę nic nie wiedzą? Cóż za nedorzeczny pomysł, mówiła sobie w duchu. Pomysł godny April, a nie jej.

Uspokajając się powoli, przesiadła na skraju łóżka jeszcze parę chwil, a w końcu zebrała się w sobie, odetchnęła głębiej i stanęła na nogi. Podeszła do lustra, obiema rękami podniosła maseczkę i nałożyła ją na twarz, umocowała na tyle głowy gumkę, którą ukryła pod włosami, podobnie jak spinki na skroniach. Jeszcze raz poprawiła maseczkę i przyjrzała się swemu odbiciu.

Maska była zrobiona z grubego, haftowanego srebrno - złotymi niemi jedwabiu. Wyrastały z niej białe pióra, które tworzyły wdziaczny łuk nad czołem i okalały policzki, niemal całkowicie zasłaniając twarz. Otwory na oczy obszyte były kilkoma rzędami połyskliwych cekinów, które na obwodzie miały kolor błękitny, a ku środkowi stawały się coraz ciemniejsze. Krąg najwęższy miał barwę nocnego nieba - niemal czarną. Widoczne w skośnych wycięciach oczy błyszczały niezwykłym blaskiem. Trudno było odgadnąć, gdzie kończą się oczy, a zaczynają się cekiny.

Patrzyła długo, a obraz w lustrze zasnuł się lekką mgłą. Zdjęwszy maskę, odłożyła ją ostro nie na łóżko, wróciła do garderoby i po chwili odnalazła wieszak z resztą stroju. Był czysty i wyprasowany, gotowy do włożenia, jak przed laty. Tłumiąc wewnętrzny bunt, zdjęła ostro nie strój z wieszaka i razem z pasującymi do niego pantoflami na wysokich obcasach starannie ułożyła na łóżku. W parę minut później miała wszystko zapakowane

do specjalnie przyniesionej w tym celu torby na ubrania. Odstawiwszy ją na łóko, udała się do łazienki i zajrzała do szafki za umywalką.

Kosmetyki April były na swoim miejscu. Elizabeth wyjęła z szafki czarny skórzany kuferek. Był on wypełniony po brzegi wszelkiego rodzaju i koloru szminkami, podkładami i pudrami, tuszami, cieniami do oczu i różami na policzki. Miały one barwy o wiele jaskrawsze niż te, których używała Elizabeth. Po starannym umyciu twarzy zaczęła się malować na nowo. Szybko i wprawnie nakładała na twarz znalezione u siostry kosmetyki. Kiedy po skończonym zabiegu spojrzała w lustro, efekt był oszałamiający.

Osoba w lustrze była nie tylko inna, ale wręcz obca i nieznana. Nikt by w niej nie rozpoznał spokojnie i konserwatywnie ubranej prawniczki, która specjalizowała się w prawie podatkowym. Na jej miejsce pojawiła się egzotyczna piękność o oczach mocno podkreślonych czarnym tuszem i przydymionymi cieniami na powiekach, uwydatnionych białym owoczerwonym różem policzkach i pełnych, krwistoczerwonych wargach.

Patrzcie na swoje nowe wcielenie, powiedziała: „Przyszłam, bo szukam pracy”. Nie, trzeba inaczej. Zaczęła jeszcze raz, z lekkim przydechem: „To ja dzwoniłam wczoraj”...

Zamknęła oczy, lekko potrzyła głowę, jakby chciała się pozbyć resztek swej byłej tożsamości. Potem znieruchomiła na długi chwilkę, wywołując w pamięci obraz mężczyzny, którego bardzo musiała przekonać, a kiedy wreszcie była gotowa, jej głos brzmiał przecięgle i gardłowo, a z oczu sypały się iskry.

- Nazywam się Lizzie Bennet - zaczęła szybko, ze zniewoleną pewnością siebie. - Słyszałam, że potrzebujecie tancerki.

John wjechał na zatłoczony parking przed Esquire i zajął miejsce po odjeździe jakiegokolwiek samochodu. Zamknęła drzwi na klucz, skierował się do wejścia.

Tłok, jaki zapamiętała z wcześniejszych wizyt, był niczym w porównaniu z dzisiejszym tłokiem. Unoszący się w powietrzu dym i opary drogich perfum niemal uniemożliwiały oddychanie, a klientela wyglądała nie mniej wytwornie niż poprzednio. Tym razem jednak nie dał się zwieść pozorom. Z oczu wielu kobiet wycierała rozpacz, a na twarzach mężczyźni malowała się chęć. Po co tu przychodzić? - myślała. Czego szukają?

Zapewniwszy się w ciemny korytarz, zmierzał szybkim krokiem do gabinetu Grega Lansinga, kiedy ktoś nieoczekiwanie zawołał go po nazwisku. Rozejrzał się w lewo i w prawo po ciemnym wnętrzu przypominającej jaskini zadymionej sali, i po prawej stronie dostrzegł grono mocno już podchoconych detektywów. Jakiś w duchu na ich widok. Nie ma rady, trzeba się przywitać. W przeciwnym razie do końca wiatu nie przestaniesz się go czepiać.

- Cześć, Mallory, co ci tu sprowadza? - Pat Ricker z wydziału zabójstw podniósł kufel piwa, kiedy John zbliżył się do ich stolika. - Nie sądzę, że gustujesz w tego typu lokalach.

John uśmiechem powitał Pata i jego towarzyszy. Wiąkszość z nich znał, a tym, których nie znał, uprzejmie skinął głową. Uznał, że zamiast tłumaczyć, co tutaj robi, prościej będzie udać się bywalca.

- Ale mnie ocenił, stary. Stale tu bywam. To mój ulubiony lokal. Znam wszystkie dziewczyny tutaj.

Rozległo się cmokanie, a jeden z młodszych, siedzący blisko podium policjant zagadnął:

- No to opowiedz, jak blisko je znasz, detektywie? - I nie czekając na odpowiedź, rzucił kolegom porozumiewawcze spojrzenie, dodał: - Robiłem przedtem w obyczajówce, nie? Tam dopiero można na zawręczane dobrze znajomo ci! Podobno...

John włączył się w ogólną wesołość, a odnalazłszy w pamięci nazwisko młodego człowieka, wtrącił:

- Masz rację, Dixon. Opowiem ci o nich ze szczegółami, jak tylko zaczniesz się golić.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem i zaczęli go namawiać, aby się przysiadł. John obronnym gestem podniósł rękę.

- Zmił się ci, chłopcy, ale innym razem. Jestem umówiony.

Zaczęli wołać jeden przez drugiego:

- No jasne! Powodzenia!

- Ruda czy brunetka?

- Załóż się, że brunetka.

John

Orleanu. Oto Leda! Panie i panowie, prosimy o gorące powitanie naszej nowej gwiazdy!

Zapadły kompletne ciemno ci. John był uwiązony. Próbuje wyjść, niechybnie potknąłby się o najbliższy stolik.

- Hej, siadaj pan! - krzyknął ktoś za jego plecami.

Nie pozostało mu nic innego, jak skorzystać z podsuniętego usłu nie krzesła.

Skierował wzrok na podium. Padające na podłogę pojedyncze wiązka reflektora sunęła powoli w górę. W kręgu wiązki ukazały się ostre noski białych pantofelków na wysokim obcasie, potem długie nogi, zdające się nigdy nie kończyć... a po chwili ciało tak uwodzicielsko spowite w przezroczystą materię, że Johnowi w jednej chwili przestało się śpieszyć do wyjścia.

W sali zaległa kompletna cisza. Twarz kobiety nadal tonęła w ciemnościach. Rozległy się pierwsze dźwięki muzyki - znanej melodii Eaglesów „Czarodziejka” - powolne i zmysłowe nuty o tak nieodparcie sugestywnym rytmie, iż John doznał uczucia, jakby krew w jego żyłach pulsowała razem z nim. Współzaczynał wpatrywał się jak urzeczony w snop sunącego w górę wiązki.

Kiedy na koniec reflektor oświetlił całą postać tancerki, John otworzył usta i wypuścił wstrzymywane dotychczas w płucach powietrze.

Górniczość jej twarzy zakrywała ozdobiona piórami, naszywana cekinami karnawałowa maska. Widoczne było jedynie oczy. Obwiedzione lśniącymi czerni cekinami, wpatrywały się w widzów. Pod białym przewitującym woalem miała na sobie tylko złoty przepasek na biodrach i dwa białe kręgi na pełnych, krągłych piersiach, tym bardziej działających na zmysły, że ocieniała je wiotka materia i były nie do końca odkryte. Kobieta stała nieporuszona, ale w powietrzu wisiało niemal namacalne napięcie. Johnowi wydało się, że czuje jego metaliczny, budzący tym większe łaknienie smak.

Widział, jak tancerka omiata wzrokiem widownię. Kiedy skierowała spojrzenie na ich stolik, John gotów był przysięgnąć, że patrzy wprost na niego. No cóż, wszyscy mężczyźni na sali myśleli pewnie to samo. Każdą chciałby sobie wmówić, że dziewczyna ta jest tylko dla niego.

Muzyka zabrzmiała głośniejszo, jej rytm stał się szybszy. Tancerka drgnęła. Płynnym i niespiesznym, najpierw ledwo widocznym, potem nieco szybszym ruchem, rozpoczęła swój taniec. Po paru sekundach

jej biodra ją rytmicznie falowa w idealnej zgodzie z muzyką, a potem uniosła ramiona i całe jej ciało wiło się w powolnym, zmysłowym, erotycznym tańcu.

Johnowi, choć w tym specjalnie nie gustował, zdarzało się bywać w nocnych lokalach, ale nigdy dotąd nie widział czegoś podobnego. Ciało tancerki tak idealnie wyczuwało muzykę, najdrobniejszym ruchem czy drgnieniem ręk i bioder wydobywając poszczególne nuty i frazy, każdą zmianę rytmu, i miało się wrażenie, że melodia nie płynie z zewnątrz, lecz z niej samej. John wpatrywał się w tancerkę oniemiały z wrażenia.

Występ musiał trwać co najmniej pięć minut, lecz kiedy się skończył, wydawało mu się, że upłynęła zaledwie sekunda. Światło momentalnie zgasło, muzyka ucichła, a oczarowani widzowie na moment wstrzymali oddech. Kiedy znów zrobiło się jasno, scena była pusta. Rozległy się huczne oklaski, gwizdy i wołania o bis.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że tancerka nie rozebrała się do końca. I w tej samej chwili uświadomił sobie, kim była.

Rozdział 7

Tracy Kensington stała w ciemnym k cie za kurtyn , kiedy Elizabeth zbiegła ze sceny za kulisy. Zdejmuj c z twarzy mask , otarła si o rud tancerk . Nogi dr ały jej lekko, nie tylko ze zm czenia, ale i zdenerwowania.

Wbrew wcze niejszym obawom, podczas wyst pu nie odczuwała tremy. Muzyka owładn ła ni od pierwszej chwili, a ona bez najmniejszego wysiłku poddała si jej dyktatowi. Elizabeth była wr cz przestraszona łatwo ci , z jak weszła w dawn rol . Zawsze sobie wmawiała, e zgodziła si wyst powa z jednego i tylko jednego powodu - dla zdobycia pieni dzy. I e w przeciwie stwie do April taniec nie sprawia jej przyjemno ci. Teraz zadała sobie pytanie, czy przypadkiem przez wszystkie te lata nie okłamywała samej siebie. Kiedy znalazła si na scenie i bez reszty uległa muzyce, zapomniała o wszystkich troskach, koncentruj c si całkowicie na ta cu.

Dopóki na widowni nie dostrzegła Johna.

Tracy wyci gn ła r k , by zatrzyma zbiegaj c z podium Elizabeth.

- Czy co si stało? Czemu tak zbladła ? Zobaczyła ducha czy co?

- Ja... Nie, dzi ki, nic mi nie jest - odparła Elizabeth, ogl daj c si przez rami .

Czuła, e John zaraz do niej podejdzie. Nie miała poj cia, co jej powie, ale cokolwiek powie albo zrobi, nie chciała, eby Tracy była tego wiadkiem. Musi jak najdłu ej zachowa anonimowo , bo w przeciwnym wypadku dziewcz ta nabior wody w usta. Cofaj c si lekkim truchtem, dodała:

- Po prostu wyszłam troch z wprawy.

- Nie powiedziała bym tego - ze szczerym podziwem stwierdziła Tracy. - Na moje oko była cholernie dobra.

Elizabeth spodziewała si , e Tracy oka e jej niech i b dzie si boczy - ostatecznie Lizzie Bennet była jej now potencjaln rywalk - tymczasem nic takiego nie nast piło. Tracy zachowywała si przyja nie, a nawet serdecznie. Czy by April mijała si z prawd , win za ich niesnaski obarczaj c wył cznie rud kole ank ?

- Dzi ki, to miło z twojej strony - powiedziała, ruszaj c w gł b korytarza.

Tracy nadal si jej przypatrywała.

- Wygl dasz mi dziwnie znajomo - rzekła nagle. - Nie spotkały my si ju kiedy ?

Elizabeth zrobiło si sucho w ustach. Rzeczywi cie, raz si widziały, lecz miała nadzieję , e Tracy nie b dzie jej pami ta . Bo i dlaczego? Je li chodzi o podobie stwo do April, to nie mogło si ono rzuca w oczy, poniewa siostra rozja niała włosy i robiła trwał , podczas gdy Elizabeth zachowała naturalny kolor i nie kr ciła włosów. W dodatku April nosiła zielone szkła kontaktowe, co czyniło j jeszcze mniej podobn do siostry. Elizabeth wołała jednak na wszelki wypadek rozproszy w tpliwo ci Tracy.

- Nie s dz - skłamała, zatrzymuj c si i obdarzaj c rudowłos kole ank miłym u miechem. - Chocia ludzie wci mi mówi , e kogo im przypominam. Widocznie mam mnóstwo sobowtórów.

- Oj, nie - upierała si Tracy. - Strasznie mi kogo przypominasz, tylko teraz nie mog sobie u wiadomi kogo. Ale to wróci. Nigdy nie zapominam twarzy.

Z tyłu za nimi wszcz ł si jaki harmider; Elizabeth zabiło serce. Pewnie John.

- Słuchaj, Tracy, musz ju lecie - powiedziała. - Pó niej pogadamy. Zgoda?

- Jasne - odparła tancerka. - Mo e do tego czasu przypomn sobie, sk d ci znam.

Modl c si w duchu, by pami Tracy okazała si zawodna, po pieszyła w skim przej ciem do mieszczcej si na ko cu garderoby. W korytarzu i na całym zapleczu panował ponury mrok, a w powietrzu unosił si zapach piwa - kulisy lokalu w niczym nie przypominały sal przeznaczonych dla go ci. Kiedy otwierała odrapane drzwi małego pokoiku, w których przebierały si tancerki, za jej plecami rozległ si dono ny, nie znosz cy sprzeciwu głos Grega.

- Lizzie? Pozwól na chwil .

Odwróciła si wolno, z bij cym sercem. W r ku nadal trzymała swoj ozdobn mask . Ciasn przestrze zajmowało dwóch m czynn, których najmniej chciała w tej chwili spotka : Greg Lansing - wyra nie z czego niezadowolony, i John Mallory - z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

- O co chodzi? - Umy lnie powiedziała to ostrym, prawie niegrzecznym tonem. - Mam tylko par minut, musz si przebra .

Greg ruchem głowy wskazał Johna.

- To pan John Mallory, detektyw z wydziału zabójstw komendy głównej. Chce z tob porozmawia . Bob zatrzymał go, jak wchodził za kulisy.

Bob, były zapaśnik, pełnił w klubie funkcję ochroniarza. Elizabeth wyobraziła sobie ich spotkanie. Dobrze przynajmniej, że John jej nie zdekonspirował. Na razie.

- Nie znam go. - Odwróciła się do nich plecami i pchnęła drzwi do garderoby. John jednak, podobnie jak wtedy w kuchni, w jednej sekundzie znalazł się przy niej.

W ciasnym i mrocznym korytarzu trudno było się poruszyć. Niewielką przestrzeń wypełniała bez reszty jego masywna postać o szerokich ramionach. Niemal przewiercając Elizabeth wzrokiem, John zdecydowanym ruchem przytrzymał jej dłoń, która nadal spoczywała na klamce. Zarówno ten gest, jak i ton głosu, gdy się odezwał, były twarde i surowe, wręcz groźne. Niemniej jednak ani wyraz twarzy, ani sposób, w jaki się do niej zwrócił, nie przeszkodziły Elizabeth uwiadomić siebie ku własnemu zaskoczeniu, jak silnie wrażeń robi na niej jego fizyczna bliskość.

- Nie musisz mnie znać - warknął. - Muszę zadać kilka pytań i odpowiesz mi na nie, czy ci się to podoba, czy nie. A może mam ci pokazać policyjne odznaki?

Rozumiała, że stara się zachować pozory, a jednak poczuła lekki strach. Nie było z nim żartów. Spojrzała mu wyzywająco w oczy.

- Nie zrobiłam nic złego.

- Nic takiego nie mówiłem.

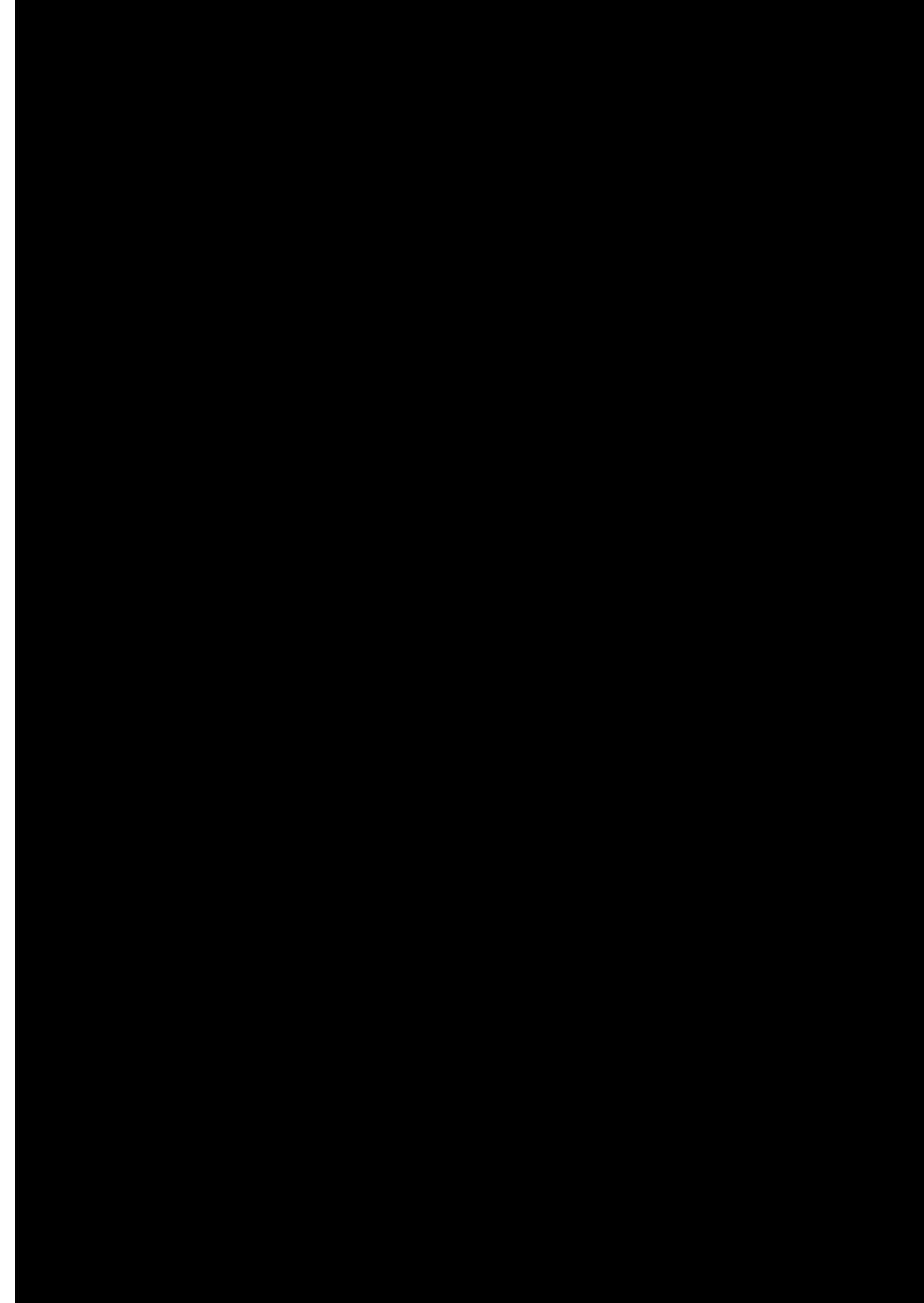
- Wiem o co chodzi?

- Myślę, że dobrze pani wie, panno Ledo.

Zapłonęła się za powiekami, wiadoma jego fizycznej bliskości, a tak obecność Grega Lansinga, który stojąc nieopodal, uważnie przysłuchiwał się ich rozmowie. Rzuciła na niego okiem. Tracy też się pojawiła. Greg mierzył ją baczny spojrzeniem. Widać zastanawiał się, co to wszystko znaczy i jak ona odgrywa w tym rolę. Jeśli nie okaże się dostatecznie wojownicza, może nabierać podejrzeń. Jeśli zachowa się zbyt agresywnie, pomyśli, że coś ukrywa.

- Czy muszę koniecznie rozmawiać z tym facetem?

- Tak - szorstko odrzekł Greg. - Inaczej nie da nam spokoju. Tylko uważaj, żebyś się nie spotknęła na następnym występie.



Zrobiło mu się przykro przy Elizabeth. W tej chwili dobrze by jej zrobiło co mocniejszego.

Milczenie zdawało się trwać nieskończenie. Wreszcie John pochylił się nad stolikiem i spojrzał na nią w oczy, niespodziewanie dla samego siebie ośmielił się powiedzieć:

- Była znakomita.

Nieoczekiwany komplement odebrał jej na moment głos.

- Dziękuję - wybuchła po chwili.

- Jesteś niezwykle muzykalna.

- Hm.

- Ale tego rodzaju tańca nie nauczyła się chyba w szkole Harriet Beecham w Dallas?

Opuściła na chwilę oczy.

- Nie, nie tam - odparła, podnosząc wzrok.

- Możesz mi o tym opowiedzieć?

Popatrzyła na niego. W głębi jej czarnych oczu dostrzegł niemy wyrzut i udręknienie.

- Nie tutaj - powiedziała, potrząsając smutno głową. - I nie teraz.

W pierwszej chwili chciał przyprześć się do muru, ale się rozmyślił. Wobec Elizabeth taka taktyka nie da dobrego skutku. Musi uzbroić się w cierpliwość. Skłonił głowę.

- Wiem, powiedz mi, proszę, co zamierzasz osiągnąć... - obrzucił spojrzeniem jej strój - w ten sposób.

- Mam nadzieję skłoni dziewczynę do tego, żeby zaczęła ze mną rozmawiać. A poza tym, chciałabym zajrzeć do szafki April.

- Nie mogła zwyczajnie poprosić Grega, żeby ci ją otworzył?

- I tak by się nie zgodził.

- Nie wie, kim jesteś?

- Nie. Nigdy mnie nie widział.

- Nie boisz się, że podobieństwo do April może ci zdradzić?

- Przecież widziałe jej zdjęcie. Z rozjaśnionymi na blond, kręconymi włosami i w zielonych szklach kontaktowych nie wyglądała wcale na moją siostrę, a cóż dopiero bliźniaczkę.

Pokiwał w zamyśleniu głową.

- I jak długo zamierzasz się w to bawić?

- Nie wiem. Chyba do skutku.

- A twoja praca?

- Musi poczeka . W tej chwili nie ma dla mnie nic wa niejszego ni odnalezienie April. Betty dostała instrukcje, co mówi klientom. e z wa nych przyczyn osobistych, z powodu zagini cia siostry, musiałam na pewien czas wzi urlop. O niczym nie musz wiedzie .

- A to pilne zlecenie, o którym mi mówiła ? Sprawa Mastersona?

- Pracuj nad tym w domu, w wolnych chwilach. Rozejrzał si po sali.

- Nie obawiasz si , e kto mógłby ci tutaj rozpozna ?

- Nie s dz . Zwłaszcza w masce na twarzy. - Wzruszyła ramionami. - Zreszt nawet gdyby... Mam to w nosie. Tylko April naprawd mnie obchodzi.

Odpowied wiadczyła o bezinteresowno ci, do której zd ył ju u niej przywykn , niemniej poczuł si zaniepokojony całkowitym brakiem troski o własny los.

- A co z tob , Elizabeth? - spytał, pochylaj c si ku niej przez malutki stolik. - To nie jest bezpieczne miejsce.

- Nie bój si , dam sobie rad .

- Jeste tego pewna?

- Od dwunastego roku ycia musiałam sama dba nie tylko o siebie, ale i najbli szych. My l , e z tym klubem te sobie poradz .

- A je eli kto tutaj jest zamieszany w jej znikni cie?

- Tego wła nie chc si dowiedzie .

- Zanim odkryj , kim jeste ?

- W tym cała rzecz. Przez chwil milczał.

- Widz , e nie zauwa yła , e co si stało Gregowi Lansingowi - rzekł w ko cu.

- Co takiego?

- Ma obanda owan r k .

Otwierała usta, by co powiedzie , kiedy do stolika podeszła kelnerka. Nachyliła si i szepn ła co Elizabeth do ucha. Biegn c za jej spojrzeniem, John popatrzył w drugi koniec sali. W ciemnym k cie za barem stał Greg Lansing z zało onymi na piersiach r kami i niech tn , zachmurzon twarz .

- Powiedz, e ju id - szepn ła do kelnerki Elizabeth.

Ta skin ła głow , zabrała tac i oddaliła si . Elizabeth zwróciła si do Johna:

- Nie, nie zauważyłam bandaża, ale teraz nie możemy dłużej rozmawiać. Muszę już iść - oznajmiła. - Zaraz mam następną numer, a jeszcze nie zdążyłam się przebrać.

Wstała od stołu, a John poszedł za jej przykładem. Stał przed nią, oddzielając ją plecami od sali, i wziął ją za rękę. Przejął ją dreszcz.

- Bardzo mi się to wszystko nie podoba - oświadczył. - Moim zdaniem robisz poważny błąd.

Opuściła wzrok na rękę, a on znów pobiegł za jej spojrzeniem. Miała alabastrową skórę, która w zestawieniu z jego opalonymi dłońmi wydawała się olśniewająco biała. Kiedy podniosła na niego swoje lekko skośne, podkreślone ostrym makijażem oczy, John poczuł ciarki na plecach. Wszystko w niej miało nieodparty urok - spojrzenie, obnażone ciało, nawet delikatny zapach perfum.

- Z zewnątrz nigdy niczego się nie dowiem - oznajmiła. - To jest jedyny sposób.

- Nie zgadzam się. Czy byś zapomniała, że obiecałem ci tym zajęciem? I zgodziła się. Wiem, co się zmieniło?

Opuściła powieki, a jej długie rzęsy rzuciły cień na policzki.

- Pewnych rzeczy nie zdołasz zrobić sam - odparła, podnosząc oczy.

- Daj mi trochę czasu.

- Choćby nie wiem jak długo próbował, Tracy Kensington i tak nigdy ci nie zaufa, a Grega tego nie skłonisz do mówienia. Tylko ja mogę to zrobić. Udaj się do jednego z nich.

cisnął jej rękę. Miała oczywiście rację. Zdobędzie w ten sposób dostęp do informacji pozostających poza jego zasięgiem. Niemniej wszystko to razem cholernie mu się nie podobało.

- Zadzwoń, jak wrócisz do domu. Bardzo cię proszę.

- Będzie późno.

- To nieważne.

- Dobrze - odparła po krótkim namyśle. - Zadzwoń.

- Pamiętaj, bądź czekał - upewnił się. - Nie zapomnij.

Miała tej nocy jeszcze dwa występy. John został na drugim, kiedy jednak po raz ostatni wyszła na scenę w mroku podium, jego już nie było. Wykonując taneczne ruchy, na próżno usiłowała wyłowić go wzrokiem w zadymionej sali. W pierwszej chwili odczuła ulgę, a zaraz potem przyszło rozczarowanie. Co się ze mną dzieje? - pomyślała. Czy bym pragnęła, żeby mnie oglądał?

A może po prostu za nim tęskni?

Odsunęła od siebie te pytania, a wracając po występ do garderoby, znów nie mogła się nadziwić temu, z jak łatwo ci weszła z powrotem w dawne życie. Kiedy była młodzieńką dziewczyną, wychodząc na scenę, zapominała o całym świecie, poddając się całkowicie muzyce. Potrafiła nie dostrzegać patrzących na nią ludzi, nie słysze gwizdów ani wulgarnych okrzyków. Była tylko ona i taniec, jakby odprawiała jakiś prywatny rytuał.

Zdarzało się, że kiedy muzyka milkła, Elizabeth budziła się jak ze snu. April lubiła się z nią na ten temat przekomarzać, więc któregoś dnia Elizabeth postanowiła jej wszystko wytłumaczyć.

- Tobie jest o wiele łatwiej - powiedziała. - Wiesz, że jesteś piękna i lubisz być podziwiana. Dla mnie to tylko rodek do celu i nic więcej.

April popatrzyła na nią z kpiącym niedowierzaniem.

- Nie opowiadaj, Elizabeth. Naprawdę tego nie lubisz? Nie sprawia ci przyjemności, kiedy wszyscy na ciebie patrzą, zgaduję, kim jesteś, myślę tylko o tobie? To ci nie podnieca?

- Nie - odparła bez wahania. - Robi to wyłócznie dla pieniędzy... dla nas obu i dla mamy. Nie znajduję w tym żadnej przyjemności.

April, swoim zwyczajem, rzuciła jej długie znaczące spojrzenie.

- Nieprawda, lubisz to - odparła z przekonaniem. - Po prostu nie chcesz się przyznać, bo ci nie pasuje do obrazu siebie, jaki wymyśliłaś. - A po krótkiej chwili dodała, figlarnie przekrzywiając głowę: - Uwierz mi, Elizabeth. Ty to lubisz... ale nie chcesz przyznać tego do wiadomości.

Tamtego dnia orzeczenie siostry oburzyło Elizabeth, która gorąco przeciw niemu zaprotestowała. Teraz jednak opadły jej w tępą ciszę.

Po powrocie do garderoby zmieniła makijaż i gwarzyła przez cały czas z paroma tancerkami, które też pracowały do późnej nocy, wyjęła z szafki swoje „cywilne” ubranie. Wciągnęła dżinsy, a potem wsuwając ręce w rękawy bluzki, zastanawiała się, w jaki sposób poruszy temat April. Obmyślając strategię, zastygła na chwilę przed zapięciem pierwszego guzika, kiedy nagle otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł Greg.

W poszarzałym ze starości, obtłuczonym lustrze, które służyło dziewczynom za toaletkę, spotkały się ich spojrzenia. Zaskoczona Elizabeth chciała w pierwszym odruchu ciągnąć bluzkę na niersiach.

zdołała si jednak przed tym powstrzyma . Ostatecznie widział j przed chwil o wiele bardziej rozebran . Zostawiła wi c bluzk rozpi t .

Greg podszedł do niej, nie zwracaj c uwagi na pozostałe tancerki. W małym ciasnym pomieszczeniu aromaty perfum mieszały si z zapachem spoconych ciał. Pot ny Greg stan ł tu obok, mierz c Elizabeth zimnym, taksuj cym spojrzeniem.

Poczuła, jak robi si jej gor co i słabo ze zdenerwowania, i chocia była pewna, e umiałaby stawi mu czoło, w pierwszej chwili zmieszała si i spu ciła oczy, jakby znów zamierzała zapi bluzk .

W polu jej widzenia znalazła si prawa r ka Grega. John miał racj . Nadgarstek Grega był opasanym wie ym opatrunkiem cielistego koloru. Szeroki banda mógł z powodzeniem osłoni spore skaleczenie lub ran , nawet... zadan kuchennym no em.

W ułamku sekundy stan ł jej przed oczami czarny cie m czynny na tle rozbitego okna, wsuni ta w szpar pi w r kawiczcze, zakryta kominiark twarz.

- Co ci si przytrafiło? - zapytała beczelnie, chocia serce miała w gardle i mówienie przychodziło jej z trudem. - Wsadziłe łap tam, gdzie nie trzeba?

Z lekkim grymasem spojrzał na opatrunek i wypu cił obanda owane palce z lewej r ki, jakby zmieszany tym, e próbował je ukry .

- Nic wielkiego - odparł. - Łodziarka przytrzasn ła mi r k . - Szybko zmienił temat. - Czego ten detektyw chciał od ciebie? Chyba nie masz kłopotów z policj ? Ja tu prowadz porz dny lokal.

Łodziarka przytrzasn ła mu r k ? Elizabeth ró ne my li przychodziły do głowy, przeszkadzaj c skupi si na odpowiedzi, jakiej Greg oczekiwał.

- Ach, pytasz o tego gliniarza? Przeszukuje okolic . Prowadzi ledztwo w sprawie jakiej zaginionej kobiety.

- Sko czyła zapina bluzk i schyliła si , by zasznurowa buty. - Pytał, czy pracowałam w innym klubie i czy o niej słyshałam. Powiedziałam, e nic nie wiem, bo dopiero co przyjechałam do Houston. I e nie mam tutaj adnych znajomych.

- Nie przesadzaj. My ju si znamy.

Elizabeth podniosła głow . Koło Grega stała Tracy i patrzyła na ni tak miłym, przyjaznym wzrokiem, e Elizabeth poczuła si winna.

- Ten facet to istny wrzód na dupie - ci gn ła Tracy.
- Czepia si wszystkich dziewczyn. Musisz z nim zrobi
porz dek, Greg.
- Przecie to policjant. Nic mu nie mog zrobi .
- Uczepił si jak rzep psiego ogona.
- Nie zale y ci na tym, eby odnalazł April? Elizabeth szybko
opu ciła głow .

- A jak e! Po prostu usycham z t sknoty! Tobie chyba nie musz
mówi , jak strasznie mi jej brakuje.

Greg parskn ł ze zło ci , obrócił si na pi cie i wyszedł z
garderoby, gło no trzaskaj c drzwiami. Tracy zabrała si do
zdejmowania resztek swego symbolicznie sk pego kostiumu.

- Czy wiadomo co o April? - odezwała si która z dziewcz t.
Elizabeth wstrzymała oddech.

- Ja tam nic nie słyszałam - odrzekła Tracy. - I wcale nie jestem
ciekawa. Nie zamierzam po niej płaka .

- Co to za dziewczyna? - odwa yła si spyta Elizabeth,
ukrywaj c twarz za drzwiami szafki.

Tracy szybko jej wyja niła.

- Tak po prostu znikn ła?

- Ano wła nie. Ale ja nie b d po niej rozpacza .

Trzasn ły drzwiczki której z szafek i do Tracy zbli yła si
pos gowa brunetka. Miała orzechowe oczy, a jej figura przyprawiała
m czyzn o zawrót głowy. Elizabeth miała okazj zaobserwowa ich
reakcje; dziewczyna wyst powała tu przed ni .

- Czy mam przez to rozumie , e chcesz na nowo usidli Grega?

Tracy popatrzyła na ni .

- Tak, Brownie, dobrze zrozumiała , wi c b d łaskawa trzyma
swoje akrylowe pazury z daleka od niego, bo po ałujesz. A je li
chcesz wiedzie , to wcale nie musz go "usidla ". Greg sp dził ze
mn ostatni noc.

Brunetka obronnym gestem podniosła dłoń.

- W porz dku, złotko, mo esz go sobie zatrzyma . Nie chc mie
z nim do czynienia. Chciałam tylko wiedzie , co si dzieje. - Stukaj c
wysokimi obcasami o nag , cementow posadzk , przeszła przez
pokój i znikn ła za drzwiami.

Elizabeth zatrzasn ła swoj szafk , wło yła przy mione okulary,
które wcale nie były jej potrzebne, i pomalowała usta karminow

szmink . Sama z trudem poznawała siebie w lustrze. Tracy na pewno nie dopatrzy si podobie stwa mi dzy ni i April. Wskazuj c szafk siostry, spytała:

- To tej, co znikn ła?

- Aha.

Niewiele my l c, Elizabeth wyci gn ła r k w kierunku metalowych drzwiczek i nacisn ła klamk . Wiedziała, e szafka nie b dzie zamkni ta na klucz. Zd yła ju usłysze o incydencie z jedn z dziewcz t, która w swojej skrytce trzymała bro , i e od tamtej pory Greg zakazał zamykania szafek na klucz. Drzwiczki lekko zgrzytn ły i Elizabeth z bij cym sercem zajrzała do rodka.

Szafka była pusta.

Elizabeth zatrzasn ła drzwiczki, czuj c na sobie czujne spojrzenie Tracy i staraj c si nie okaza rozczarowania.

- Co mogło si z ni sta ? - rzuciła od niechcenia.

- Bóg raczy wiedzie - o wiadczyła Tracy, wci gaj c na gołe ciało czerwon trykotow bluzk , po czym spojrzała za siebie i ciszonym głosem dodała: - Z April nigdy nic nie wiadomo. Sama szukała kłopotów.

- Aha. Znałam takie dziewczyny - z udanym spokojem odparta Elizabeth, próbuj c opanowa niespokojne bicie serca.

- April miała wyj tkowy talent. Jak nic si nie działo, robiła, co mogła, eby wp dzi si w tarapaty.

- Takie jak układ z Gregiem, co?

Tracy lekko podskoczyła, a jej spojrzenie stało si podejrzliwe.

- Co masz na my li? Jaki układ z Gregiem?

- Przecie ci go odbiła, nie? Tak rozumiałam. Z tego, co mówiła ta, no... Brownie. Nie było tak?

Tracy wyra nie si uspokoiła. Patrz c na ni , Elizabeth zastanawiała si , co w jej poprzednich słowach obudziło podejrzliwość rudej tancerki.

Najwidoczniej chodziło jednak o jakie inne sprawy. Tylko jakie?

- A, tamto... tak. Kr ciła z nim, to fakt, ale wiedziałam, e to długo nie potrwa. Ja i Greg jeste my z sob od niepami tnych czasów. Zdarzaj mu si skoki w bok, ale zawsze potem wraca na stare miecie. - Oczy jej si zw ziły, a usta przybrały nagle nieprzyjemny,

zaci ty wyraz. Zbrzydła, jakby w jednej chwili przybyło jej pięć lat. - Co się tak dopytujesz?

Elizabeth obronnym gestem wyciągnęła dłoń przed siebie, tak samo jak przedtem zrobiła to Brownie.

- Niczego facet, może ci się podoba, no nie? Która kobieta nie chciałaby wiedzieć, czy jest do wzięcia?

Tracy przez chwilę patrzyła na nią uważnie, wreszcie z uśmiechem przyznała:

- Przystojniak, co? Ale lepiej się pilnuj, bo tak samo się na nim po prostu nieś jak ta idiotka April.

Elizabeth tłoczyły się do głowy niezliczone pytania, wiedziała jednak, że nie może przeciągać struny. Jeszcze trochę, i Tracy zacznie ją na serio podejrzewać. Aby zmienić temat, powiedziała pierwszą rzecz, jaka przyszła jej do głowy.

- Ten gliniarz Mallory, co tu dzisiaj przylazł - rzuciła z nagłym ożywieniem. - Zdaje się, że tobie też założył za skórę, no nie?

Tracy po krótkim wahaniu dała się sprowadzić na nowy tor.

- Faktycznie, dokuczliwy gość, ale ma w sobie coś takiego...

Elizabeth znieruchomiała na moment z ręką w torebce, w której akurat grzebała, szukając kluczyków.

- Niby co?

- Nie wiem, jak to nazwać... Coś takiego, że od razu inaczej się przy nim czujesz. Rozumiesz, o co mi chodzi? Jest jakiś inny. Niby gliniarz i w ogóle, ale w niczym nie przypomina tych wszystkich wyśkoków i pierdołów, z jakimi człowiek ma stałe do czynienia. Nie potrafi tego określić, ale przy nim zaczynam sobie myśleć... - Urwała i rozejrzała się w zadumie po ścianach ciasnej, mrocznej garderoby.

- Twoje życie mogło się potoczyć inaczej - cichym głosem podpowiedziała Elizabeth.

Szmaragdowe oczy rudowłosej tancerki spoczyły na jej twarzy.

- Właśnie - przytaknęła w zadumie. - Dokładnie to miałam na myśli. Taki przyzwoity chłopak. Jeden z tych, którzy spodobałoby się matce. Ale gdyby wiedziała, jaki będzie potem w łóżku... - dokończyła, wciągając wysokie buty i wstając z krzesła. - Nic z tego, tacy faceci jak on nie zwracają sobie głowy dziewczynami naszego pokroju. Chyba sobie taki popatrzy, i nie tylko popatrzy, ale jak przyjdzie co do czego, do ołenu poszuka sobie jakiej Donny Reed. Tak już jest.

Elizabeth nie miała wyboru. Musiała przyznać jej rację. Życzyła Tracy dobrej nocy, opuściła garderobę, powtarzając w myśli jej ostatnie słowa.

Rozdział 8

John podniósł słuchawkę już po pierwszym sygnale. Wcześniej zobaczył przez okno, że u Elizabeth pali się światło.

- Halo?

- To ja. Jestem w domu.

Miała zmierzony głos, ale John usłyszał w nim coś więcej niż zmęczenie. Była w nim ta sama rezerwa, jak odgradzała się od niego podczas pierwszych spotkań. Teraz domyślał się już, co spowodowało te zmiany nastawienia.

Odkrył jeden z jej sekretów.

- Co nowego? - spytał, starając się mówić niefrasobliwym tonem.

- Udało ci się czegoś dowiedzieć?

Po krótkim wahaniu usłyszał:

- Tracy wyrwało się coś, co wydaje mi się dosyć intrygujące.

Nie czekajcie na niego dalszy ani nie pytajcie o pozwolenie, o wiadomości:

- Zaraz u ciebie będzie. Nastaw kaw.

Parę minut później wstąpił na ganek u wejścia do jej domu. Elizabeth otworzyła drzwi, nim zdążył zapukać, po czym odsunęła się, aby go przepuścić. Przekraczając próg, otarł się o nią, i w jego pamięci odżyła chwila sprzed paru godzin, kiedy w ciemnym korytarzu w klubie poczuł przebiegającymi między nimi iskry. Gotów był przysięgnąć, że odczuła wtedy to samo co on. Teraz zaś, spojrzawszy w jej ciemne oczy, doznał identycznego uczucia. Czy chcieli tego, czy nie, oplótła ich jakaś jedwabna płata, która zaciskała się stopniowo, przyciągając ku sobie z coraz większą siłą.

- Nie musiałyście się facytować - rzekła, zamykając za nim drzwi. - Mogłam ci opowiedzieć wszystko przez telefon.

Miała na sobie domowy strój, nie był to jednak tamten gruby szlafrok frotte, który włożyła po przygodzie w mieszkaniu Tracy. Ten był z cienkiego białego jedwabiu, z delikatnym kwiatowym haftem, spływającym z jednego ramienia wzdłuż pleców. Szlafrok szczelnie okrywał jej kształty nie kabaretowy kostium, w którym ta czyła w klubie, lecz John wiedział już dobrze, co się pod nim kryje. Z trudem hamował podanie.

- Ale chciałem cię zobaczyć - odparł - żeby się upewnić, czy wszystko jest w porządku.

Z pewnym ociąganiem pochyliła głowę, zapraszając go do saloniku.

- Wobec tego wejdź i siadaj - powiedziała. - Kawa za chwilę będzie gotowa. Nastawiłam ekspres.

John wszedł do pokoju i bez namysłu zbliżył się do półki, chcąc jeszcze raz spojrzeć na fotografię, która poprzednio zwróciła jego uwagę. Tym razem przyjrzał się zdjęciu jeszcze dokładniej, choć właściwie nie było to potrzebne. Znał z góry odpowiedź. Tamto inne zdjęcie, to, które leżało teraz w szufladzie jego biurka, a które April Benoit trzymała w ramce ukryte pod drugą fotografią, musiało przedstawiać Elizabeth i April. Nie miał co do tego wątpliwości.

Jeszcze raz przyjrzał się bliźniaczkom w zwiewnych baletowych strojach, zwróconym twarzą do kamery. April miała patrzeć przed siebie, podczas gdy na twarzyczce Elizabeth malowało się... jakby rozmarzenie. Domyślił się, że w chwili robienia zdjęcia była dla niego nieobecna na scenie. Podobny wyraz dostrzegł dzień wcześniej w jej oczach podczas występu w klubie.

Podeszła z tyłu do półki i podała mu kubek z kawą, zerknęła na fotografię.

- Pewnie się zastanawiasz, jakimi drogami od „Jeziora Łabędziego” trafiłyśmy do nocnego klubu? - spytała.

John wziął kawę i skinął głową.

- Skok rzeczywiście nie miały, ale domyśliłam się, że przyczyna musiała być inna.

Elizabeth nie zmieniła wyrazu twarzy. Lekki dymek unosił się z kubka gorzej kawy owiał jej twarz. Wyglądało, jakby się wahała, lecz to tylko para przeszkodziła jej odezwać się od razu.

- Słusznie się domyślasz. Możliwa to nazwa walki o przetrwanie.

- Opowiedz mi, jak do tego doszło. Popatrzyła na Johna znad kubka kawy.

- W gruncie rzeczy nic ci to nie obchodzi. Zresztą, jakie to ma znaczenie?

Odwróciła się i chciała odejść, lecz John chwycił ją za ramiona i przytrzymał. Przez cienki jedwab czuł ciepło jej skóry.

- Jeśli pytam, to dlatego, że chcę wiedzieć.

Bezradnie wzruszyła ramionami, a on wreszcie zrozumiał jej zachowanie. Była skrępowana i zawstydzona. Jakakolwiek przyczyna kazała nigdy obu siostrą obniżyć życiowe loty, Elizabeth Benoit

zrobiła wszystko, co było w jej mocy, żeby odciąsić od przeszłości. Te jej eleganckie, przykładowe kostiumy, gładko zaczesane włosy, wyniosłe, pełne rezerwy zachowanie - wszystko to miało ją bronić przed wszelkimi podejrzeniami.

Jak bardzo musiała kochać siostrę, żeby dla jej dobra odrzucić z takim trudem budowanie tego samego.

- Przysięgam, że niczym mnie nie zgorszysz, Elizabeth, cokolwiek by powiedziała. Zbyt wiele w życiu widziałem.

Zbliżyła się do okna.

- Wiem. Ale to jest właściwie takie głupie. W naszej historii nie ma nic szczególnego czy ciekawego. Po prostu nasze losy potoczyły się tak, jak się potoczyły... i musiałyśmy sobie radzić najlepiej, jak się dało.

John podszedł za nią do okna, nadal trzymając w ręku kubek kawy. Przed telefonem do niego musiała wziąć prysznic. Jej lśniące bujne włosy delikatnie pachniały szamponem. Stali przez chwilę pod oknem, nic nie mówiąc. Na koniec zaczęła opowiadać.

- Spędziłyśmy dzieciństwo w Dallas, żyłyśmy jak w bajce. Pieniądze, piękny dom, służba, stroje - wszystko, o czym tylko można zamarzyć. Nasza matka była... kobietą słabą i niezrównoważoną, lecz ojciec jeszcze bardziej ją uwielbiał. Byli w sobie tak szalenie zakochani, że ja i April czułyśmy się niekiedy prawie niepotrzebne. Ale mnie i tak wszystko wydawało się cudowne. A któregoś dnia, miałyśmy wtedy po dwanaście lat, szukałam rodziców, weszłam do garażu. - Twarz Elizabeth była opanowana, tylko w jej oczach pojawił się jakiś nieobecny wyraz. - Ojciec leżał na ziemi. Był martwy. Został zastrzelony.

- Cholera... - mruknął przez zęby. Różnych rzeczy mógł się spodziewać, ale nie akurat tego.

- Matka też była w garażu. Nigdy tego nie zapomnę... siedziała na ziemi, wpatrzona w ciało ojca. - Elizabeth podniosła oczy. - Między nimi na podłodze leżała strzelba.

- Popęłił samobójstwo, czy...?

- Do dziś nie wiem. Nigdy nie udało mi się tego ustalić. Zresztą w zamieszaniu, jakie potem nastąpiło, przyczyna śmierci zeszła na drugi plan.

- Nie było ledztwa?

- O tak, przeprowadzono dochodzenie.

- Nie znale li ladów?
- wiczyli strzelanie do tarczy. Oboje wcze niej oddali strzały.
- Ale bada si rozrzut, lady prochu, mo na ustali ... Elizabeth wstrzymała go gestem r ki.

- Och, John, kiedy to wszystko si działo, byłam jeszcze dzieckiem. Od funkcjonariuszy, którzy badali spraw , dowiedziałam si tylko, e nie zdołali ustali , jak doszło do wypadku, a ja musiałam si tym zadowoli , bo nic innego nie mogłam robi . - Wzruszyła ramionami. - Zreszt nie wiem, mo e znali prawd , ale chcieli mnie oszcz dzi . Jakkolwiek było, kiedy dorosłam na tyle, eby zacz samodzielnie zadawa pytania, przyczyna jego mierci przestała mie znaczenie.

- Dlaczego?

- Po mierci ojca okazało si , e sprzeniewierzył maj tek powierniczy, jaki jego rodzice zapisali mnie i April. Wyszło te na jaw, e od dawna balansował na granicy bankructwa, trzymał to jednak w tajemnicy nawet przed matk . Która zreszt i tak wszystko by mu wybaczyła. Nie widziała za nim wiata. Był dla niej kim w rodzaju boga.

- To musiało bardzo pogorszy wasz sytuacj finansow .

- Pogorszy ? Nic nie rozumiesz. - Poczekała, a znów spojrzy jej w oczy. - Zostały my bez rodków do ycia. Z maj tku nie zostało dosłownie nic. Konto bankowe było przekroczone, rachunki oszcz dno ciowe opró nione do czysta. Ojciec pozaci gał długi hipoteczne pod zastaw domu, a terminy spłat min ły tak dawno, e w chwili jego mierci trwało ju post powanie o przej cie własno ci. Nie dalej jak w dzie po pogrzebie ojca, do tego samego gara u, w którym zgin ł, wkroczył komornik i zarekwirował samochody.

- Co do tego doprowadziło? - zapytał. - Nieszcz liwe posuni cia w interesach, gwałtowny spadek akcji czy co innego?

- Ojciec był nałogowym hazardzist - wyznała. - Grał na wszystkim, na czym tylko si dało. Nikt o tym nie wiedział, nawet mama. Pi ciu bukmacherom, z którymi miał konszachty, winien był wicej pieni dzy ni ty i ja zarobimy razem do ko ca ycia. onglował długami, eby zaspokoi cz wierzycieli, wyłudzaj c wci nowe po yczki, ale w ko cu wszystko si zawałiło.

Zapadło krótkie milczenie. John miał nieodparte wrażenie, że Elizabeth pierwszy raz w życiu opowiada komuś swoją historię. Z wysiłkiem przełknęła linę i dodała:

- Zawsze podejrzewałam, że to matka zastrzeliła ojca po tym, jak przyznał się jej do bankructwa. Prawdopodobnie chciała go tylko postraszyć i wymachując strzelbą, niechcąc nacisnąć spust albo coś w tym rodzaju. Nie była zdolna do tego, aby umyślnie go zabić, nawet w przypływie furii, chociaż od czasu do czasu dochodziło mi dymy do ostrych śpi. Matka miała strasznie nierówne usposobienie. Potrafiła ni stąd, ni zowąd wpadnąć w złość, krzyczała na niego i wymyślała, ale zaraz potem przeproszała i prosiła o wybaczenie, a na koniec znowu wyznawali sobie miłość, i tak w kółko. - Elizabeth spuściła na moment oczy, nim podjęła swoją opowieść. - Tak naprawdę to, kto go zastrzelił, i jak do tego doszło, nie miało znaczenia. Matka sama zamknęła się we własnym świecie.

- W jakim sensie?

- Postradała niestety zmysły. Całkowicie straciła kontakt z rzeczywistością. Nie było wyjścia; musiała zostać oddana do domu dla nerwowo chorych. A ponieważ nie miałyśmy żadnych dalszych krewnych, więc mnie i April oddano pod opiekę zastępczej rodziny.

John stał bezradnie, wiedząc, że nie ma w tej sytuacji nic do powiedzenia. Patrzył na pozbawioną wyrazu twarz Elizabeth, wyobrażając sobie jej przebieg. Pomyślał o dwóch małych dziewczynkach na starej fotografii. Trudno jest żyć w ubóstwie od urodzenia, ale znaleźć się z dnia na dzień w nędzy z powodu nieuleczalnej słabości własnego ojca? John zbyt długo pracował w policji, by nie zdawał sobie sprawy, jak niepewny los czeka dzieci w zastępczych rodzinach. Wśród adoptowanych rodziców zdarzają się prawdziwi wierni, ale wielu innym daleko jest do wierności.

Elizabeth jakby odgadła jego myśli, kiedy schrypnęła tym głosem podjęła:

- Życie w zastępczych rodzinach było okropne. Miałyśmy wyjątkowego pecha. A najgorzej było, kiedy musieli nas rozdzielić. Dwie nieprzygotowane do życia, ładne, dorastające panienki. Mozesz sobie do pieśni resztę. Nie muszę dodawać, że uwolniłyśmy się od naszych rzekomych opiekunów natychmiast po osiągnięciu odpowiedniego wieku. Wzięłyśmy pierwszą pracę, jaka się nadarzyła.

- Zaczęłyście ją czytać?

- Nie, zostały my kelnerkami. W barze szybkiej obsługi. To było jedyne, co mogły my robić, nie mając żadnego przygotowania. Pracowałam na dwie zmiany. April też. - Z niedowierzaniem pokręciła głowę. - Cztery lata wcześniej jeździłyśmy z rodzicami po zakupy do Neimana - Marcusa, a teraz liczyłyśmy napiwki i po kryjomu zbierałyśmy resztki z talerzy, żeby mieć coś do domu.

John nie wytrzymał. Wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia. Wydało mu się, że Elizabeth zadrżała, ale trwało to tak krótko, że nie miał pewności, czy nie uległ złudzeniu. Powodowany współczuciem, zacisnął palce na jej ramieniu, chociaż zdawał sobie sprawę z bezskuteczności własnego gestu.

- Pracowałyśmy w barze od trzech miesięcy, kiedy jednego wieczoru pojawił się pewien człowiek. Nazywał się Donnie Barker. Ja byłam akurat zajęta w kuchni. Jak tylko zobaczył April, wręczył jej wizytówkę i powiedział: „Zajrzyj do mnie, laleczko, kiedy ci się znudzi harowa tutaj za grosze. Jeżeli masz pod tym mundurkiem trochę pieniędzy, to możesz mieć set dolarów za wieczór. Albo i więcej”. A kiedy na dodatek usłyszał o siostrze bliźniaczce, znalazł się, jak to określiła April, w siódmym niebie.

- April chciała odejść natychmiast. Zaprosiła mnie w końcu przy maszynie do kawy, błagając, abym poszła z nią do nocnego klubu, jak tylko skończymy zmiany. - Elizabeth westchnęła. - Poszłyśmy więc, nawet się nie przebierając, w naszych służbowych mundurkach. Nie miałyśmy oczywiście pieniędzy na bilet wstępu, ale portier na nasz widok od razu zrozumiał, o co chodzi. Donnie rekrutował dziewczęta takie jak my.

- Było bardzo ciekawe? Mam nadzieję, że tak. Pracowałam w klubie.

- Ja nie poszłam tam pracować. W każdym razie jeszcze nie wtedy - dodała z gorzkością. - Wymogłam na April ustępstwo. Zatrudniła się w klubie, ale jako kelnerka. Ja nadal pracowałam w barze.

- Ale...

Odwróciła wzrok w stronę okna, patrząc w ciemność.

- Nie mogła się oprzeć pokusie. Widziała, że tancerki zarabiają o wiele lepiej niż kelnerki roznoszące koktajle, więc sama zaczęła tańczyć. W gruncie rzeczy nie chodziło jej o pieniądze. Chciała po prostu być jak kiedyś - mieć dom, poczucie bezpieczeństwa, rodziny. To wszystko było oczywiście nieosiągalne, ale ona tego nie rozumiała.

a ja nie miałam siły się sprzeciwić. Mogłyśmy sobie teraz pozwolić na wynajęcie mieszkania wolnego od karaluchów i na to, żeby raz w miesiącu pójść do McDonalda na hamburgery. Nasza sytuacja znacznie się poprawiła - o czym April, w trakcie naszej ostatniej rozmowy, nie omieszkła mi przypomnieć.

Po krótkiej przerwie Elizabeth mówiła dalej:

- Potem okazało się, że domowi opiekunowie to fundusze. Postawili nam ultimatum - albo zabierzemy matkę do prywatnej kliniki, albo znajdzie się na ulicy. Wyszukałyśmy dla niej odpowiedni dom, ale niebywale drogi. W parę dni później April dostała ataku bólu. Wezwałam karetkę, a po przewiezieniu do szpitala okazało się, że trzeba natychmiast usunąć wyrostek. Jej choroba pochłonęła resztkę pieniędzy. Zostałyśmy bez grosza. Groziło nam wyrzucenie na bruk. No więc poszłam do klubu i tam zostałam tancerką. Kiedy April wyzdrowiała, zaczęłyśmy występować razem. - Głos się jej załamał. - Wtedy wydawało mi się, że nie ma innego wyjścia z sytuacji.

- Bo tak było.

Odsunęła się od okna i od niego, podeszła do kanapy i opadła na siedzenie.

- Dziś nie jestem tego pewna. Przez to właśnie nie straciłam kontaktu z April. Może trzeba było próbować inaczej.

- Ty się wyzwoliła. Ona tego mogła zrobić. Elizabeth smutno pokręciła głową.

- To właśnie jej tłumaczyłam, kiedy doszło mi dzisiaj nami do tamtej kłótni. W każdym razie tak to trwało, a po czterech latach matka zmarła w klinice na atak serca. Nasze wydatki powoli nie zmalały, więc zapisałam się w Dallas na uniwersytet i zaczęłam studiować ekonomię. Widziałam na własne oczy, jaki los czeka starsze tancerki kabaretowe. Za wszelką cenę chciałam tego uniknąć. Zwłaszcza po wszystkim, co my przeszłyśmy. Namawiałam April, żeby zrobiła to samo, ale nie chciała mnie słuchać. John nie wiedział, co z sobą zrobić ani co powiedzieć. Słów współczucia, które cisnęły mu się na usta, na pewno nie chciałaby słuchać, a mówienie o czym innym wyglądałoby na nietakt. Pragnęłam wyrazić podziw dla jej dzielności i odwagi, siły woli, jak wykazała, walczyć o własny los i z pełnym poświęceniem opiekować się najbliższymi, lecz nie potrafiłam ująć tego wszystkiego w słowa. Po chwili milczenia zapytał:

- Powiedz mi, Elizabeth, co takiego usłyszałaś dzisiaj od Tracy?

Elizabeth otrząsnęła się ze wspomnień.

- Jak by tu powiedzcie ... Zastanowiło mnie nie to, co usłyszałam, ale to, czego nie powiedziała; chodziło o Grega Lansinga. Kiedy zapytałam, ot tak sobie, o jego układy z April, Tracy wyrażała niechęć. Wyjaśniłam, że miałam jedynie na myśli ich układy prywatne, i to ją trochę uspokoiło, wyczułam jednak, że musi się za tym kryć coś poważniejszego. Jestem przekonana, że pod pokrywką ...

- Miała okazję zajrzeć do skrytki April?

- Tak. Jest kompletnie pusta. - Po sekundzie dodała: - Ale widziałam bandaż na ręce Lansinga.

John zbliżył się do kanapy i usiadł obok Elizabeth.

- Twierdzi, że przyćmił sobie rękę, manewrując przy lodziarce. Zagadnąłam barmana, który to potwierdził, ale równie dobrze mógł skłamać. Niech to diabli! A ja byłam pewna, że to on próbował się włamać do mieszkania April.

- Skąd ta pewność?

- Sama nie wiem - odparła zniechęconym tonem. - Pewnie stąd, że chciałam nadać poszukiwaniom jakiś określony kierunek. I trochę z powodu tego, o czym mówiłem poprzednim razem: że wikszość ofiar pada z ręki osób sobie znanych.

- W dniu włamania Lansing był wieczorem w klubie - odparł John. - To była jedna z pierwszych rzeczy, jakie sprawdziłem.

- Mógł kłamać.

- To prawda - przytaknął John - gdybym zwrócił się z pytaniem wprost do niego. Ale zapytałem nie jego, tylko hostess, a ona powiedziała, że przez cały wieczór nie wychodził z lokalu. Oczywiście, mogła go po prostu kryć, sam skłaniając się do takiego przypuszczenia, ale żeby podważyć jej słowa, muszę mieć w rękę konkretne dowody.

Elizabeth w podnieceniu poderwała się z kanapy.

- To jasne, okłamała ci. Oni to robią z zasady, bez zastanowienia. Pewnie mają przykazane mówić zawsze, że jest albo był w klubie, niezależnie od tego, czy to prawda, czy nie.

- Moja droga, pracowałem kiedyś w obyczajówce i miałem okazję poznać ludzi tego typu nie gorzej od ciebie - odrzekł, wstając z kanapy. - Jednakże prowadząc śledztwo, musisz zadawać pytania i wysłuchiwać odpowiedzi, nawet tych kłamliwych. Nie wystarczy przyjąć winę Grega za pewnik. Trzeba mu to jeszcze udowodnić.

- Dam głow , e maczał w tym palce.

- A ja musz da prokuratorowi przekonywuj ce dowody jego winy. I w tym celu musz zadawa pytania.

- Przecie wiem! - Pi kne oczy Elizabeth napełniły si łzami równie niespodziewanie jak podczas ich pierwszego spotkania. John był zaskoczony tym nagłym przypiływem emocji. - Ja po prostu tak strasznie boj si o jej ycie, tylko ona mi została na wiecie... A ona ma tylko mnie.

John w jednej chwili znalazł si przy niej. Spojrzała na niego wielkimi rozszerzonymi oczami; dr ała na całym ciele. Przestał si zastanawia . Przyci gn ł j do siebie i przytulił.

W pierwszej chwili jej ciało st ało, jakby chciało stawi mu opór, natychmiast jednak uległo i niemal osun ło si w jego ramiona. John pochwycił j i otoczył mocno ramionami. Mimo e tak dobrze zbudowana i silna, wydała mu si nagle nieoczekiwane wiotka. Dziwnie lekka, wr cz krucha. Chwil tuliła si do jego piersi, potem odchyliła głow i spojrzała na niego.

To, co wyczytał w jej oczach, zaparło mu oddech i sprawiło, e serce na moment przestało mu bi . Wyzierała z nich nie skrywana t sknota, jawne wołanie, które przyprawiło go o zawrót głowy. Z tego oszołomienia wyłoniła si nagła, oczywista my l. Musi zadba o t kobiet , która uparcie twierdzi, e nie potrzebuje niczyjej pomocy ani opieki. Nie zastanawiaj c si dłu ej, schylił głow i dotkn ł ustami jej warg.

Nie broniła si . Poddała si pocałunkowi, wchłaniaj c cał swój istot ciepło jego r k, dotyk gor cych ust. Kiedy ich napór wzmógł si , z błog uległo ci rozchyliła wargi. W ułamku wiadomo ci przemkn ły jej przez my l słowa Tracy: „Jeden z tych, którzy mogliby si podoba mamie. Ale gdyby wiedziała, co b dzie potem robił z tob w łó ku...”

Czuła na plecach jego mocne dłonie, jej piersi ocierały si o jego tors. Kiedy na chwil oderwał usta, by wyszepta jej imi , serce Elizabeth oszalało. Mówiła sobie, e trzeba poło y temu kres, wyrwa si z gor cego u cisku ramion, które proponowały jej schronienie - ale nie miała siły. Od tak dawna nie uległa do tego stopnia adnemu m czy nie, oddaj c si całkowicie we władz emocji. Nie byłaby zdolna odepchn go od siebie, nawet gdyby od

tego zależało jej życie. Jedyne, co mogła zrobić, to poddać się nieodpartemu pragnieniu, nie myśląc o niczym.

Parę godzin później, nie mogąc zasnąć, zadawała sobie pytanie, do czego by doszło, gdyby nagle nie odezwał się pager przy pasku Johna.

John odchylił się, choć nadal poierał ją wzrokiem, aby nacisnąć guzik uparcie piszącego urządzenia. Oprócz rozczarowania i sporej dozy irytacji w jego oczach dominowało to samo uczucie, które ją samą wprowadzało w drżenie. Po podaniu gorącej, nieodparte pragnienie, domagającej się jedynego możliwego zaspokojenia. Zachwiała się na nogach, gdy John, zakławszy pod nosem, oderwał od niej oczy, by odczytać wzywający go numer.

Nim zdołała się zorientować, co się dzieje, John biegł już do kuchni - pewnie do telefonu. Nawet się nie obejrzał. Opadła bezwładnie na kanapę, oszołomiona i przestraszona swoją reakcją na jego pieśczoć, i jednym uchem słuchała strzasków zdobiegających z kuchni.

- Tak? A, rozumiem. Kiedy go znalazła? Potem długa cisza.

- Mówisz, że o to? Tak jest. Wezwijcie ekipę techniczną. Zabiorę co trzeba i za kwadrans, góra dwadzieścia minut, będę na miejscu.

Usłyszała odgłos odkładanej słuchawki, a potem kroki Johna przemierzającego kuchnię i korytarz. Odwróciła się w jego stronę, kiedy wchodził na powrót do pokoju. Na widok jego twarzy serce jej zamarło.

- Co takiego? - Poderwała się na nogi. - Co się stało? Zbliżył się do niej, okrążył kanapę.

- Znalezione twój samochód, Elizabeth. W centrum, na Dowling Street.

- A April? - zapytała przez ciemne gardło. Zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie, tylko samochód.

- Na Dowling? Bo to jest droga... - Ulica Dowling należała do najbardziej niebezpiecznych rejonów rodzimego Houston. Czując, jak serce podchodzi jej do gardła. - Co April mogła robić na Dowling Street? - rzuciła z rozpacz.

- To, że samochód znalazł się na Dowling, nie musi oznaczać, że ona tam była.

Chwil trwało, zanim sens tego, co powiedział, dotarł do jej wiadomości.

- O Bo e...

Jednym susem znalazł się przy niej. Położył jej ręce na ramionach, gorczkowo zaciskając na nich palce.

- Elizabeth, kochanie... wzywaj mnie. Powiniennem sprawdzić na miejscu, jak to wygląda, dokładnie obejrze samochód. - Powiódł wzrokiem po jej twarzy. - Wierz mi, nie mam zwyczaju uciekać od kobiety, którą właśnie nie całowałem.

Elizabeth popatrzyła mu w oczy, czując jeszcze na ustach smak pocałunku, i energicznie potrząsała głową.

- Tym razem ty nie uciekniesz. Musz wiedzieć, co się stało. Jadź z tobą.

Była trzecia nad ranem, lecz na autostradzie wciąż panował duży ruch. Pędził ku różniemu numer 59, John kiedyś tam obserwował Elizabeth. Przebrana w dżinsy i bawełnianą bluzkę, siedziała przyciśnięta do prawych drzwiczek samochodu, a na jej twarzy malowały się na zmianę niepokój i nadzieja.

Myślał ze strachem o tym, co ją czeka, kiedy znajdzie się na miejscu. Próbował ją namówić, żeby została w domu, ale było to jak rzucanie grochem o ścianę.

Pierwszy raz naprawdę ukazała mu twarz siebie, dzięki której osi gnęła w tym, co osi gnęła. Charakter i determinacja. Nie potrafił znaleźć odpowiedniejszych słów, niemniej jednego i drugiego z pewnością jej nie brakowało.

Po wyjściu z autostrady drogą na miejsce wskazywały niebiesko-czerwone sygnały policyjnych wozów. Zaparkował tuż za miejskimi barówkami, której ekipa szykowała się właśnie do tego, by odholować mercedesa Elizabeth do policyjnego laboratorium.

Elizabeth pierwsza wyskoczyła z półki barówki, zanim zdążył ją powstrzymać czy bodaj ostrzec.

John szybko otworzył drzwiczki i pobiegł za nią, ale było już za późno. Elizabeth dotarła do samochodu, szarpnęła drzwiczki, zanim którykolwiek z policjantów zdołał jej w tym przeszkodzić, i zajrzała do wnętrza. John jąknął głucho, chociaż wcale jej się nie dziwił. Chciała się przekonać na własne oczy, czy mówił prawdę, zapewniając, że w samochodzie nie ma ładów April.

Nie powiedział jej całej prawdy. W samochodzie pozostały lady, i to bardzo wyraźne. Powiedziano mu, że całe przednie siedzenie jest zalane krwią.

Elizabeth stała oparta rękami o dach samochodu, chwyciła się na nogach. Kiedy się zbliżył, podniosła ku niemu pobielającą nagle twarz, której niesamowicie blado jeszcze podkreślały błyskające wokół wiatła. Jeden z funkcjonariuszy, znany Johnowi z widzenia nowicjusza, razem z nim dopadł otwartych drzwiczek auta.

- Co pani robi? Tutaj nie wolno podchodzić. Policja bada miejsce zbrodni.

- W porządku, McGaffey - rzekł do niego John, podtrzymując się na nogach Elizabeth. - To pani Benoit, właścicielka samochodu. Ja się tym zajmę.

Młodemu policjantowi wystarczyło jedno spojrzenie na poszarzałą twarz Elizabeth.

- Tak jest, rozumiem. - Szybko się wycofał, nie kryjąc zadowolenia z tego, że John uwolnił go od trudnego obowiązków.

Elizabeth ponownie popatrzyła w głębię samochodu. Zduszonym szeptem, ledwo mogąc wydobyć głos z gardła, zapytała:

- To krew, czy tak? Ten ładunek...

John zająknął do auta. Na skórzanym siedzeniu widniał wyraźnie, jakby narysowany ręk dzieckiem odcisk dłoni. Krwawy ładunek. Przytłaczającym skinieniem głowy.

Elizabeth drżącymi palcami odgarnęła włosy z twarzy.

- Dlatego nie chciała, bym przyjeżdżała?

- Nie spieszmy się, Elizabeth. Nie jest powiedziane, że to na pewno krew April.

- To jej krew - rzekła jakby do siebie, zaglądając jeszcze raz do samochodu. - Wiem, że jej. Co mi podpowiada.

Wziął ją pod ręką i odprowadził na bok. Tymczasem zbliżył się do nich partner McGaffeya, starszy policjant nazwiskiem Anderson. Skinął Johnowi głową, ale zwrócił się do Elizabeth:

- Czy to pani samochód? Elizabeth przytłaczająco.

- Czy został skradziony?

John wtrącił się, by wyjawić sprawę, a starszy policjant, przytakując, robił notatki. Skończywszy pisać, zapytał:

- Czy natrafiono na lady pani siostry?

- Jak dotąd nie - odparł John.

- B dzie trzeba ustali jej grup krwi.
- „A” plus - powiedziała Elizabeth dr cym, zdławionym głosem.
- Taka sama jak moja.

Anderson popatrzył na ni ze współczuciem, po czym zerkn ł na Johna. Zatrzaszkuje notatnik, znacz co przekrzywił głow . John w lot zrozumiał.

- Pójd i posied chwil w samochodzie - zwrócił si do Elizabeth. - Zaraz do ciebie wróc .

- Nie ma mowy - odparła zdecydowanie, zwracaj c si do Andersona. - Tu chodzi o moj siostr . Musz o wszystkim wiedzie .

Anderson chwil si wahał, ale w ko cu z ponur min o wiadczył:

- Baga nik te jest zakrwawiony. Ponadto grupa techniczna znalazła w baga niku strz pki jakiego materiału, mo e pledu czy czego podobnego, w ka dym razie nie b d cego cz ci samochodu. A tak e rolk aluminiowej ta my klej cej i - Anderson zajrzał do swoich notatek - jeden damski pantofel, czarny skórzany pantofel numer trzydzie ci sze .

- Chc go zobaczy - oznajmiła Elizabeth. Funkcjonariusz spojrział pytaj co na Johna, po czym z lekkim wzruszeniem ramion wywołał czyje nazwisko. Po chwili podano mu przedmiot w plastikowej torbie.

Jakkolwiek wydawało si to niemo liwe, twarz Elizabeth zrobiła si jeszcze bledsza ni dot d.

- T - to mój pantofel. Tydzie temu zauwa yłam brak tych wła nie pantofli, i pomy lałam, e pewnie zaniostałam je do naprawy razem z inn par . A potem... nie miałam czasu sprawdzi .

- A mo e zostawiła je pani w samochodzie?

- Nie, to wykluczone - odparła i niemal przepraszaj cym tonem wyja niła: - Jestem pedantk , je li chodzi o buty. Czyszcz je dokładnie po ka dym włoeniu i trzymam w osobnych plastikowych pudełkach.

- Czy zdarzało si pani po ycza siostrze ubrania czy buty?

- Sama sobie brała, na co miała ochot - odrzekła. - Ale tych pantofli na pewno by nie wło yła. - Jej wzrok pow drował w kierunku baga nika, a stamt d na twarz funkcjonariusza. - Prosz mi powiedzie , co to mo e znaczy ?

- Trudno tak od razu wyrokowa ...

- Ja musz wiedzie ! - Jej głos był ostry, zdecydowany.

- No có , wygl da na to, e kto sił wci gn ł pani siostr do samochodu - mo e została ogłuszona - a potem w jakim momencie przeniesiono j z samochodu do baga nika. Wtedy pewnie spadł jej z nogi jeden pantofel. No a na koniec napastnik albo napastnicy podrzucili samochód tutaj.

- A co ty my lisz? - zwróciła si do Johna.

- Ta wersja brzmi prawdopodobnie - przyznał John, po czym rozejrzał si po ulicy. - Zdj to kołpaki z kół, radia te nie ma. Ciekawe, jak długo tu stał.

- Wypyujemy, kogo si da, ale okoliczni mieszka cy nie s zbyt rozmowni - odparł Anderson, wskazuj c McGaffeya, który wła nie indagował m czyzn odzianego w kilka warstw podartych szmat. Biedak popychał sklepowy wózek pełen pustych puszek, starych gazet i kartonów, energicznie kr c c głów na znak, e absolutnie nic nie wie.

Odprowadzili wzrokiem oddalaj cego si m czyzn . John ci ko westchn ł.

- Niech ekipa techniczna zdejmie wszystkie mo liwe lady - o wiadczył. - Dajcie mi zna , jak sko cz .

Rozdział 9

Następny tydzień Elizabeth przeżyła jak wcześniej. Niczym automat wykonywała wszystkie niezbędne czynności. Jadła, spała, wychodziła na scenę i tańczyła, a przez resztę czasu pracowała nad sprawą Lindy Tremont, która nigdy nie omieszkła zapytać, czy w sprawie April coś się wyjaśniło i jak postępuje śledztwo. Jednak jedyną rzeczą, jaka przez wszechogarniającą mgłą niewiary i przerażenia naprawd do Elizabeth docierała, były rozmowy telefoniczne z Johnem, który regularnie przekazywał jej aktualne informacje.

April nie mogła zginąć. To po prostu niemożliwe. Mimo wielkiej różnicy charakterów między nią a siostrą nadal istniała niezwykle silna więź emocjonalna, która w czasach dzieciństwa i wczesnej młodości przybierała niekiedy postać jasnowidzenia. Gdyby April umarła, Elizabeth na pewno by to wyczuła. Niemniej jednak, według policyjnego raportu, badanie krwi dało wynik pozytywny. Próbkę pobraną z samochodu i od niej okazały się identyczne. Dla pewności w obecnej chwili przeprowadzono dodatkowe badania DNA.

Po odbyciu kolejnej wieczornej rozmowy z Lindą Tremont i wysłuchaniu jej zwierzeń na temat brata nieszczernej kobiety, Elizabeth po raz pierwszy od czasu zniknięcia April zmusiła się do tego, by wyobrazić sobie, jak wyglądałoby jej życie, gdyby na zawsze straciła siostrę. Jedyną jako tako klarowną myśl, jaka przyszła jej do głowy, była właśnie kolejne pytanie - tym samym, które raz już sobie zadała. A mianowicie, kim byłaby, gdyby przestała być siostrą April? Do czego sprowadziłoby się jej życie, gdyby nie mogła dłużej troszczyć się o siostrę? Jakże to dziwne, pomyślała: dziś nie mogłoby sobie wyobrazić życia bez tego, co jeszcze niedawno tak bardzo mnie złościło!

W sobotni wieczór znowu wyszła na scenę przy grzmotach dźwięków muzyki. Pierwszy raz od tygodnia zapomniała o swych zmartwieniach i udrękach - upartym milczeniu tancerek z klubu, odnalezionym aucie, nawet zakrwawionym siedzeniu. Wszystko gdzieś odplynęło. Chłonęła całą sobą płynący z głębin gardłowej pieśni Deborah Harry, który swoim czarem wyrugował z jej wiadomości wszelkie inne myśli. Poczuli nagle błogi ulgę. A zarazem poczucie winy, które jednak odepchnęła od siebie, poddając się odwiecznemu działaniu muzyki.

Jednak e umysł Elizabeth nie znosił pró ni. Pod osłon ozdoby maski powrócił jedyny prócz April temat, o jakim potrafiła ostatnio myśleć - John Mallory. Obraz męczyzny wypełnił jej wyobraźnię, a wraz z nim budziły zmysły wspomnienie jego ust, dotyku ciała i pieśczoć r k.

Należało do tych męczyzn, o których nie sposób zapomnieć. W najmniej oczekiwanych momentach łapała się na rozpamiętywaniu jakiegoś zwiżanego z nim szczegółu - zwiżni tych nad karkiem koniuszków włosów czy półkolistej blizny na skroni. Albo czułego dotyku palców, obejmujących jej podbródek przy pocałunku. Pamiętała te dobrze, co obudziło w jej ciele tamto króćkie zbliżenie. Był bez wątpienia bardzo przystojnym męczyzn. Nie ulegało temu w tpliwoćci, e kiedy patrzył jej w oczy, sprawiał wrażenie, jakby prócz niej nic nie istniało dla niego na świecie. Ale ten się gajcy trzewi płomieć, jaki j w tedy ogarnął... Nie, tego nie wyobrażała sobie w naj mielszych snach.

O Bo e, po co jej takie komplikacje! Zwłaszcza teraz. Par lat temu, kiedy spotykała się z Jackiem, a on wspomniął o małżeństwie, od razu wiedziała, e to nie dla niej. A teraz pojawił się John, który uparcie wkładał się w jej umysł i serce i nie pozwalał się odpodzić. Musi uważać, a nade wszystko pilnować, eby tamten pocałunek się nie powtórzył. John niew tliwie nale y do typu męczyzn, o jakich wspomniła Tracy, a Elizabeth nie była kobiet dla niego, nawet gdyby chciała ni być.

Myli Elizabeth zatoczyły koło, wracając do April. Och, gdyby miała ją teraz przy sobie! Chocia nigdy nie polegała na zdaniu siostry w sprawach męsko - damskich

- podobnie zreszt jak we wszystkich innych - to jednak zat skniła nagle za tym, by móc usi razem i otworzyć przed ni serce. A je eli ju nigdy nie b dzie to możliwe?

Muzyka urwała się, a wraz z nią wystąpiła Elizabeth. Gdy na scenie zapadły ciemnoćci, wymknęła się i mrocznym korytarzem pod yła do garderoby, pełna niepokoju i złych przeczuc.

Ni st d, ni zow d kto stanął jej na drodze.

Z bocznej salki wy

ponieważ stał blisko, i podnosił do ust dłoń w rękawiczce, powiedział:

- Nie bój się. Nic ci nie zrobi ...

Ale chociaż mówił i zachowywał się na pozór normalnie, to jednak w tonie jego głosu było coś tak dziwnego i niepokojącego, że Elizabeth przeszły ciarki po plecach. Rozejrzała się, szukając pomocy, ale w korytarzu nikogo poza nimi dwojgiem nie było.

- Jak pan tu wszedł? - zapytała. - Klienci nie mają prawa...

- Och, ja nie jestem klientem — odparł. Kiedy się uśmiechnął, skóra dziwnie nacięła mu się na policzkach.

- Masz do czynienia z kimś znacznie ważniejszym.

Trudno było określić jego wiek. Włosy mogły być jasnobłond albo siwe, a pod czarnym garniturem mogło się równie dobrze skrywać młodziecze, jak te starcze i zwiędłe ciało. Jedno nie ulegało wątpliwości: facet robił niesamowite wrażenie. Elizabeth cierpiała skórą.

- Nie znam pana i nie obchodzi mnie, kim pan jest! - wykrzyknęła z udawaną brawurą. - Proszę mnie natychmiast przepuścić, bo jak nie, to zawołam na pomoc Boba.

- Boba? - uśmiechnął się dziwnym, czujnym, nadal blokując jej drogę. - Bob nie ośmielił się dotknąć mnie palcem. Jestem jego szefem. - Poczekał na efekt i dodał: - Tak samo jak i twoim.

Elizabeth stała jak wryta, z bijącym sercem. Młody człowiek podał jej rękę.

- Lyndon Kersh, do usług, panno Ledo...

Elizabeth zignorowała wyciągniętą dłoń, ale z jej pamięci wyłoniło się mętne wspomnienie. April mówiła jej kiedyś, że właściciel klubu jest trochę „dziwacznym” osobnikiem. Na jej własne oko takie określenie Lyndona Kersha stanowiło chyba daleko idący eufemizm. Postanowiła jednak zachowywać się nadal tak, jakby nic o nim nie wiedziała.

- Ja pracuję dla Grega Lansinga - oświadczyła.

- A Greg Lansing pracuje dla mnie - odparł, z rozbawieniem podnosząc jedną brew. - Chyba nie sądzi pani, że Greg jest właścicielem tego lokalu?

- Ja... nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

- Wielka szkoda. W dzisiejszych czasach nigdy nie dostrzeżesz tego. Nigdy nie wiadomo, co może się zdarzyć.

Uśmiechnęła się, mrugając do niej tajemniczo, i Elizabeth dopiero teraz zwróciła uwagę na jego oczy. Przypominały dwa blade płomyki - nie były ani niebieskie, ani zielone, miały niespotykaną u ludzi nijaką barwę. Elizabeth znowu przeszła ciarki i obronnym gestem sięgnęła pod szyję poły szlafrocza.

- Proszę pana, nie mam pojęcia, czy jest pan tym, za kogo się podaje, czy nie, a teraz proszę mi pozwolić przejść.

Mówiła, czyżby się nie ruszył.

- Przestraszyła się pani? Czy tak?

- Oczywiście, że nie - wyparła się, patrząc mu zuchwale w oczy.

- Po prostu spiesz się do garderoby. Skończyłam na dziś pracę i chciałabym wreszcie pójść do domu.

- Z oczu ci widać, że nie mówisz prawdy - odparł, przysuwając się jeszcze bliżej. - Nastraszyły cię twoje koleżanki? Opowiadały o April?

Elizabeth skamieniała. Wskazywany korytarz wydał jej się nagle jeszcze ciemniejszy i bardziej mroczny niż zwykle.

- Znał pan April?

- Skąd ten czas przeszły? Mylisz, że ona nie żyje?

- Nic nie myli. Po prostu jej nie widziałam, dlatego użyłam czasu przeszłego - odparła, zwiłając wyschnięte wargi. - A wracając do pańskiego pytania, to tak. Koleżanki wspominały o April.

Twarz mówiącej zmieniła się. Było za ciemno, żeby w pełni odczytać jej wyraz, niemniej zdradzała jakby nagłe zaniepokojenie.

- Doprawdy? - zapytał. - A co mówiły?

- Zniknęła bez śladu i nikt nie wie, gdzie się podziała.

- A dlaczego ich zdaniem zniknęła?

- Tego nie powiedziały.

- Nawet w ciemności panna Kensington? Która podobno wie o wszystkim, co się tutaj dzieje?

Czy wymyśliła jakieś kłamstwo, skłonił faceta do zwierzeń? - zastanowiła się Elizabeth, patrząc w blade oczy mówiącej. Już miała podsunąć mu jakieś kłamstwo, lecz na wspomnienie Tracy straciła na to ochotę. Przyszło jej do głowy, że mimo swojej bezczelności i sprytu, ruda tancerka ma za mało charakteru na to, by postawić się komuś takiemu jak Kersh.

- Tracy jest za bardzo zajęta panem Lansingiem - odparła. - Nie ma głowy do zajmowania się ploteczkami.

- Tak pani myśli? - zdziwił się Kersh, obci gaj c r kawiczki. - Miałem wrzecz odwrótne wrażenie. Pan Lansing powiedział mi...

- Pan Kersh? Witamy!

Słysz c głos Grega, Elizabeth zakręciła się na pięcie. Greg zmierzył ją uważnym spojrzeniem, po czym zwrócił się do stojącego obok niej mężczyzny:

- Nie wiedziałem, że będziemy mieli dziś zaszczyt pana gościa. Chwilę będzie musiało potrwać, zanim przygotujemy pański stół.

- Nie ma po piechu, Greg - rzekł ubrany na czarno mężczyzna, wyci gaj c r k w kierunku Elizabeth. - Panna Leda zabawiła mnie rozmową. Przedtem zresztą zająłem na widowni i miałem przyjemność widzieć jej występ. Był rzeczywiście jedynym w swoim rodzaju.

Elizabeth wzdrygnęła się z obrzydzenia i zaenowienia. Mężczyzna podniósł dłoń i w zamyśleniu przyłożył palec do brody.

- Chciał przypomnieć mi występ pewnego duetu, które parę lat temu oglądałem w Dallas. - I kierując na Elizabeth spojrzenie swych białawych oczu, zapytał: - Może pani przypadkiem o nich słyszała? Tancerki, o ile pamiętam, były bliźniaczkami. Podobnie jak nasza zaginiona panna April...

Elizabeth zrobiło jej słabo. Z trudem przełknęła linę i zbierając wszystkie siły, oświadczyła najspokojniej jak mogła:

- Pierwsze słysz. Nie wiem, o czym pan mówi.

- Jest pani pewna? - zapytał ponownie, przewiercając ją swymi niesamowitymi łepiami.

- Najzupełniej. - Elizabeth jeszcze ją nie otuliła się woalem i postąpiła krok do przodu. - A teraz, jeśli pan pozwoli...

Mężczyzna bez słowa usunął się z drogi i Elizabeth przemknęła koło niego. Idąc do garderoby, przez cały czas czuła na plecach palące spojrzenie jego bazylijskich oczu.

John przystanął w półotwartych drzwiach pokoju Lisy. Nie wierzył własnemu szczęściu, kiedy Marsha sama do niego zadzwoniła, prosząc, by zajął się ich córką w sobotni wieczór. Tamtego dnia, kiedy wpadł bez uprzedzenia, by się zobaczyć z Lisą, ta zachowywała się w miarę przyzwoicie. Skłonny był upatrywać w tym jakiegoś podstęp. Marsha ma zapewne do niego jakiś interes, ale nie będzie się tym martwił na zapas. Na to przyjdzie jeszcze czas.

Przypatrując się piącej córce, wrócił myślami do tamtego momentu, którego wspomnienie od tygodnia nie dawało mu spokoju.

Ta chwila, kiedy całował Elizabeth...

Starał się wtedy trzymać na wodzy, naprawdę, ale któryś z czynnych przy zdrowych zmysłach potrafiłby się oprzeć podobnej pokusie! Elizabeth tak bardzo potrzebowała czyjegoś wsparcia i pociechy, że po prostu nie mógł inaczej postąpić. Miał wręcz obowiązek wziąć ją w ramiona, ofiarować jedno i drugie.

Daj spokój Mallory! Kogo próbujesz oszukać?

Skrzywił się zdegustowany, zawrócił, poszedł do małego pokoiku koło sypialni i usiadł przy wciśniętym w kąt niewielkim biurku. Lepiej weź się do pracy, powiedział sobie. Zamiast rozmyślać, zajmij się robotą. W jej życiu nie ma dla ciebie miejsca, tak samo jak w twoim dla niej.

Sięgnął po stos teczek, które dotyczyły innych spraw, i przez długi czas nad nimi pracował, lecz kiedy skończywszy papierkową robotę, podniósł słuchawkę i wybrał numer policyjnego laboratorium, to jedynie po to, by zapytać o szczegóły jednej jedynej sprawy.

Laborant w pełni potwierdził jego domysły.

- Tak, to krew April Benoit. Pobraliśmy próbki zarówno z tapicerki, jak i bagażnika. Wyniki DNA identyczne jak u siostry.

-

John po dalszych paru minutach odłożył słuchawkę. Wiedział dziwnie niewiele więcej niż tydzień temu, pomijając jeden drobny, ale istotny szczegół.

Dowiedział się, jak smakują usta Elizabeth.

Rzuciwszy okiem na zegarek, wstał od biurka i wyjrzał przez okno na łazienkę ich mieszkania dziedziniec. Powinna już chwila później pojawić się w domu. Od tygodnia nie kładł się spać, dopóki się nie upewnił, że wróciła, a potem czekał jeszcze, aż w jej mieszkaniu pogasną światła. Od tamtego pocałunku parokrotnie z sobą rozmawiali, ale tylko i wyłącznie o April. Wiele by dał za to, aby się dowiedział, czy Elizabeth poświęca mu równie wiele uwagi, co on jej.

Pojawiła się w momencie, gdy o tym pomyślał. Trzymając w ręku torebkę, zmierzała wolno chodnikiem w kierunku domu. Bez zastanowienia rzucił się do holu, otworzył drzwi i zawołał ją po imieniu.

Odwróciła głowę. Kiedyś w pełni rzucał jasne światło na dzielnicę ich przestrzeń, a w jego srebrzystym blasku włosy Elizabeth lśniły jak onyks. Z otwartego nieopodal okna płynęła muzyka - jakiś brzmienie znajomo, klasyczny utwór. Fragment „Don Giovanniego” Mozarta, uświadomił sobie.

Skąd ja to wiem? - pomyślał chwilę potem zdziwiony. Najwidoczniej te wszystkie przedrzemane przedstawienia operowe, na które prowadziła go Marsha, jakim tajemniczym sposobem wsiąknęły w jego podświadomość.

Twarz Elizabeth pozostawała w cieniu, lecz poprzez dziwkę muzyki dobiegł go jej głos.

- To ty, John? Nie pisz?

Wyszedł na ganek, nie zamykając za sobą drzwi, i przywołał ją ruchem ręki.

- Trochę pracowałem - skłamał - i zobaczyłem, że idziesz. Zdarzyło się dziś coś ciekawego?

Przyjrzał się jej uważnie, kiedy podeszła bliżej. Była jak zawsze piękna, niemniej wyglądała na zmęczoną. Pod ciemnymi oczami widniały smugi, a po obu stronach pełnych warg pojawiły się dwie kreski. Sprawiała wrażenie wyczerpanej do końca, zarówno fizycznie, jak i nerwowo.

- Poznałam właściciela klubu. Dziwny jegomość, oglądanie mówi o nim. Nazywa się Lyndon Kersh. Wiesz coś o nim?

- Nie przypominam sobie. Może wstąpić na chwilę i opowiesz mi, co mówił - zaproponował John. - Wydaje mi się, że jedno piwo... albo rozmowa z przyjacielem dobrze ci zrobi.

Ich spojrzenia spotkały się w ciemności. Nie musiała nic mówić, by odgadł, co mu odpowie. Ten pocałunek wprowadził ją w popłoch i teraz z wszystkich sił próbowała trzymać się jak najdalej od niego.

- Dziękuję - odparła sztywno. - Będzie chyba lepiej...

- Tata? Tata, gdzie jesteś?

John szybko się odwrócił, podchodząc do uchylonych drzwi.

- Tu jestem, mała. Na ganku.

Mała Lisa niepewnym krokiem wyszła na ganek. Jedną piśtulką przecierała zaspane oczy, a w drugiej trzymała swój najnowszy lalek Beanie.

- To już rano? - spytała. - Co tutaj robisz, tatusiu? John przykucał koło niej.

- Należałoby raczej zapytać, co ty tu robisz, zamiast grzecznie leżeć w łóżeczku?

Lisa już otwierała buzię, by mu odpowiedzieć, kiedy za plecami pochylonego ojca dostrzegła Elizabeth.

- A kto to?

- To panna Benoit, kochanie - odparł, prostując się. - Przywitaj się.

John musiał w duchu oddać Marsha sprawiedliwość. Była ona potrafiła wpoić córce zasady dobrego wychowania, nawet jeżeli sama nie lubiła się do nich stosować. Nie do końca rozbudzona dziewczynka postąpiła do przodu i wychyliła się, grzecznie powiedziała:

- Dzień dobry pani. Miło mi pani poznać. Elizabeth, kompletnie oczarowana powitaniem, pochyliła się z wdziękiem, ujmując dłoń małej.

- Mnie też bardzo miło ci poznać - powiedziała. - Masz bardzo ładnego misia. Chyba pierwszy raz widzę zielonego niedźwiadka.

- To nie mi, tylko lalka Beanie - oświadczyła z powagą Lisa. - Mamusia i ja mamy całą kolekcję tych lalek. Ta nie jest specjalnie ciekawa, i dlatego mamusia pozwala mi się nią bawić.

- Ach tak? Mogę obejrzeć?

John stał z boku, obserwując w zadziwieniu tę scenę.

Nigdy si nie zastanawiał nad tym, jak Elizabeth mogłaby zareagowa na spotkanie z Lis , tym bardziej wi c był zaskoczony naturaln swobod , z jak Elizabeth nawi zała kontakt z jego córeczk .

Dziewczynka podała zielonego zwierzaka Elizabeth, która, obracaj c zabawk na wszystkie strony, j ła gło no wychwała jego kolor, kształt i czarne okr głe oczka. A kiedy przytuliła szmacian lalk do twarzy i pocieraj c ni policzek, zachwyciła si jej mi kko ci , John a drgn ł. Przez moment pozazdro cił wypchanemu zwierzakowi.

- Pani te tutaj mieszka? - nie miało spytała Lisa.

- O tak - odparła Elizabeth. - Tam, po drugiej stronie - dodała, wskazuj c swój dom. - Mo e jutro rano przyszłaby mnie odwiedzi ? Miałaby ochot ?

Lisa u miechn ła si , ale nagle spowa niała.

- Nie mog . Jutro wybieramy si z tat na piknik.

- Potem jednak rozja niła si . - Pani te mo e z nami pojecha . Wybieramy si do zoo. Prosz powiedzie , e tak, bardzo prosz !

Elizabeth zerkn ła na Johna, nim jednak zd ła odmówi , John o wiadczył:

- wietna my l! Rozerwiesz si . Elizabeth z wolna si wyprostowała.

- Nie chciałabym przeszkadza .

- Nikomu nie b dziesz przeszkadza . Pokr ciła głow .

- Nie wiem, co powiedzie - odparła powoli. - Chciałam pojecha jutro do domu April, porozmawia na nowo z s siadami. A poza tym musz si jeszcze raz porozumie z Lind i jej bratem, eby sko czy wreszcie to sprawozdanie dla Izby Skarbowej.

Lisa, któr najwidoczniej znudziła rozmowa dwojga dorosłych, zbiegła tymczasem na trawnik i z rozpostartymi szeroko ramionami zacz ła ta czy w wietle ksi yca, cigaj c jednocze nie wi toja skie robaczki. Za miała si , gdy jednego z nich udało jej si schwyta , ale po chwili pozwoliła mu odlecie . W swej białej nocnej koszulce, z pobłyskuj cymi w wietle ksi yca gołymi stopkami, przypominała małego le nego skrzata.

- Powinna troch odetchn , Elizabeth - cicho powiedział John.

- April na pewno by nie chciała, eby z jej powodu wp dziła si w chorob . Wygl dasz, jakby była u kresu sił.

- Wi c jed z nami - nalegał. - Jeden dzie niczego nie zmieni. April byłaby tego samego zdania. A przy okazji opowiesz mi o Kershu.

Nim Elizabeth zd yła zareagowa , Lisa wbiegła z powrotem na ganek i chwyciła Elizabeth za r k , domagaj c si uwagi.

- Patrzcie! - zawołała. - Złapałam wi toja skiego robaczka. Tatusiu, czy mog go sobie zatrzyma ?

Elizabeth2(36)2(d)gi.i.

- No wi c dobrze... przył czam si - rzekła w ko cu. John u miechn ł si uszcz liwiony, a zwracaj c si do córki, przybrał niby surowy ton, i kład c dło na jej główce, o wiadczył:

- A teraz marsz do łó ka!

- Dobrze, tatusiu. - Lisa z roze mian buzi ruszyła ku drzwiom, ale Elizabeth zatrzymała j , nim dotarła do drzwi.

- Chwileczk , Liso - powiedziała, podaj c jej szmacianego misia.

- Zapomniała zabra zwierzaka.

- Nic nie szkodzi - odparła dziewczynka po namy le.

- Prosz go sobie zatrzyma na noc, a jutro rano zabra na piknik.

- Przystan ła jeszcze, by doda z surow mink :

- Tylko prosz nie odrywa etykietki, bo bez niej Beanie si nie liczy.

Na twarzy Elizabeth odmalowało si zdziwienie, zaraz jednak u miechn ła si znowu, przytulaj c czule misia do twarzy.

- Obiecuj nie rusza etykiety - przyrzekła. - I b d o niego dba .

- Po czym rzuciwszy Johnowi spojrzenie, którego sens nie był dla niego jasny, odwróciła si i odeszła, a wiatło ksi yca połyskiwało na jej ramionach.

Po chwili Elizabeth i szmaciana zabawka znikn li razem za drzwiami. John odwrócił si i kr c c głow , wszedł do holu.

Szcz ciarz z tego cholernego mi ka!

Elizabeth posadziła zabawk na nocnym stoliku i wzi ła do r ki fotografii , która stała zawsze koło budzika. Było to stare zdj cie jej i April z rodzicami. Przypatruj c si twarzom dawno nie yj cych ojca i matki, po raz pierwszy w yciu pomy łała, i mo e to dobrze, e ich ju nie ma. Znikni cie April byłoby dla jej matki niepojmym ciosem. April była zawsze jej ulubienic , a Elizabeth od małego wietnie j rozumiała. Nie miała o to do matki najmniejszej pretensji; wszyscy kochali April.

W pó niejszych latach Elizabeth radykalnie si pod tym wzgl dem zmieniła, ale w dzieci stwie marzyła ponad wszystko o tym, aby by matk . Od najwcze niejszych lat matkowała wszystkim zwierz tom, jakie tylko znalazły si w jej zasi gu, a wszystkie lalki były jej dzie mi. Teraz u wiadomiła sobie, jak dalece, mimo przecz cych temu pozorów, zidentyfikowała si z tamt rol . Niby to uznała, e nie nadaje si do tego, by zało y rodzin i by matk ,

niemniej pretensje April były uzasadnione. Elizabeth wci chciała jej dyktowa , jak ma y i co robi .

Si gn ła po szmacian zabawk i przed jej oczami ukazała si słodka buzia Lisy Mallory. Czy doczekam si kiedy własnego dziecka? Równie m drego, ładnego i grzecznego jak ona? Elizabeth rzadko miała do czynienia z dzie mi, ale dzi zdała sobie spraw , e nawi zanie kontaktu z mał Lis przyszło jej z niezwykłą łatwo ci . W jaki trudny do nazwania sposób dziewczynka wywołała wspomnienie jej samej, kiedy była dzieckiem.

Zdziwiona tym wszystkim weszła do łó ka, rozkoszuj c si chłodem po ciele, koj cym rozogniony umysł i ciało. Do drzwi Johna podeszła jedynie po to, by powiedzie mu o spotkaniu z Lyndonem Kershem. A w efekcie umówiła si na całodzienn wypraw do zoo z nim i jego córk . Obj ła ramieniem szmacianego misia i zamkn ła oczy.

Rozdział 10

Kiedy w niedziel wczesnym rankiem rozległo się pukanie do drzwi, w pierwszej chwili miała ochotę uciec, ale nie miała jej w domu. Nie dlatego, by wspólny wypadek z Johnem i Lisą nie był jej miły. Wręcz odwrotnie – ponieważ za bardzo ją cieszył. Najchętniej poddałaby się złudzeniu, i życie toczyłoby się nadal normalnym trybem: April piła jak zwykle w swoim pokoju, a cała ta awantura była tylko złym snem. Jednak ona rzeczywiście nie pozwalała o sobie zapomnieć. Elizabeth poszła więc do holu, by otworzyć drzwi. Na widok rozradowanych oczu pięcioletniej Lisy uwiadomiła siebie, i jej chwilowe ociężałość się miała głębszą przyczynę.

Przemknęła jej przez głowę, jak by to było, gdyby ona i John stanowili parę. I natychmiast przestraszyła się własnej myśli. Przecież nigdy nie miała takich zamiarów.

Całkowicie nie wiadomo, co się w Elizabeth burzyło, ale Lisa uśmiechnęła się do niej od ucha do ucha.

- Jesteś gotowa? - zapytała. Przeskakiwała przy tym z nogi na nogę, nie mogąc z podniecenia spokojnie ustać. - Tata mówi, że trzeba już jechać. Musimy w końcu wyruszyć, żeby obejrze zwierzęta, zanim zrobi się upał!

- Pozwól mi tylko zabrać torbę i twojego misia, i już idziemy - odparła Elizabeth.

W parę chwil później, trzymając się za ramię i gwarząc jak stare przyjaciółki, Elizabeth z Lisą, która ciskała w ramionach odzyskanego misia, szły nakrapianym pierwszymi promieniami słonecznym chodnikiem. Idąc obok małej, której ręczka spoczywała w jej dłoni, Elizabeth czuła się dziwnie dobrze i na miejscu. Jakże to zdumiewające! John czekał na nie przed domem, oparty plecami o maskę samochodu.

Elizabeth próbowała omijać go wzrokiem, w końcu jednak dała się wygrać i otworzyła na niego oczy. Miał na sobie jak zwykle w skórzane rękawice i wypucowane do połysku wysokie buty, tylko zamiast białej wykrochmalonej koszuli włożył dziś czarną bawełnianą koszulkę. Rękę trzymał zaplecione na piersiach, a krótkie rękawy uwydatniały jego twarde mięśnie. Spod rąk odsuniętego z czoła słomkowego kowbojskiego kapelusza piwnie oczy Johna obserwowały wpatrzoną w niego Elizabeth.

Poczuła, że się czerwieni, udała więc, i to z powodu słowa i zaczęła wachlować się rękami, jakby już było zbyt gorąco.

- Dzień dobry - powitał ją, dotykając ręką kapelusza, kiedy się zbliżyła. - Pięknie ubrała się na nasz piknik.

- Dziękuję.

Elizabeth opuściła wzrok na swój sukienkę. Przebierała się zaledwie kilka razy przed podjęciem ostatecznej decyzji. Lu na płócienna sukienka bez rękawów, zapinana z przodu na rzędy rogowych guzików, wydawała się najlepsza na tę okazję. Z oczu Johna wyczytała, że w pełni aprobuje jej wybór.

- Jedmy już! Jedmy!

Zapał Lisy uwolnił Elizabeth od dalszej rozmowy na ten temat. Wsiedli do samochodu, a wierząc się między nimi na siedzeniu dziewczynka oddzieliła ich na bezpieczną odległość.

Kiedy dojechali na miejsce, ogród zoologiczny zaczął się już wypełniać ludźmi, ale na parkingach było jeszcze sporo miejsca. Przez następne pół godziny spacerowali po urządzonym na kształt parku ogrodzie, przy czym na każdym kroku Lisa przebiegała co najmniej dziesięć kroków. Przy akompaniamencie głębszych zachwyków małej obejrzeliby małpy i foki, ptaszarnię, a potem tygrysa. Elizabeth zrezygnowała jednak z wejścia do pawilonu gadów. Czekając na nich

- Mógłbym ci za to aresztować - oświadczył. - Według federalnego prawa ładowanie jest poważnym wykroczeniem.

Elizabeth zaś miała się i z figlarnie przekor ponownie wetknąć palec w polewę, nabierając jeszcze więcej czekolady. Towarzystwo Johna i Lisy wyzwoliło w niej dawno zapomnianą zdolność odczuwania bez troski radości. Przymrużyła jedno oko i patrzyła Johnowi prosto w twarz, powoli i z rozmysłem podniosła palec do ust. John pochylił się i przytrzymał jej dłoń w momencie, gdy otwierała usta, po czym oblizał umazany czekoladą palec.

Elizabeth zaś miała się, widząc ten cikliwy gest, a John też się uśmiechnął, choć miał niezbyt wiele czasu. Jednakże w owym krótkim ułamku sekundy ciało Elizabeth przeszło ten sam gorący dreszcz, jaki odczuła tydzień temu podczas pamiętnego pocałunku. Uznała więc, że najskuteczniej pozabawi to doznanie znaczenia, jeżeli bez wstydu nazwie rzecz po imieniu. To, co poczuła, było zwyczajnym fizycznym podaniem. Niczym więcej.

John przeżył podobny wstrząs, ale w przeciwieństwie do Elizabeth nie potrafił tego ukryć. Oczy mu pociemniały, ciało miało jak naelektryzowane. Sięgnął do torby po serwetkę i starannie wytarł palce Elizabeth. Potem spojrzał na nią takim poważnym wzrokiem, że jej serce na moment przestało bić.

- Ciesz się, że jesteś z nami - powiedział po prostu.

- Ja też.

Nadal trzymał dłoń Elizabeth w obu rękach, i najwyraźniej nie zamierzał jej wypuścić. Jego palce były ciepłe, a uścisk mocny. Elizabeth pomyślała nagle, że wszystko, co robi, robi włącznie tak celowo i zdecydowanie. Nawet kiedy się przekomarza, jego czarujący uśmiech kryje w sobie o wiele więcej, niż na pozór może się wydawać. Spojrzawszy w kierunku bawiącej się Lisy, ponownie cisnął ręką Elizabeth, po czym, zmieniając temat, odezwał się do niej cichym i łagodnym tonem:

- Rozmawiałem wczoraj z technikiem o twoim samochodzie.

Składając relację o tym, czego dowiedział się w policyjnym laboratorium, przez cały czas trzymał jej dłoń.

Była zdziwiona, jakkolwiek co działa na nią ten niewinny gest.

- Co, oczywiście, niczego nie dowodzi. Nie mamy żadnego dowodu na to, że April nie żyje. I nie ma powodu, aby przypuszczać,

e włamanie do jej mieszkania nie było zwyczajnym napadem rabunkowym.

Skin ła głow , nie b d c w stanie wydoby słowa przez ci ni te gardło.

- Opowiedz mi o Kershu.

Przełkn ła lin , uwolniła dło i skubi c wyszarzni t z koca nitk , zacz ła mówi :

- Jest dziwny, naprawd dziwny. Cały ubrany na czarno, bezbarwne oczy, bezbarwne włosy. Pojawił si nagle w korytarzu za scen , kiedy wracałam po wyst pie do garderoby. Wystraszyłam si .

- Czego chciał?

- Chciał wiedzie , czy która z dziewcz t rozmawiała o April, a na koniec... - Urwała i gł boko odetchn ła, opanowuj c wywołane wspomnieniem zdenerwowanie. - Na koniec powiedział, e przypomniałam mu wyst py, które kiedy ogl dał w Dallas, wyst py duetu tanecznego w wykonaniu dwóch bli niaczych sióstr. I... wiedział, e April miała siostr bli niaczk .

- Domy la si , kim jeste ? Bezradnie pokr ciła głow .

- Trudno powiedzie . Dopytywał si zwłaszcza o to, czy Tracy nie rozmawiała ze mn o April. To te wydało mi si podejrzone.

John zamy lił si gł boko, nadal nie spuszcza c z oka bawi cej si Lisy. Po chwili milczenia odezwał si :

- Tracy musi co wiedzie - o wiadczył niespodziewanie. - To ona mnie zaczepiła, kiedy pierwszy raz tam poszedłem, a tobie te mówiła ró ne rzeczy. Kiedy potem próbowałem poci gn j za j zyk, wysłała mnie do diabła. Co mi jednak podpowiada, e nale y j mocniej przycisn . - Z przekonaniem pokiwał głow . - Tracy musi wiedzie wi cej, ni si wydaje.

- Dlaczego tak my lisz?

- Bo ja wiem... - zastanowił si ponownie. - Chciała o czym rozmawia , ale nie w klubie, teraz znów wypytuje o ni ten Kersh. - John skrzywił si . - W takich lokalach robi si najrozmaitsze interesy. April mogła si w co nieopatrnie wpl ta . Nie musz ci chyba mówi , jakie rzeczy mog wchodzi w gr : narkotyki, handel pornografi , wszystko jest do kupienia.

- Mo e, ale April nie miała z tym nic wspólnego.

- Sk d ta pewno ?

- Nigdy o niczym nie wspominała, a ja teraz te niczego nie zauważyłam.

- Jesteś nowa. Mogli zawieść interesy, dopóki się nie upewnisz, nie można ci ufać.

- Nie, na pewno nie - zaprzeczyła zdecydowanie. - Gdyby prowadzili nielegalne interesy, robiliby swoje bez względu na mnie. Jestem przekonana.

Lisa zawołała, żeby na nią popatrze, więc odwrócili się posłusznie i pomachali rękami, kiedy dziewczynka zsuwała się z małego zjeżdżalni, wydając radosne okrzyki. Po krótkiej chwili John, wciąż spoglądając na córkę, odparł:

- No dobrze, więc może chodzi o coś zupełnie innego. Może sam Lansing ma coś na sumieniu. Do licha! Albo wszyscy troje: Lansing, Tracy i Kersh? - Rzuciwszy Elizabeth szybkie spojrzenie, ponownie skierował wzrok na córkę. - Może mają jakiś wspólny ciemny interes?

- Wykluczam Tracy - odparła Elizabeth. - Nie jest w nic zamieszana.

- Skąd wiesz?

- Trudno to wytłumaczyć, ale wydaje mi się, że mimo całej swojej zachowatości, Tracy...

- Czego się boisz?

- Nie miałeś takiego wrażenia? Wzruszył ramionami.

- Faktycznie, odniosłem wrażenie, że chyba nie jest taka, na jaką wygląda. Punkt dla ciebie. - Umilkł, a po chwili dokończył twardym, zaciętym tonem: - Ale skłonny byłem to przypisać zachowaniu jej kochanka.

Elizabeth uważyła, że nie mu się przyjrzała. Twarz Johna była tak samo zimna i zacięta jak jego głos. Nie pierwszy raz dostrzegła w jego zachowaniu coś szczególnego, coś mogło się wiązać z jego przeszłością. Zebrała się na odwagę.

- Ty... ty chyba masz w takich sprawach do wiadczenie - zaczęła ostro nie. - Powiedziały mi kiedyś, tego pierwszego wieczoru, że osiemdziesiąt procent kobiet pada ofiarą własnych mężów albo kochanków. Dla ciebie to co więcej niż czysto statystyczne dane, prawda?

Głową miał wciąż odwróconą, gdy przez cały czas obserwował Lisę, lecz Elizabeth nie musiała widzieć jego twarzy, by domyślić się,

co prze ywa. Po nagłym napięciu ciała i zacięniętych dłoniach poznała, że usiłuje zapanować nad jakim bolesnym wspomnieniem.

- Tak, to co więcej niż czysto statystyczne dane - powtórzył. Jasne promienie słońca i widok bawiącego się w pobliżu dziecka sprawił, że jego następne słowa nabrały jeszcze okrutniejszego znaczenia. - Moja siostra zginęła z ręką swojego własnego matra - powiedział.

- O mój Boże... - Elizabeth chwyciła się za gardło, po czym wycięgnęła rękę, kładąc dłoń na jego ramieniu.

- Ach, John, to okropne!

- Tak, to okropne. - W dalszym ciągu patrząc na Lisę, która włą nie zawisła głową w dół z hułtawki, John przykrył ręką dłoń Elizabeth. - Beverly była o sześć lat starsza ode mnie - ciągnęła. - Kiedy dorastaliśmy, zachowywałem się jak typowy młodszy brat. Kłóciliśmy się bez przerwy, rzadko mieliśmy dla siebie dobre słowo. A kiedy staliśmy się dorośli, ja już pracowałem w policji, a ona od dawna była matką. Reed, jej mąż, był inżynierem. Nigdy go nie lubiłem, a kiedy próbowałem z nią o nim rozmawiać, Beverly nie chciała słuchać.

nocy zajechała przed dom, Reed czyhał na nią na werandzie. Zszedł na dół i rzucił się na nią.

- Oczywiście cię został aresztowany?

Spojrzał na nią oczami, w których było coś mrocznego i zawzi tego.

- Tak, złapali drania. Prawie tego ałowałem. Miałem ochotę sam się z nim porachować.

- Och, John... - Wyraz jego oczu przestraszył ją, choć w pełni rozumiała jego uczucia. - Dla rodziców to musiało być potworne.

Ponuro skinął głową.

- Potworne. Do końca życia nie mogli się po tym otrząsnąć. W dodatku czuli się winni, że nie umieli temu zapobiec, więc do ałoby dołączyły się wyrzuty sumienia. Mój rozwód nie poprawił im nastroju.

- Rzucił Elizabeth krótkie spojrzenie. - Matka zapytała mnie kiedyś, jaki błęd popełniła, wychowując dzieci. Dlaczego nie potrafi znaleźć sobie „normalnych” partnerów. Nie wiedziałem, co na to powiedzieć.

- Może po prostu żadne z was nie spotkało odpowiedniej osoby?

- Chciałbym w to wierzyć - odparł po chwili. - Bardzo bym pragnął jeszcze raz spróbować szczęścia. Założyłbym rodzinę, miałemby dzieci. - Nagle odwrócił się ku Elizabeth. - A ty? Nigdy nie spotkała odpowiedniego mężczyzny?

Elizabeth zmieszana się zdjęła dłoń z jego ramienia. Czy by odczytał jej wcześniejsze myśli? Zamiast odpowiedzi, zastanowiła się, jak te muszą wyglądać oboje w oczach przechodniów. Pewnie robiłby wrażenie przykładowej rodziny. Ładne dziecko, przystojny mężczyzna, zadbana i elegancka żona. Gdyby znali prawdę!

- Elizabeth?

- Prawdę mówiąc, nigdy się na tym nie zastanawiałam - skłamała. - Przez pierwsze lata myślałam tylko o tym, jak wyrwać się z tamtego życia, a odkąd zrobiłam dyplom i zostałam prawnikiem, całkowicie poświęciłam się pracy. No i próbom sprowadzenia April na właściwą drogę...

Dobrze, że chociaż z tego, co powiedziała, było prawdę. Rzeczywiście nie myślała o wyjściu za siebie i założeniu rodziny. Miała najgłębsze przekonanie, że się do tego nie nadaje.

- Naprawdę nie lubisz tańczyć? Spojrzała na niego zdziwiona.

- Ale nie, uwielbiam tańczyć. Daje mi wspaniałe poczucie niemal kompletnego wyzwolenia. Wszystko prócz muzyki i rytmu przestaje

si liczy . Gdybym po mierci ojca mogła kontynuowa nauk ,
zostałabym pewnie baletnic .

- Ale nie tak jak April?

- Nie. Szukałam w yciu czego całkiem innego; zarówno dla
siebie, jak i dla April.

- Mogłaby wróci do baletu.

- Ach nie, to wykluczone. eby ta czy w balecie, trzeba by
młod , zwinn ... Dla mnie jest ju na to za pó no.

Popatrzył na ni z czuło ci oraz współczuciem i ze
rozumieniem pokiwał głow . Po chwili nadbiegła Lisa i przez reszt
dnia Elizabeth zachowywała si tak, jakby byli rodzin , na któr
zreszt wygl dali.

Lisa zasn ła w trakcie jazdy do domu. John zaparkował przy
chodniku, wzi ł mał w ramiona i wysiadł z samochodu. Potem
spojrzał na stoj c obok auta Elizabeth.

- Poczekaj chwil - poprosił. - Odprowadz ci , tylko odnios
mał do domu.

- Nie musisz...

- Ale chc - przerwał jej. - Mam taki kaprys, wi c prosz si nie
sprzeciwia .

- Dobrze - zgodziła si z u miechem. - Poczekam na ganku.

John wniósł Lis do pokoju i poło ył na kanapie. Niech si chwil
prze pi, zanim odwiezie j do matki. Marsha postawiła warunek, e
mała musi wróci na noc do domu. Wyszedł na ciemny ganek, nie
zamykaj c za sob wej ciowych drzwi. Wieczne powietrze było
łagodne, przesycone wilgoci i piewem cykad. Płyn ce po niebie
obłoki zakryły ksi yc.

- Miała dzie pełen wra e - odezwała si Elizabeth. John skin ł
głow .

- Przyjemno ci to te ci ka praca. Ale lubi j zabiera na takie
wycieczki. Jej matka uznaje tylko wielogodzinne wyprawy do
sklepów. Mała rzadko ma okazj przebywa na wie ym powietrzu.

- Jeste dobrym ojcem.

Powiedziała to cicho, lecz głosem pełnym przekonania. John
domy lił si , e porównuje go z własnym ojcem.

- Powinienem lepiej si stara - odburkn ł, pokrywaj c
nieoczekiwane wzruszenie suchym tonem.

- Przecie robisz wszystko, co moesz - ucieknij sobie Elizabeth. - Lisa wie, że bardzo ją kochasz i że może zawsze na ciebie liczyć. Czy to nie dosyć?

Włosy Elizabeth oklapły od upału. Ciemne potargane kosmyki opadały w nieładzie na czoło. Z lekkiego porannego makijażu nie zostało nic, za to słońce wymalowało jej rumieńce, nie tylko na policzkach. Wpadając przez otwarte drzwi wietle wydała mu się kobietą całkiem inną niż ta, którą par tygodni temu zobaczył na chodniku w przykładowym, surowym kostiumie. Jedno tylko nie uległo zmianie: dziś, tak samo jak wtedy, nie mógł oderwać od niej oczu.

Zbliżył się i dotknął ręką jej twarzy.

- Czy zdajesz sobie sprawę, jaka jesteś piękna?

- Wyglądam okropnie.

- Nieprawda. Wyglądasz zachwycająco. Zakryła się, zmieszana, zamierzała zacząć mówić o czym innym, ale nie zdążyła. John ujął jej twarz w obie dłonie, nachylił się i pocałował. Stała w pierwszej chwili, ale w następnej poddała się pieścizocie.

Usta miała tak samo jędrne i ciepłe jak wtedy, gdy pierwszy raz ją całował, tym razem jednak pocałunek wywołał w nim głębsze, podskórne napięcie. Objął ją głową Elizabeth u nasady włosów, pociągnął ją za sobą w ocieniony kąt ganku.

Przytuliła się do niego, tak że czuł napór jej piersi, a ręce, które zarzuciła mu na szyję, obejmowały go z zaskakującą, namiętną siłą. Przez cały dzień marzył o tym, by ją pocałować. Od pierwszej chwili, odkąd ujrzał ją rano - spokojną, chłodną, opanowaną - myślał tylko o jednym: by przyciągnąć ją do siebie, poczuć dotyk jej ciała, zatopić się w jej ustach. Rzeczywiście okazała się jeszcze wspanialsza, niż sobie wyobrażał.

W myślach nie brał pod uwagę zapachu jej perfum, który unosił się między nimi niby gorące kadzidło, ani wrażeń, jakich dostarczała drażniąca przegroda cienkiej sukienki, nagrzanego słoncem płótna. I choćby nie wiedział jak długo rozmyślał nad tym, co bieżąco czuł, pieścizocie cudownie wypukło ci jej bioder, nigdy by sobie nie wyobraził, że mogą tak idealnie pasować do jego dłoni.

Z cichym westchnieniem jeszcze mocniej przycisnął ją do siebie, a ona odpowiedziała podobnym westchnieniem. Cofnął jedną ręką i pokonując barierę strzegących przodu jej sukienki guzików, wsunął pod spód ręką, obejmując obwiedzioną koronką

stanikiem pier . Wiedział, na jakie skazuje si tortury. Pocałunki i pieśczoty do niczego nie doprowadz , skoro ma córk w domu, ale czy to znaczy, e ma z nich rezygnowa ? Elizabeth j kn ła przeci gle, a on oderwał si od jej ust i okrył pocałunkami jej szyj i dekolt. Zatoczyli si lekko, mocno przytuleni, wiedz c, e nie mog posun si dalej, a zarazem niezdolni oderwa si od siebie.

Gdzie po przeciwległej stronie trawnika trzasnęły drzwi i Elizabeth szarpnęła si . Podniósłszy głow , John napotkał wzrok pani Beetleman, która patrzyła na nich ze swego ganku. Pokwitowawszy jego spojrzenie dobitnym "Hm!", cofnęła si w gł b swego segmentu, z całej siły zatrzasnęła drzwi. Bardzo słusznie, pomyła. Gdyby doprowadził rzecz do punktu, o którym marzył, nieznaczna kobieta dostałaby pewnie ataku serca. Tymczasem jednak sam był bliski zawału.

Elizabeth podniosła ku niemu twarz; miała ogromne, rozszerzone oczy, nabrzmięte od pocałunków wargi. To ponad jego siły - jest zbyt piękna, zbyt pociągająca, zbyt zmysłowa! Do diabła z pani Beetleman! Znow spróbował przyciągnąć Elizabeth do siebie, ona jednak oparła si , kładąc mu ręce na piersi.

- To wariactwo - szepnęła schrypniętym głosem.

- Dlaczego? A jeśli nawet, to bardzo przyjemne - zaproponował, ponownie próbując objąć i ponownie natrafiając na opór.

- Boj się ...

Oczy mu się zwiżyły.

- Nie wiem, Elizabeth, czego się boisz, ale nie możesz chyba zaprzeczyć, e między nami co się dzieje. Wiem, e ty te o tym wiesz. Czuj to.

- To, e się z tob całowałam...

- O, przepraszam - przerwał jej. - Od początku ci mówiłem, e nie mam czasu na wykręty i nic się pod tym względem nie zmieniło.

Znieruchomiała w jego ramionach, ale tylko na moment.

- Co chcesz ode mnie usłysze ? - wyszeptała. - e ci pragnę ? e chciałabym, eby mógł pójść teraz ze mną do mnie, do mojego łóżka? To chciałę usłysze ?

- A jest tak?

Patrząc mu głęboko w oczy, skinęła głow .

- To właśnie nie chciałem wiedzie .

- Ale to niemożliwe.

Delikatnie przeciągnęła palcem po jej wargach. - Mogłoby jedynie mieć nadzieję, że kiedyś będzie inaczej.

Zamknęła drzwi, Elizabeth oparła się o nie plecami, drżała na całym ciele. Czuła się jak nastolatka - zmieszana, dezorientowana i tak straszliwie podniecona, że wszystko widziała jak przez mgłę. Jak on ją zdołał doprowadzić do takiego stanu? Do diabła, przecie tylko się całowali! Co by się z nimi działo, gdyby doszło do prawdziwego zbliżenia? Słyszała, że niektóre kobiety mdleją przy orgazmie. Dotychczas takie opowieści tylko ją mieszyły, ale teraz nie było jej wcale do śmiechu.

Nogi ostatecznie odmówiły jej posłuszeństwa i osunęła się pod drzwi na podłogę. Przebiegła palcami po gorących, obolałych wargach, a zamknęła oczy, wyobraziła sobie twarz Johna w momencie, kiedy się nad nią pochylał. Miał długie, za długie jak na mężczyznę, rzęsy, które rzucały cień na policzki... Jęknęła, opuściła dłoń na szyję, dotykając miejsc, na których nadal czuła szorstki dotyk pokrytych całodziennym zarostem policzków Johna. Potem jej ręce powdrowały jeszcze niżej i zaczęła pocierać palcami skórę, wywołując wspomnienie jego rąk...

April opowiadała jej kiedyś o mężczyźnie, z którym miała romans. Przysięgała, że potrafił ją podniecić samym tylko spojrzeniem. Zarzekała się, że wystarczy, by zaczął na nią patrzeć z drugiego końca pokoju, a już robiła się mokra. Umiał na odległość, bez fizycznego kontaktu, doprowadzić ją niemal do orgazmu.

Elizabeth podciągnęła kolana, składając na nich głowę. Robiła straszny, niewybaczalny błąd, który tak czy inaczej musi się na niej zemścić. Jak mogła być taka głupia!

Chwilę jeszcze siedziała na podłodze, nim zebrała się w sobie i powoli zaczęła się podnosić. Kiedy wreszcie stanęła na nogi, rozległo się pukanie do drzwi. Omal nie krzyknęła ze strachu, a kiedy wyrzawszy przez szybę, ujrzała za drzwiami Johna, znowu omal nie osunęła się na podłogę.

John miał ponurą minę. Ogarnięta paniką, po piesznie przekręciła klucz i otworzyła drzwi.

- Co się stało? - spytała.

- Właśnie miałem telefon. Tracy Kensington została straszliwie pobita.

Elizabeth poczuła mdłości.

- Czy żyje?

- Ledwo. Jest w Szpitalu Bena Tauba, nieprzytomna, walczy ze śmierci, nie wiem dokładnie, od jak dawna. Dyżurny policjant znalazł przy niej mój wizytówek i dlatego zadzwonił.

- Wiadomo, kto to zrobił?

- Nie.

- Gdzie to się stało?

John zacisnął szczękę, jakby miał zazgrzytać zębami.

- Na parkingu... przed Esquire.

Elizabeth wymacała rękę drzwi za plecami i cięko się o nie oparła.

- Jadę teraz do szpitala. Wpadłem tylko, żeby ci o tym powiedzieć. Po drodze odwiozę Lisę, a kiedy dotrę do szpitala, zadzwonię do ciebie.

- Nie. Jadę z tobą.

- Nie ma mowy. Odkryj, kim jesteś.

- Powiedziała, że jest nieprzytomna. Nie byłabym wiedziała, że byłam u niej. - Mówi ci to, kierowała się do sypialni. - A na wypadek, gdyby odzyskała przytomność, zawsze coś wymyśli. Mogę powiedzieć, że policja dała mi znać, ponieważ pracuję w klubie. Nic bardziej naturalnego.

Jeszcze próbował oponować, ale spojrzawszy Elizabeth w oczy, ujrzał w nich dobrze znany wyraz uporu. Odwrócił się bez słowa, a ona wyszła za nim, zamykając drzwi na klucz.

Rozdział 11

Po wejściu do kliniki Elizabeth zaatakowała specyficzna szpitalna woń, na którą składają się zmieszane zapachy antyseptyków, rodków czystości i strachu. Z całej duszy nienawidziła tego zapachu! Kiedy były małe, April zabrano nagle do szpitala na wycięcie migdałków, a Elizabeth była przekonana, że siostra nigdy stamtąd nie wróci. Potem, kiedy się usamodzielnili, historia z operacją wyrostka April jeszcze umocniła te złe wspomnienia. Elizabeth właśnie nie wtedy, po odwiezieniu siostry do szpitala, zdecydowała się pójść tam czy w nocnym klubie. A już najgorzej zapamiętała sobie opiekę czy zakład, do którego musiały oddać matkę. Tam tę woń unosiła się w powietrzu owa ostra woń, która w jej pamięci na zawsze skojarzyła się z uczuciem lęku.

Odsunął się od siebie irracjonalne skojarzenia i starał się omijać wzrokiem zatroskane twarze oczekujących w poczekalni członków rodzin, wsiadła razem z Johnem do najbliższej windy. Łatwo zlokalizowali pokój, w którym leżała Tracy. Pod jego drzwiami siedział z żałobnymi na piersiach rękami czarnoskóry policjant, taksujący wzrokiem kogoś, kto pojawił się w korytarzu. Jego potężne mięśnie i groźna mina wystarczały, żeby odstraszyć kogoś potencjalnego napastnika, pomyślała Elizabeth.

Na ich widok policjant rozchmurzył się i poderwał na nogi.

- Długi John! Jak się masz, stary?

- Leonard! Co za spotkanie! Nie widziałem cię od wieków! - wykrzyknął John. - To jedna z moich informaterek - dodał, wskazując głową drzwi. - Co z nią?

Funkcjonariusz skrzywił się.

- Marnie, stary, bardzo marnie. Nie wiadomo, czy się wyliże...

Elizabeth serce się cisnęło. Chwyciła za klamkę i już miała pchnąć drzwi, gdy Leonard z niepojętą szybkością zagroził jej drogę swoim potężnym ramieniem.

- Najmocniej przepraszam, ale mam rozkaz wpuszczać wyłącznie pracowników policji. Chyba że jest pani krewna.

- Wszystko w porządku, Leonard - po piesznie wtrącił się John. - Pani jest... hm... jej siostrą.

- Jej siostrą? - powtórzył policjant, przenosząc spojrzenie z Elizabeth na Johna.

- Tak - przytaknęła. - To moja siostra.

Stró porz dku po krótkim wahaniu cofn ł r k i zwracaj c si do Johna, o wiadczył:

- Rozumiem, e zostaniesz w pokoju podczas wizyty „siostry”?

- Ma si rozumie - zgodził si John.

Widz c przyzwalaj cy znak policjanta, Elizabeth i John weszli do rodka i szybkim krokiem zbli yli si do łó ka.

Elizabeth wydała gło ny j k, ałuj c niemal, e policjant nie okazał si bardziej surowy. Le ca w po cieli, z trudem oddychaj ca posta w niczym nie przypominała znanej jej rudowłosej pi kno ci. Strasznie opuchni ta prawa strona twarzy uniemo liwiała rozpoznanie jej rysów, a skóra była sina albo pokryta przesi kni tym krwi opatrunkiem. Prawa brew sprawiała wra enie wypalanej do skóry. Jedna r ka i noga chorej znajdowały si w gipsie, a na szyi miała ortopedyczny kołnier. Elizabeth w pierwszym odruchu pomy lała, e to chyba jaka pomyłka. Dopiero kiedy przyjrzała si dokładniej widocznym mimo rurek, siniaków, opuchlizny i opatrunków resztkom twarzy, zdołała w zmaltretowanej istocie rozpozna Tracy.

- O Bo e... - j kn la, opieraj c dr c dło na ramieniu Johna. - Nie mog w to uwierzy !

John bez słowa wpatrywał si w tak niegdy czaruj c twarz nieszcz snej dziewczyny. Elizabeth, zerkn wszy na niego, szybko odwróciła głow . Zachowywał pozory zawodowego opanowania, lecz w jego oczach dostrzegła groz . Czula, e patrz c na Tracy, widzi własn siostr .

- Tylko potwór mógł si dopu ci czego takiego - wyszeptala.

Szmer stoj cej przy łó ku maszyny zmienił si w bzyczenie. Dobry Bo e, egoistycznie pomy lała Elizabeth, nie pozwól, eby April spotkał podobny los. Nie prze yłabym tego.

Za ich plecami otwarty si drzwi i do pokoju wpadła kobieta w białym kitlu, w której, nim zd yła si odezwa , rozpoznali lekark . Po powitaniu John przedstawił ich oboje pani doktor i wyja nił, sk d si tu wzi li. Wskazuj c głow łó ko, zapytał:

- Jak pani ocenia jej szanse?

Lekarka przechyliła si przez metalowy pr t ogradzaj cy łó ko i poło yła r k na ramieniu Tracy.

- Nie wiem - odparła szczerze. - ywotne siły organizmu zdolne s zdziała cuda, ale w jej przypadku b d miały wyj tkowo trudne zadanie. Poza tym, co wida , ma wewn trzne obra enia.

John zadał lekarce jeszcze parę pytań i uzyskał na nie odpowiedź, lecz Elizabeth nie słuchała, co mówi. Naładując gest lekarki, położyła dłoń na drugim ramieniu chorej. Dotykając jej wilgotnej skóry, wyobraziła sobie Tracy w czerwonych kowbojskich butach. Łzy napłynęły jej do oczu.

- Bardzo pani współczuję w powód siostry. Wiem, co musi pani przeżywać.

Słowa lekarki wprowadziły Elizabeth w zmieszanie, zaraz jednak zdała sobie sprawę, że musiała przed wejściem rozmawiać z policjantem.

- Nie jestem jej siostrą - przyznała się - tylko koleżanką. Ona nie ma chyba rodziny. W każdym razie w Houston.

- Proszę jednak spróbować odszukać krewnych. - Lekarka przeniosła wzrok na Tracy i oświadczyła rzeczowo: - Mogą być potrzebni przy załatwianiu formalności.

Nie do wiary, że zaledwie parę godzin temu wrócili z sielskiego pikniku. Kiedy John wjechał na osiedlowy parking, Elizabeth z ciężkim westchnieniem odrzuciła do tyłu głowę.

- Wci

Elizabeth zbierała się, by zadać pytanie, które chodziło jej po głowie od momentu, gdy zobaczyła zmaltretowaną twarz Tracy.

- Jak myślisz, czy ten, kto pobił Tracy, mógł... zrobić to samo z April? - spytała.

- Nie wiem, Elizabeth - odrzekł niepewnie. - Miejmy nadzieję, że nie.

Elizabeth rozplakała się.

- Nie mogliście, ja nie mogłam. To takie... nieludzkie. John objął jej ramieniem.

- Wiem, rozumiem, co czujesz - szepnął blisko jej ucha. - Jak dopadniemy tego bydlaka, to nie wiem, czy zdołam się powstrzymać i nie zrobić z nim tego samego, co on zrobił Tracy.

Z głową wtuloną w jego tors, głosem przerywanym przez łkanie, zaproponowała:

- A mówiąc, że wymierzanie kary trzeba zostawić sędziom.

- I nadal tak uważam - odparł - co nie znaczy, że czasami nie mam ochoty wziąć sprawy w swoje ręce.

Trwali tak chwilę objęci, przeżywając wspólny ból i gniew. Wreszcie Elizabeth podniosła głowę i spytała:

- Czy będziesz obecny przy przesłuchaniu Grega?

- Na pewno.

- Zapytasz go o April?

- W taki czy inny sposób wydobydź z niego wszystko, co wie - obiecał. - Nie wymiga się, może być spokojna.

Pokwitowała te słowa krótkim skinieniem głowy, po czym wyzwoliła się z objęcia Johna, by przekręcić klucz w zamku. Przemknęło jej przez myśl, czy nie zaprosi go do rodka. Chciała mieć go przy sobie, w swoim łóżku. Ale nie teraz, nie dziś, kiedy mają w pamięci obraz zmasakrowanej Tracy i wszystkie burzliwe okoliczności tego zdarzenia. Podniosła oczy na Johna. Porozumieli się wzrokiem. Nie musiała mu niczego tłumaczyć. Zrozumiał ją bez słów.

Pochylił się i pocałował ją. Przez chwilę obawiała się, że długi i gorący pocałunek zmieni jej decyzję, ale John nagle oderwał się od niej, odwrócił i szybko zbiegł ze schodów. Zamknął drzwi za sobą, Elizabeth przekręciła kontakt...

...i krzyknęła na cały głos.

John znajdował się w połowie dziedzińca ich domy trawnika, gdy usłyszał jej krzyk. Serce skoczyło mu do gardła i wykonał

błyskawicznie w tył zwrot, się gaj c jednocześnie nie r k do kabury. Wyszarpn wszy w mgnieniu oka swój rewolwer, pu cił si p dem przed siebie. W dwie sekundy pó niej znalazł si z powrotem na jej ganku i nie bawi c si w subtelno ci, jednym kopni ciem otworzył drzwi.

Elizabeth odskoczyła przera ona, ale na widok Johna kolejny krzyk zamarł jej na ustach i z ulg wyszeptała jego imi . John jednym rzutem oka ocenił sytuacj .

Mieszkanie było doszcz tnie spl drowane.

Wszystko, od mi kkiej jasnej kanapy poczynaj c, a na półkach z ksi kami ko cz c, było powywracane, podarte, poniszczone. Na podłodze, w ród odłamków szkła i połamanych ram, wały si szcz tki pozrywanych ze cian obrazów. Poci te, wypatroszone poduszki z foteli le ały porozrzucane po k tach pokoju. Delikatne boczne stoliki poprzewracano, a nogi powyłamywano, zapewne po to, by rozbi wszystko, czego nie dało si ruszy z miejsca, w tym szklan serwantk na bibeloty, która wieciła pustymi, potłuczonymi półkami, za wymiecione z niej szcz tki srebra i kryształów dosłownie za cierały podłog .

- Podejd do mnie - powiedział. - Tylko uważaj, eby nie nadepn na szkło.

Zbli yła si do niego miertelnie blada, z rozszerzonymi ze zgrozy oczami. John lew r k wyj ł z kieszeni klucze.

- Id do mojego mieszkania, zadzwo pod 911, i pod adnym pozorem nie wychod z domu.

Kiedy próbowała co powiedzie , stanowczo pokr cił głow .

- Daj spokój, Elizabeth. Rób, co ci mówi .

Przeszła obok niego na ganek, a on stał w drzwiach i patrzył za ni , dopóki nie znikn ła we wn trzu jego domu. Upewniwszy si , e jest bezpieczna, odzyskał zdolno koncentracji, i z podniesionym rewolwerem zapu cił si w gł b mieszkania. Przy ka dym kroku słyszał pod nogami chrz st szkła i nie wiedzie czego jeszcze.

Opu ciwszy nieco luf , nadal z broni wyci gni t przed siebie, post pował naprzód, przez cały czas omiataj c wn trze baczynym spojrzeniem. Mieszkanie miało identyczny układ jak jego, tote znał dokładnie ka dy k t, w którym kto mógł si ukry , wszystkie miejsca, sk d napastnik mógłby nieoczekiwanie wyskoczy i wzi go na muszk .

Jednak e nic takiego nie nast piło. Mieszkanie było puste. Ju w połowie wewn trznego korytarza nie miał co do tego w tpliwo ci. Miał w tych sprawach prawdziwy szósty zmysł, niemniej zawsze sprawdzał, czy instynkt go nie myli. Z wyci gni t broni dotarł do ko ca korytarza i dopiero wtedy opu cił rewolwer, by przyst pi do ogl dzin pokoju, w którym znajdowała si do tej pory sypialnia Elizabeth.

Materac zrzucano z łó ka i rozpruto od ko ca do ko ca. Obok na dywanie walały si powyrywane spr yny i kawałki g bki oraz strz py poniszczonych poduszek. Po ciel le ała porozrzucana, podobnie jak zerwane z okna zasłony; wszystkie szafki i szuflady komody oraz nocnego stolika zostały przetrz ni te i opró nione, a ich zawarto rozsypana po podłodze. Nad łó kiem widniał na cianie ja niejszy prostok t, w miejscu, gdzie uprzednio wisiał obraz - teraz wydarty z ramy i poniszczony jak wszystko dokoła.

- Mallory? Gdzie jeste ?

Usłyszawszy tubalny krzyk, John odruchowo podniósł rewolwer, ale zaraz go opu cił, rozpoznawszy znajomy głos.

- Tu jestem, Stan! W sypialni! - odkrzykn ł. Usłyszał, jak policjant mówi swemu partnerowi, e

wszystko w porz dku, a po paru chwilach w drzwiach pojawił si umundurowany funkcjonariusz. Stan Vasquez pracował w policji tyle samo czasu co John. Byli kolegami z akademii policyjnej.

- Szybko si zjawiłe , Stan.

- Byli my, wyobra sobie, na s siedniej ulicy, kiedy odezwał si telefon. Robili my ogl dziny po włamaniu.

- Wysoki Latynos dopiero teraz rozejrzał si po pokoju.

- Rany boskie! - zakl ł. - Kto nie le si zabawił!

John ponuro skin ł głow , ostatecznie chowaj c bro w zawieszanej pod pach kaburze.

Vasquez wkroczył do sypialni, odsuwaj c swoimi mocnymi, czarnymi butami zalegaj ce podłog szcz tki przedmiotów. Popatrzył dokoła i pokr cił głow .

- Słuchaj, Mallory, nie mam zamiaru dochodzi , co ci tu przygnało - o wiadczył. - Powiem tylko, e przed domem stoi cholernie przystojna kobitka i dopytuje si o ciebie. Co ty takiego masz? Jakim cudem taki paskudny facet jak ty co rusz przygaduje sobie najładniejsze dziewczyny?

John ucieknął szeroko i mijając starego przyjaciela, ruszył do drzwi.

- Nie mogłeś oprzeć mojej szlachetnej osobowości, Stan. Nic na to nie poradzi.

- Najwidoczniej...

Kiedy John dotarł po chwili do salonu i zobaczył Elizabeth, radość zniknęła z jego twarzy.

- Przecież ci mówiłem, żeby nie ruszała się z domu - odezwał się ostro, podchodząc do niej.

- Nie mogłam usiedzieć na miejscu. - Oddychała gwałtownie i płytko. - Kiedy zjawił się patrol, uznałam, że niebezpieczeństwo minęło. Poszli sobie?

Zrozumiał, co ma na myśli.

- Tak. Ktokolwiek to zrobił, działał szybko i jeszcze szybciej dał nogę. Myślałem, że nie był sam. - Spojrzał na zegarek. Minęła północ. - Nasz pobyt w szpitalu trwał nie dłużej jak dwie godziny.

Elizabeth zrobiła parę kroków po zasypianej rzeczami podłodze z oniemiałym z niedowierzania twarzą.

- Kto mógł to zrobić? To... nie mieści się w głowie.

- Kto, kim powodowała w ciemności. To nie wygląda na zwykłe włamanie ani na bezsensowne niszczenie. Czuję w tym coś cholernie osobistego.

Wzięła jedną z poduszek, bezradnym gestem wpychając do rodka wyrwaną gałkę. John uspokajającym gestem unieruchomił jej rękę.

- Lepiej pójść sprawdzić, czy nie zginęły jakieś wartościowe rzeczy. Takie jak biuteria, aparat fotograficzny, aparatura stereofoniczna, dobrze?

Skinęła głową, wyszła w milczeniu z saloniku. Wróciła po dziesięć minut.

- Mam wrażenie, że zginęła sznur pereł - powiedziała. - Telewizor i stereo system, ale potłuczone.

- A pieniądze?

- Nigdy nie trzymam pieniędzy w domu. I tak by zniknęły... - Urwała nagle, uciekając spojrzeniem w bok, a John sam dopowiedział sobie resztę: bo April zaraz by się do nich dobrała.

John podszedł do niej i otoczył ją ramieniem.

- Pomyśl, kto mógł mię do ciebie a tak wielki uraz. Dobrze się zastanów. To nie był przypadek.

Jej oczy powoli napełniły się łzami.

- Nie mam pojęcia - odparła, bezradnie kręcąc głowę.

- Może kto z klubu?

- W klubie nie wiem, gdzie mieszkam - rzekła. - Ani kim jestem.

- Może tak, a może nie.

Przeszła w głąb pokoju, stanęła i chwilę trwała bez ruchu, potem obróciła się wkoło.

- Czy zetknęła się kiedy z czymś podobnym? Takim totalnym zniszczeniem? - zapytała.

- Tak. - Podszedł do kominka i podniósł z ziemi dziecięcą fotografię Elizabeth i April. Zdjęcie dostało za swoje: ramka była wygięta, szkło stłuczone, zdjęcie starannie przedarte na pół. Odłożył wszystko na półkę. - Prowadziłem raz sprawę faceta, który wykrył sprawki swojego szefa. Pracował w wytwórni chemicznej nad kanałem, skąd po nocach wypuszczano do wody najgorsze odpady. Facet nagrał rozmowy, z której wynikało, że wszystko dzieje się za wiedzą kierownictwa firmy. Nasłali na niego bandziorów, którzy mieli odnaleźć tam i dać mu jeszcze nauczkę.

- Tam przynajmniej był jakiś powód. A tu? - Jeszcze raz się rozejrzała, potem jej ręka powdrowała do gardła. - A może to ten sam, który włamał się do April? Może czego szukał, a kiedy nie znalazł, postanowił przeszukać moje mieszkanie?

- Może liwe. Czy April nie dawała ci czasem jakich rzeczy na przechowanie?

- Nie, ale to żaden dowód. Mogła zostawiać, co chciała, nic mi nie mówiła. Miała pokój do swojej dyspozycji, ja nigdy tam nie wchodziłam.

- Hm. Wprawdzie jest już późno, ale spróbuj tam zajrzeć. Może znajdziesz coś niewiadomego pochodzenia.

Elizabeth posłusznie skierowała się ku drzwiom, zatrzymała się jednak na widok wchodzącego do salonu Stana Vasqueza.

- Obejrzelibyśmy dokładnie wszystkie okna i drzwi - powiedział, zwracając się do Elizabeth. - Czy wychodził z domu, nie zapomniała pani przypadkiem zamknąć drzwi na klucz? Nigdzie nie ma śladów włamania. Mój kolega nadal wypytuje śladów, ale jak dotąd bez powodzenia.

twierdzi, że nie słyszeli żadnych podejrzanych hałasów. Wszystko wskazuje na to, że zbirzy weszły bez użycia siły.

- Niemo liwe! - równocześnie nie wykrzyknęli Elizabeth i John. Elizabeth skinęła głową, dopuszczając go do głosu.

- Wyszli my stąd razem jakie dwie godziny temu - wyjaśnił. - Słyszałem, jak Elizabeth przekręca klucz w zamku.

- I pamiętam, że po powrocie otworzyłam drzwi kluczem - dodała. - To niesamowite! Myli pan, e...?

- Sprawdziłem dokładnie. Nie było żadnego włamania. Daj pani słowo.

Elizabeth bezradnie pokręciła głową.

- Nic z tego nie rozumiem.

- Może kto ma pani klucze? - zapytał Stan. - Były może albo przyjaciel?

- Ani jedno, ani drugie.

Podczas tej wymiany zdań John zamyślił się, rozważając na nowo wszystkie okoliczności i możliwości hipotezy, i nagle w jego umyśle zjawiła jasność. Objawiło się najbardziej prawdopodobne rozwiązanie. Był to domysł bardzo nieprzyjemny, o którym najchętniej by zapomniał, lecz którego niepodobna było nie brać pod uwagę. Wręcz sam się narzucał.

Jak to możliwe, że wcześniej nie przyszedł mu do głowy? Nie należy jednak wyciągać pochopnych wniosków, trzeba to jeszcze raz rozważyć. Porozmawia z Elizabeth, a może wyłoni się jakieś inne nazwisko, inny potencjalny podejrzany. Nie należy takiej możliwości z góry odrzucać. Jego domysł nie musi być słuszny.

Gdyby się jednak okazał słuszny, Elizabeth będzie zdruzgotana.

Nie była pewna, czy dobrze robi, ale kiedy w parę godzin później, po odjeździe policjantów i po rozmowie z Johnem o tym, kto mógł mieć klucze do jej mieszkania, John zaproponował, żeby przespalała się u niego w jego cinnym pokoju, czuła się zbyt wyczerpana, by odmówić. W głębi duszy zdawała sobie sprawę, jak nikłe są jej szanse spędzenia reszty nocy w łóżku zarezerwowanym zazwyczaj dla małej Lisy.

Dziś jednak przyjęła tymi znacznie spokojniej niż by to zrobiła kilka tygodni temu.

Prawdopodobnie, pomysł przypadł jej do gustu. Nie miała nic przeciwko temu, żeby znaleźć się w miłych ramionach. Wiącej: pragnęła tego z całej duszy. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów

była gotowa z opiekunki zmienić się w podopieczną. Pragnęła, aby ktoś ją utulił i pocieszył, aby zatroszczył się o nią, biorąc jej problemy na własne barki.

Stała w gościnnej sypialni i, wciąż nie mogąc sobie nadziwić, kiedy czyła czesa włosy znalezione w łazience zapasów szczotki, której rączka miała kształt bajkowego Kopciuszka. Chwilę wcześniej wyszła z wanny wypełnionej płynem do kąpieli o nazwie Myszka Miki, a do mycia włosów użyła szamponu Kaczora Donalda. Ubrana jedynie w zbyt na nią obszerną koszulkę Johna, wyszła na korytarz.

Była tym trochę speszona, ale jednocześnie nie zbyt zmęczona, by się czymś takim przejmować. Mogła wyszukać coś własnego ze sterty porzucanych po swojej sypialni ubrań, ale po pierwsze, nie miała na to siły, a po drugie, nie miała ochoty wkładać na siebie rzeczy, których dotyczyły obce rzeczy.

John czekał na nią w salonie. Jedyne światło dochodziło z kuchni, lecz Elizabeth bez pomocy lampy widziała, co się dzieje. Objął jej postać od stóp do głów spojrzeniem, które przyprawiło ją o zawrót głowy.

Weszła do pokoju i wzięła przygotowany kieliszek. Upiła jeden łyk, potem następny. Alkohol w pierwszej chwili podrażnił jej gardło, lecz pieczenie szybko ustąpiło, a na jego miejsce pojawiło się uczucie miłego ciepła, rozchodzącego się po całym ciele. Usiadła na kanapie obok Johna, trzymając kieliszek w dłoni, i odrzuciła głowę do tyłu, na poduszkę.

Z wolna spływał na nią spokój. John zdawał się rozumieć, że woli nie mówić o napadzie; gdyby próbował wciąż ją w rozmowach albo uspokajać, jego usiłowania spełzyłyby na niczym. Natomiast jego taktowne milczenie, połączone z odrobiną alkoholu, stopniowo przynosiło ukojenie. Jestem pod jego opieką, pomyślała, obracając w palcach kieliszek. Oto mam czyżną, który potrafi się o mnie zatroszczyć.

Wyszczyła resztę płynu, odstawiła kieliszek i zwróciła się w stronę Johna. Światło padało z tyłu, toteż prawie cała jego twarz, z wyjątkiem prawej skroni, tonęła w cieniu. Elizabeth podniosła rękę i powiodła palcem po malutkiej bliznie w kształcie półksiężyca.

- To sprawka mojej siostrzyczki - powiedział cicho. - Pewnego razu tak jej dokuczyłem, że rzuciła we mnie filiżankę.

Elizabeth zrobiła rzecz całkiem do niej niepodobną. Nie zastanawiając się nad tym, co nią powoduje, pochyliła się i przycisnęła wargi do cienkiej, półkolistej linii na jego skroni. Poczowała smak gładkiej, czystej skóry pachnącej mydłem. Chociaż oczy Johna kryły się mroku, czuła na sobie jego spojrzenie, kiedy ujął ją pod brodę i pochylił się w jej stronę. Ich usta spotkały się, najpierw niepewnie, potem gorzej, a wreszcie ogarnął ich płomień. Elizabeth przywarła do niego całym ciałem, jakby chciała się z nim stopić, jakby nawet cienka koszulka stanowiła przeszkodę.

John, swoim zwyczajem, odgadł jej myśli. Wsunął ręce pod materiał, dotykając jej ciała. Objął ją rękami w pasie, a potem z wolna sunął palcami w górę, muskając piersi. Elizabeth jęknęła i, nie odrywając ust od jego warg, jął gorączkowo rozpinąć mu koszulę. On też musiał wziąć prysznic i przebrać się, bo wie o wykrochmaloną koszulę szeleściła pod jej palcami. Po chwili odsunęła połę koszuli na boki i otoczyła jego ciało ramionami.

Najpierw pieściła jego plecy i ramiona, lecz szybko schyliła głowę, pokrywając pocałunkami jego tors. Poczowała raczej niż usłyszała, jak jęknął z rozkoszy, ale postanowiła jeszcze go podrażnić. On jednak natychmiast wyzwolił ręce, podniósł się, cięknął z niej przez głowę koszulką, po czym przygwoździł ją do poduszek kanapy. W rozpiętej koszuli, unieruchamiając jej ciało między kolanami, zawisł nad nią w bezruchu, chłonąc wzrokiem każdy załomek i milimetr jej skóry. Spojrzenie to działało równie mocno jak dotyk, rozniamiętniając ją coraz bardziej i bardziej. Patrząc tak długo, ona nagle podniosła ręce i przycięgnęła go do siebie, a on poddał się jej z głuchym westchnieniem.

Rozdział 12

Jej cielesna doskonałość na nowo nim wstrząsnęła, chociaż widywał ją wczoraj prawie nagi, gdy ta czyła w klubie. Dziś jednak było tak, jakby po raz pierwszy zobaczył prawdziwą Elizabeth, tę, która tak starannie ukrywała się przed nim i resztą świata. Malujący się na jej twarzy wyraz nie skrywanej namiętności czynił ją o tyle bardziej ludzką... i jeszcze bardziej pociągającą.

Przywarł ustami do jej ust, czując narastającą po daniu. Podtrzymał głowę Elizabeth jedną ręką, drugą sięgnął do paska od spodni.

- Pozwól mi - szepnęła.

Zamienili się miejscami na kanapie, także teraz górowała nad nim, a jej opadające w dół włosy muskały mu tors. Palce Elizabeth o krótkich, równo obciętych paznokciach podniecały go drażniły mu skórę, kiedy rozpinając klamrę u pasa, a potem ciągnęła z niego spodnie.

Uwolniony od ubrania, poderwał się, chcąc ją do siebie przyciągnąć, ona jednak potrzęsnęła głowę. Nie przestając patrzeć mu w oczy, zaczęła przesuwając się po jego ciele, obsypując pocałunkami jego szyję i tors. John nie wytrzymał, chwycił ją za ramiona i przyciągnął do siebie, przewracając się na kanapie, tak by leżała pod nim na plecach. Zaczęła pieścić jej ciało podobnie jak ona przed chwilą pieściła jego, a ona nie przerwała tej gry, pozwalając mu poznawać swe ciało. Kiedy po pieszczocie ręką przyszła kolej na pocałunki, wygięła się w łuk, przywierając ciałem do jego ust i zdławionym rozkoszliwym głosem powtarzając jego imię. Jak mógł przedłużyć chwilę, pragnąc ją pocałować, póki sama nie powie „ju”, w końcu jednak to on nie mógł dłużej czekać. Nie padło przy tym ani jedno słowo prośby czy błagania, aby się nad nim zlitowała. Zadał jej pytanie ciałem, a jej ciało odpowiedziało „tak”.

Potem przeniesli się do łóżka, gdzie wszystko powtórzyło się od nowa. Teraz Elizabeth leżała na plecach, a John obejmował ją ramieniem. Miała wrażenie, że rozumiała go o wiele lepiej niż do tej pory.

Rozumiała? Czy zakochała się?

Ogarnięta nagłym przestrawieniem poderwała się i usiadła na łóżku, zakrywając się prześcieradłem obnażone piersi.

- Zimno ci? - zapytał, unosząc się na łokciu i przesuwając palcami po jej plecach.

- Nie - odparła. - Tylko się zamyliłam. Podłogę sobie rzeźbię pod nogami, by lepiej ją widzieć.

- Musisz mieć niedobre myśli, skoro dręczy cię - zauważył.

- Ostatnimi czasy miewam same niedobre myśli - przyznała. Łatwo, z jakimiś zaliczonymi rozmowami, uwiadomiła Elizabeth, że nawet w łóżku czuje się przy nim swobodnie. - Za duży o siebie dzieje naraz.

- Tak widać musi być. Życie bywa czasami zwariowane.

- Zwariowane? - zdziwiła się. - Jesteś przecież policjantem. Myślałam, że zwariowane życie to twoja specjalność.

- Mam dosyć wariactwa w pracy. Po powrocie do domu chciałbym czegoś zupełnie innego. Przede wszystkim spokoju. Żeby kolacja była kolacją, żeby w drzwiach witała mnie moja córka.

Słyszając te słowa, przypomniała sobie, co Tracy powiedziała kiedyś o nim podczas rozmowy w garderobie: „On nie z tych, co byleciał na kobiety naszego rodzaju... Jemu trzeba w domu takiej jak Donna Reed, moją mnie trzyma za słowo”. Elizabeth odepchnęła wspomnienie, wracając do rzeczywistości.

- Bardzo ci jej brakuje, prawda?

- Bardziej niż gdyby ucieli mi prawą rękę - wyznał. - Rozwódz się z Marshem, wystąpiłem o przyznanie pełnej opieki nad dzieckiem, ale nie miałem szansy. Sędzia, który prowadził sprawę, to dobry znajomy ojca Marshy. Stwierdził, że prawo do dziecka z natury rzeczy przysługuje matce, i kropka. I tak miałem szczęście, że pozwolili mi ją widywać raz na tydzień.

Przewrócił się na bok i zmusił Elizabeth do położenia się twarzą do niego. Nie była pewna, o co mu chodzi, ale poczuła nagły chłód w sercu.

- Posłuchaj mnie, Elizabeth - zaczął po chwili. - Chodzi mi o April.

Czekała, co będzie dalej.

- Wiem, jak bardzo ją kochasz - ciągnął z napięciem w oczach. - Moja na powiedzie, że kochasz ją niemal jak własną córkę, prawda?

- Ale co...

- I dlatego będzie ci szczególnie trudno wziąć pod uwagę to, co chcesz powiedzieć. Niemniej bardzo proszę, żebyś mnie spokojnie wysłuchała.

Zrobiło jej się sucho w ustach, ale posłusznie skinęła głową. Zaczęła mówić szybko, jakby to, co miała do powiedzenia, chciał z siebie wyrzucić, zanim się rozmyśli.

- Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że April mogła to wszystko zaplanować? że ułożyła z góry własne zniknięcie cie?

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Co ty opowiadasz?

John milczał. Przesunął się na skraj łóżka i wstał. Siedział, łatwiej będzie mu mówić, kiedy odwróci się plecami i nie będzie musiał patrzeć Elizabeth w oczy. Okazało się to jednak niemożliwe. Nie potrafił zachować się jak tchórz. Sięgnął po spodnie i wciągnął je, odwrócił się w jej stronę.

- Kiedy, na samym początku, sugerowałem coś podobnego, i dziś muszę ci jeszcze raz zadać to samo pytanie. Skąd masz pewność, że April nie zniknęła na własne życzenie?

Ze zdumienia otworzyła usta, ale natychmiast je zamknęła.

- Choćby stąd, że znaleziono porzucony samochód ze śladami krwi - rzuciła ostro.

Z wyrazem ubolewania potrząsnęła głową.

- Przepraszam ci, Elizabeth, ale odnalezienie samochodu niczego nie dowodzi.

- Jak możesz tak mówić? W samochodzie była jej krew!

- Ślady krwi mogły być zostawione umyślnie. Gotowa odpowiedzieć utknęła jej w gardle. Zsunęła się z łóżka i owinięła prześcieradłem.

- Do czego właściwie zmierzasz? - spytała z pozornym spokojem. - Bo nie rozumiem.

Obszedł łóżko dokoła i stanął na wprost niej. Położywszy dłonie na jej ciepłych ramionach, spojrzał jej w oczy, przeklinając się za to, o co musiał zapytać. Czy odgadywała, do czego zmierza? Czy sama niczego nie podejrzewała? Bezskutecznie szukał w jej oczach odpowiedzi na te pytania.

- Kto włamywał się do mieszkania April. Tracy Kensington została pobita. Twoje mieszkanie zostało splądrowane. Czy dopuszczasz myśl, że April mogła być zamieszana w które z tych zdarzeń?

Powieki Elizabeth zatrzępotwały nagle: raz, potem jeszcze raz.

- Pytasz, czy... mogła to wszystko zaplanować?

- Tak, o to właśnie nie pytam. Nie mogę na wykluczyć ... Kręcąc głowę, Elizabeth wyścignęła przed siebie rękę, jakby chciała odepchnąć jego słowa.

- Nie, nie, to niemożliwe...

- Nie piesz się, spróbuj mnie chociaż wysłuchać. Mówiła, że pokłóciły się wieczorem w przeddzień jej zniknięcia. Zezłościły twoje namowy, żeby zerwała z tą cieniem w nocnych klubach, i w ogóle miała pretensję o to, że usiłujesz kierować jej życiem. - Nacisk jego ręk wzmógł się. - Dobrze się zastanów, Elizabeth. W jaki sposób wyładowałyby na tobie swoje zło? - A kiedy Elizabeth nie odpowiedziała, zrobił to za nią. - Starają się zrujnować ci życie. Przewróci je do góry nogami. Wiedząc, że to, czego ona nie zdoła zniszczyć, zniszczysz własnymi rękami ze zmartwienia z jej powodu.

Elizabeth jeszcze gwałtowniej zaprzeczyła ruchem głowy.

- O nie! Mogła co najwyżej zaplanować własne zniknięcie, ale nie włamanie!

- To tylko hipoteza, którą moim zdaniem należy brać pod uwagę. Pojechała do jej mieszkania, żeby posprzątać. Facet w kominiarce mógł czyhać, czekając, kiedy się pojawi. A potem nawiązała kontakt z osobami z klubu. April była w stanie przewidzieć, że zrobisz wszystko, co trzeba, aby się do nich zbliżyć i być pierwszą osobą, która zacznie z tobą rozmawiać, będzie Tracy. Teraz Tracy zamknie to usta. Dlaczego?

Elizabeth wyrwała się z jego objęcia i gwałtownie się cofnęła.

- To bzdury! - krzyknęła. - April nie byłaby do tego zdolna. Wykluczone. A zresztą dlaczego, na Boga, miałyby to robić?

- Czasami trudno odgadnąć motywy czyjegoś działania. Może, jak powiedziałem, powodowała nią nieopanowana złość?

- Była na mnie zła, to prawda, ale wystarczyło po prostu zniknąć. Po co te inne rzeczy?

- Trudno powiedzieć - odparł z namysłem. - Jest wiele możliwości. A może się komuś naraziła, i dlatego musiała zniknąć? Stwarzając pozory, że została porwana? A potem, chcąc je jeszcze bardziej uprawdopodobnić, zorganizowała rzekome włamanie?

Elizabeth uparcie kręciła głowę.

- Nie. Wykluczone. Nie ona. Niemożliwe, żeby moja siostra zrobiła coś podobnego.

- Zastanów się jednak. Pomyśl spokojnie - przemawiał łagodnie.
- Mogła zaplanować swoje zniknięcie, a potem sprawy potoczyły się bez jej woli. Aby zrealizować swój plan, musiałyby skorzystać z czyjej pomocy, a ten ktoś mógł nadać sprawie inny kierunek...

W pokoju zapadła cisza, ciężka i pełna napięcia. Kiedy Elizabeth podniosła wreszcie oczy, John wyczytał w nich wahanie. Było ono tak wyraźnie widoczne, jak cienie przeszło ci, których istnienia domyślał się od samego początku, ale których natury nie umiał przeniknąć, dopóki Elizabeth nie wyjawiała mu swej rodzinnej historii.

Wyciągnął rękę, odgarniając z jej twarzy jedwabiste pasma, i dodał łagodnie:

- Po prostu pomyśl nad tym. Jako o jednej z możliwości, które należą do wzięcia pod uwagę.

Uprzątnięcie mieszkania zajęło Elizabeth cztery dni. Zadzwoiła do klubu i wyjaśniła, że z powodu osobistych kłopotów musi na jakiś czas zaprzestać występów. Greg sprawiał wrażenie, jakby wcale się tym nie przejął. Po odprawieniu ostatniej partii pogruchootanych mebli i innego mienia, stała teraz na środku salonu, przyglądając się jedynej uratowanej roślinie - bluszczowi, który wyciągnęła spod gruzów i wsadziła z powrotem do doniczki.

Udało się także uratować kanapę i jeden fotel, choć jednak nadawało się jedynie do wyrzucenia, a z ozdobnych bibelotów została tylko niewielka garstka. Pozbierane z podłogi w gabinecie papiery, zarówno osobiste, jak i urzędowe, wrzuciła byle jak do kartonu, aby kiedyś je posortować i uporządkować.

Przeszła się po niemal pustym pokoju, po czym usiadła na podłodze.

Miała tylko jedno pragnienie: aby jej umysł stał się równie pusty jak mieszkanie. Od niedzieli nie mogła się ani na chwilę odprężyć od niespokojnych myśli. Gdy nie robiła sobie wyrzutów z powodu głupoty, na jaką sobie pozwoliła, idąc do łóżka z Johnem, łamała sobie głowę nad podejrzeniem, które jej podsunął owej nocy.

Czy to możliwe, aby April upozorowała zniknięcie?

W mieszkaniu panowała głucha cisza. Elizabeth przeczuła coś, ale nie miała głowy. Podejrzenie nie miało sensu. Po co April miałyby to robić? Rzeczywiście była winna Elizabeth pieniądze, lecz nie po raz pierwszy, a poza tym nigdy jej to nie dokuczało, w każdym razie nie

na tyle, by a pozorowa znikni cie. Rzeczywi cie, pokłóciły si , ale od niepami tnych czasów si kłóciły, i co z tego?

No a sprawa samochodu? Nawet przyjmuj c, e jej nagłe znikni cie było zaplanowane, to czy uciekłyby si w tym celu do tak skomplikowanych zabiegów? Zostawienie ladów krwi w samochodzie, porzucenie auta na Dowling? A pantofel?

Łamała sobie nad nim głow od pierwszej chwili, kiedy na ulicy funkcjonariusz pokazał jej znaleziony but, pytaj c, czy go poznaje. Zaraz po powrocie do domu zajrzała wtedy do garderoby. Plastikowe pudełko od tej pary butów stało na swoim miejscu na półce - puste. Nie potrafiła tego w aden sposób wytłumaczy , poniewa nie miała tych pantofli od dawna na nogach, a ju na pewno nie zostawiła jednego buta w baga niku. Nic podobnego nie mogło si jej zdarzy . A, z drugiej strony, April, cho lubiła bez pytania po ycza jej rzeczy, na pewno nie wybrałaby akurat tej pary pantofli. Były zbyt grzeczne, zanadto konwencjonalne jak na jej gust.

Wszystko to razem wygl dało na pozór absurdalnie, ale przecie John miał do wiadczenie w rozwikływaniu o wiele bardziej niedorzecznych spraw. Przekonał j na tyle, e istotnie przemy lała jego sugestie nie raz i nie dwa, ale wiele razy.

Załó my, e John ma racj , pomy lała, puszczaj c wodze wyobra ni. Jakiego rodzaju kłopoty mogły zmusi siostr do uciezki? Wdała si w podejrzane interesy? Kto jej groził? A je eli tak, to kto i dlaczego? Co mogło j skłoni do znikni cia?

Zamkn ła oczy, usiłuj c odtworzy w pami ci ich ostatni rozmow . April rzeczywi cie była jaka inna ni zwykle. Bardziej dra liwa, nerwowa, mniej beztroska. Jakby co j gryzło. Tylko co? Elizabeth bezskutecznie szukała w pami ci czego , co mogłoby posłu y za wskazówk . Po raz nie wiadomo który z alem pomy lała o ł cz cej j niegdy z siostr psychicznej wi zi, dzi ki której, gdy si naprawd skupiła, potrafiła wskaza miejsce jej pobytu. Zreszt par razy ju tego próbowała, koncentruj c wszystkie my li niby promienie lasera na osobie April - niestety, bez rezultatu.

Jej umysł, najwidoczniej zm czony bezpłodnymi rozwa aniami, przeskoczył na inny tor. Na jedyny temat oprócz April, którym potrafił si zaj - na Johna. Rozkosze tamtej wspólnej nocy wprawiły Elizabeth w panik . Rano zapakowała do torby szczotk z Kopciuszkim oraz za du koszulk i zamówiła pokó i w niedroim

motelu. John bezskutecznie próbował ukryć rozczarowanie. Idąc na parking do swego wynajętego samochodu, czuła na plecach jego pełne i surowe spojrzenie, a w uszach brzmiało jej nadal własne marne wytłumaczenie, że nie chce mu się dłużej narzucać.

Co było wierutnym kłamstwem, i oboje wietnie zdawali sobie z tego sprawę.

John był jednak za dobrze wychowany, żeby jej to wytknąć, a ona zbyt tchórzliwa, by wyznać prawdę. Tymczasem, jak wielki zasał w jej duszy niepokój. I jak cudownie czuła się w jego ramionach. Ani wyjaśnić, dlaczego tak bardzo się do niego przytulała, ani jeszcze bardziej - miło ci.

Do tego wszystkiego dołączył się niepokój o Tracy. Jej losy wahały się z dnia na dzień, i lekarze wciąż nie byli pewni, czy przeżyje. Odwiedzając ją w szpitalu, Elizabeth miała za każdym razem wrażenie, że zamiast Tracy widzi na poduszce pobladłą twarz siostry.

Wszystko to razem jest nie do zniesienia, przekracza jej wytrzymałość. Głowa opadła jej na kolana i Elizabeth wybuchnęła rozpaczliwym płaczem.

John skinął głową, siedząc cicho pod drzwiami szpitalnej izolatki policjantowi. Leonard nie miał dzisiaj dyżuru, ale zmiennik tego zdzielił go już poznał, ponieważ John przyjeżdżał do szpitala codziennie, a czasem nawet dwa razy w ciągu dnia. Był przekonany, że jeżeli zdoła wyciągnąć z Tracy nazwisko bydlaka, który ją pobił, będzie o krok bliżej rozwiania tajemnicy zniknięcia April Benoit.

Elizabeth rzecz jasna nie wierzyła, by jej siostra sama puściła nieszczęścia w ruch, a John wcale się jej nie dziwił. Sam zresztą nie był o tym do końca przekonany. Był pewien tylko dwóch rzeczy: że od tamtej nocy Elizabeth nie chce mieć z nim do czynienia, i że on nie wyobraża sobie bez niej życia.

Przenosząc się w poniedziałek rano do motelu, Elizabeth dała jasno wyraz swym uczuciom. W pierwszym odruchu chciał zaprotestować, namówił ją, by jednak została, ale po namyśle postanowił tego nie robić. Była zbyt uparta i niezależna, aby takie postępowanie mogło przynieść dobry skutek, musi więc nauczyć się brać to pod uwagę, jeżeli myśli na serio o ich przyszłym związku.

Bo John wiedział już, że pragnie związku z Elizabeth. Uwiadomił to sobie w którymś momencie tamtej nocy, kiedy w

pół nie, trzymaj c j w obj ciach, wdychał cudowny zapach jej włosów. Była nie tylko pi kn kobiet , ale wspaniał , pełn miło ci osob , dbaj c bardziej o los siostry ni własny. Zakochał si w niej, nie wie dzie jak i kiedy.

Pchn ł teraz szpitalne drzwi, które otwały si z cichym westchnieniem hydraulicznych zawiasów. Tracy rzuciła mu przestraszone spojrzenie. Pierwszy raz widział j przytomn .

Rozpoznał go, troch si uspokoiła, lecz w jej oczach nadal widział strach. Czego bardziej si boi, zadał sobie pytanie: zdradzi imi tego, kto j pobił, czy je zatai ?

Podszedł do łó ka i stan ł w jego nogach.

- Jak si masz? Była prawdziw pi c Królewn .

Codziennie przychodziłem ci odwiedza , ale dopiero dzi pierwszy raz otworzyła oczy.

Skin ła głow , ale natychmiast skrzywiła si z bólu.

- Boli... - wyszeptła.

- Domy lam si .

Wyci gn ła zdrow r k , usiłuj c dosi gn plastikowego kubka na ruchomym stoliku koło łó ka, który jednak znajdował si o par centymetrów za daleko. Nim zd yła si poprawi i ponowi prób , John znalazł si przy niej i podsun ł jej kubek do ust. Ich oczy spotkały si , po czym Tracy przysun ła słomk do warg i zaczę ła pi . Nawet tak niewielki wysiłek wyra nie j zm czył. Głowa opadła jej na poduszk , a twarz stała si jeszcze bledsza. Zamkn ła oczy.

John odstawił kubek na stół.

- Posłuchaj, Tracy - powiedział. - Wiem, jakie to dla ciebie trudne, ale musimy porozmawia . Musisz mi powiedzie , kto ci to zrobił.

Le ała nieruchomo, z zamkni tymi oczami, tak długo, i zaczę ł podejrzewa , e znowu zasn ła.

- Tracy? Słyszysz mnie? Otworzyła oczy, lecz nadal milczała.

- Musisz mi powiedzie , kto ci to zrobił - powtórzył. - Nic ci si nie stanie, przyrzekam. Za drzwiami przez cały czas siedzi policjant.

- A... potem? - spytała zduszonym szeptem. - C - co b dzie potem?

- Pójdzie siedzie . Zamkniemy go.

Milczenie.

- Na pewno go złapiemy. Brak odpowiedzi.

- Kto to był? - zapytał znowu, dotykając palcami jej policzka. - Lansing?

Twarz jej nie drgnęła.

- A może Lyndon Kersh? - dociekał, usiłując opanować rosnące poczucie bezradności i zniechęcenia.

Powolutku odwróciła się twarz do ciany, dając mu tym samym do zrozumienia, że uważa rozmowę za skończoną.

On jednak nie rezygnował. Obszedł łóżko dookoła i zapytał:

- Czy to miało jakiś związek z April? Powiedziała coś, czego nie dosłyszał. Pochylił się nad łóżkiem.

- Odejdź - wyszeptała. - Proszę. Zostaw mnie w spokoju.

Pochylił się jeszcze niżej, tak że jego twarz znalazła się tuż obok jej twarzy. Skroś i policzek dziewczyny tworzyły przeraźliwą mozaikę sinoczarnych plam. Johna na nowo poraziło okrucieństwo tego, co ją spotkało. Poczłł niemal fizyczny ból. Chciał to zignorować, wiedząc, co owo uczucie oznacza, lecz się zreflektował. Ma prawo, a nawet powinien mu się poddać. To, co go ogarniało, było uczuciem gniewu, który jest dobrym gniewem. Uczyni go bardziej zdecydowanym.

- Obaj zostali wezwani na przesłuchanie, ale adwokat Kersha kazał mu trzymać język za zębami, a Lansing oświadczył, że tego wieczoru, kiedy została pobita, był z jedną z dziewcząt z klubu, niejako Brownie, a ta telefonicznie potwierdziła jego alibi. Znasz ją? Zielone oczy Tracy błysnęły.

- Powiedziała, że Lansing spędził z nią całą noc. - John umilkł na chwilę, czekając na efekt swoich słów, i powtórzył: - Cała noc.

- Skurwysyn! - wyszeptała ochryple. John przytaknął ruchem głowy.

- Jestem tego samego zdania - odparł. - Te uważam, że Lansing to kawał sukinsyna. Kłamliwego sukinsyna.

Tracy nerwowo zerknęła ku drzwiom, lecz milczała.

- Możemy ci zapewnić absolutne bezpieczeństwo - szepnął John. - Powiedz tylko nazwisko. Kto ci to zrobił. - Po chwili dodał: - To był Lansing, czy tak?

Odwróciła oczy i długą chwilę patrzyła w sufit, nim znowu przeniosła spojrzenie na Johna. W jej błyszczących od łez oczach wyczytał odpowiedź. Ich intensywna, jakby widziana przez soczewki zieleń miała w sobie coś niesamowitego. Tracy powoli skinęła głową.

Mimo całego współczucia dla nieszczęsnej dziewczyny, John ogarnął poczucie triumfu. Nie bacząc jednak na skrupuły, postanowił próbować dalej.

- Dlaczego, Tracy? Powiedz, dlaczego ci to zrobić? Tracy zamknęła oczy i spod powieki spłynęła na poduszkę struga łez. Leżała bez ruchu, bez słowa.

- Wiesz, co się stało z April, prawda? Chciała mi o tym powiedzieć, ale się przestraszyła. A Lansing postanowił cię uciszyć, bo się obawiał, że zbierzesz się w końcu na odwagę i sama się do mnie odezwiesz. Czy miał zamiar cię zlikwidować, czy tylko ostrzec?

Nie otwierając oczu, Tracy odezwała się ledwo słyszalnym, lecz upartym szeptem:

- Nie mam nic do powiedzenia... o April.

- Nie wiesz, czy nie chcesz?

Czekał na odpowiedź, lecz w pokoju zapadła cisza, którą mógł jedynie pomruk stojącego przy łóżku monitora pracy serca. Wreszcie pojawił się jakiś dźwięk, ale niczego więcej się nie dowiedział. Tracy bała się o swoje życie i była przekonana, że tylko milczenie może ją uratować. John odwrócił się, ruszył ku drzwiom, lecz w ostatnim momencie, gdy trzymał już ręką na klamce, z łóżka dobiegły go słowa:

- P - powiedz jej... żeby uważała.

John momentalnie się cofnął, wracając do łóżka.

- Kto? Kto ma uważać?

- Elizabeth - wycharczała, z trudem chwytając oddech. - On wie. Greg - Greg wie, kim ona jest.

John usiadł przy łóżku. Tracy zaczęła mówić.

- Mamy nakaz aresztowania Lansinga. Zaraz go tu przywioz.

Elizabeth kurczowo zacisnęła palce na słuchawce, słysząc powolny, niemal ponury głos Johna. Po zakończeniu porządków w domu wróciła do motelu, żeby trochę popracować. Musiała się zająć nie tylko sprawami Lindy Tremont. Trzeba było zrekonstruować sporczyły raporty i w tym celu zadzwoniła do Betty i Lindy, od których uzyskała brakujące informacje.

Zaraz po odłożeniu słuchawki zadzwonił John. Na dźwięk jego głosu wszelkie myśli o pracy wywietrzała jej z głowy.

- Tracy powiedziała mi rano, że to on ją pobił. Elizabeth wydała nieartykułowany dźwięk.

- Ale dlaczego, na Boga?! - wykrzyknęła. - Dlaczego zrobił jej coś podobnego?

- Nie wiem dokładnie, ale jadę zaraz do komisariatu i wszystko z niego wyciagnę. Oficjalnie. Jest aresztowany pod zarzutem usiłowania morderstwa. Ja prowadzę śledztwo. Wysłałem po niego dwóch mundurowych.

Sucho w ustach utrudniała Elizabeth mówienie. Spytała jednak:

- Czy Tracy powiedziała coś na temat April?

- Prawie nic. Naciskałem, jak mogłem, ale niczego istotnego nie umiała czy nie chciała mi powiedzieć.

- Chcę przy tym być.

- Nie ma mowy! - odparł ostro, lecz szybko się zmitygował, zmieniając ton na łagodniejszy. - Bardzo mi przykro, ale to niemożliwe. Zostaw mi wolną rękę. Obiecuję zadzwonić, jak tylko czegoś się dowiem.

- John, błagam...

- Posłuchaj mnie. Jest jeszcze coś innego, poważniejszego, czego również dowiedziałem się od Tracy. W tej chwili jedź do ciebie do motelu dwóch policjantów. Lada chwila będą na miejscu.

- A po co?

- Greg Lansing wie, że April to twoja siostra. Elizabeth a przysiadła na skraju łóżka.

- Jakim cudem? To niemożliwe!

- Tracy cię rozpoznała. Powiedziała mi, że April pokazała jej kiedyś twoje zdjęcie. Zorientowała się, kim jesteś, i powiedziała o tym Lansingowi.

- To wszystko jego sprawa - stwierdziła Elizabeth. - To on porwał April. Od początku go podejrzewałam. A potem chciał się włamać do mieszkania April i do mojego...

- Na razie to tylko podejrzenia. Trzeba go najpierw przesłuchać. Rozległo się głośne pukanie do drzwi.

- Tu policja! - zawołał czyjś głos. - Pani Benoit, proszę otworzyć!

John szybko powiedział w słuchawkę:

- Nie otwieraj, dopóki się nie upewnisz, że to oni. Każka pokazała sobie odznak, tak żeby mogła odczytać numer. Ci, których posłałem, nazywają się Clark i Stanley.

- Rozumiem, poczekaj chwil . - Z bij cym sercem podeszła do drzwi i wyjrzała przez wizjer. - Prosz pokaza odznak - powiedziała. - Tak, ebym widziała numer.

Policjant chwil grzebał w kieszeni, nim wyci gn ł l ni c mosi n blaszk . Odczytała numer i nazwisko: „S.P. Clark, nr. 1034”.

Pobiegła z powrotem do telefonu, by powtórzy dane.

- W porz dku, to on - odparł John. - Kiedy ich wpu cisz, wró jeszcze do telefonu.

Zrobiła, jak kazał, a kiedy do rodka weszło dwóch policjantów, w małym pokoiku momentalnie zrobiło si ciasno. Jeden z m czynz zajął natychmiast do łazienki, drugi natomiast otworzył drzwi garderoby, badaj c jej wn trze. Elizabeth podniosła odło on słuchawk .

- To ja - rzekła niepewnie. - Co dalej?

- Sied i nigdzie si nie ruszaj. Nie wychod z pokoju. Nigdzie nie dzwo . Gdyby kto zapukał do drzwi, pozwól, eby zaj ł si tym policjant. Je eli za t spraw kryje si Lansing, to prawdopodobnie nie działa w pojedynk . Nawet je li znajdzie si pod kluczem, nie ma gwarancji, e jaki wspólnik nie spróbuje kolejnych sztuczek.

- Rozumiem - odparła dr cym głosem, który i tak nie oddawał w pełni jej zdenerwowania.

- Wszystko b dzie dobrze, Elizabeth. Obiecuj . Dopadniemy tego drania. Włos nie spadnie ci z głowy. Ju ja tego dopilnuj , mo esz na mnie polega .

Mówił z takim przekonaniem, e Elizabeth poczuła si troszk pewniej.

- Wci nie rozumiem, po co Lansing miałby to wszystko robi - o wiadczyła.

- Ja te na razie nie umiem na to odpowiedzie , ale jeszcze dzi wszystkiego si dowiemy.

Rozdział 13

Centralna komenda policji w Houston miała się w wie o odnowionym wysoko ciowcu.

Dysponowała nowoczesnymi urządzeniami - miała central telefoniczną, która zawsze była czysta z niewłaściwym pokojem, windy, które zjeżdżały w dół po naciśnięciu górnego guzika, miejsca do parkowania dla wszystkich poza policjantami, którzy najbardziej ich potrzebowali.

Po dziesięciu minutach jeździł wokół gmachu do Johna ucieknął się wreszcie szczęście: dwie ulice dalej znalazł wolne miejsce przy krawężniku. Zamknął samochód, puścił się przed siebie i wpadł do budynku złany potem, przeklinając w duchu na czym świat stoi, jeszcze bardziej zdecydowany wydusić całą prawdę z tego łajdaka Lansinga.

Greg siedział już w sali przesłuchań. Miał niewiele minut.

W sąsiedniej sali czekała na Johna Morgan Stacinski, policjantka, którą parę dni temu razem z Elizabeth spotkali w szpitalu. Stała z nachyleną głową, zaglądając przez jednostronnie przezroczyste szybki do pokoju przesłuchań.

- Zgarnęli go w klubie - odezwała się na widok wchodzącego Johna. - On i ten drugi facet, właściciel klubu, jak mu tam, chyba Lyndon Kersh, byli akurat w gabinecie Lansinga i kłócili się na cały głos, wymyślając sobie od najgorszych. Policjant, który go aresztował, mówi, że gdyby poczekał parę minut, sprawa sama by się rozwiązała.

- W jakim sensie?

- Kersh miał przy sobie rewolwer. John ucieknął się radośnie.

- Bez zezwolenia, co? Błagam, powiedz, że nie miał zezwolenia na broń.

Policjantka zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nie, ale chociaż miał zezwolenie, i tak na nic mu się nie zdało, bo... - tu wtrącił się John, i razem skończył zdanie: - był w klubie!

Prawo stanu Teksas zezwala na noszenie ukrytej broni, ale nie w miejscach, gdzie podaje się alkohol. John zdjął kapelusz i przeczesał palcami włosy.

- Cholerny upał i cholernie fajny zbieg okoliczności, nie uważasz? Gdzie go macie?

- Kersha? W pokoju numer dwa. Ale ma przy sobie adwokata, Hadena Jacksona. Nic z niego nie wycigniesz.

- Wszystko jedno, id i troch nad nimi popracuj - polecił John. -
A ja pogadam sobie z panem Lansingiem.

Kiedy otworzył drzwi, Lansing podniósł na niego wzrok.

- Czy odczytano panu pa skie prawa? - spytał John. M czyzna
zacz ł si podnosi z krzesła, lecz zobaczywszy min Johna, opadł z
powrotem na siedzenie.

- Tak - wycedził przez z by. - Odczytano mi moje prawa, nie
wiem tylko, po jak choler .

- Czy potrzebuje pan adwokata? Je eli tak, a nie sta pana na
wynaj cie obro cy, zostanie panu przydzielony...

- Sko cz pan te pierdoły! Gadaj lepiej, o co w tym wszystkim
chodzi.

John spokojnie wytrzymał pełne zło ci spojrzenie aresztowanego.

- Potrzebny ci adwokat, Lansing - powiedział.

- Nie potrzebuj adnego adwokata.

- Jak chcesz, w ko cu to twoja głowa. - John usiadł naprzeciwko
niego po drugiej stronie stołu i wyj wszy oprawny w skór notatnik,
otworzył na stronie, gdzie po wyj ciu ze szpitala zanotował wyniki
swej rozmowy z Tracy. Podniósłszy wzrok, zauwa ył, e Lansing
stara si odczyta jego notatki z drugiej strony. - Nie psuj sobie oczu -
rzucił. - Zaraz wszystkiego si dowiesz.

- „Ofiara"... - tu przerwał i popatrzył na Lansinga

- czyli Tracy Kensington, eby nie było nieporozumie .

- Twarz Lansinga nie drgn ła. John opu cił z powrotem wzrok,
podejmuj c czytanie. - „Ofiara zeznała, e napastnik..." - znowu
przerwał czytanie - czyli pan, panie Lansing. - Nadal brak reakcji.
Zacz ł jeszcze raz od pocz tku: - „Ofiara zeznała, e napastnik
zaatakował j niespodziewanie na parkingu Klubu Esquire przy
Richmond Avenue w dniu 1 sierpnia, w niedziel około godziny
ósmej wieczorem. Pocz tkowo bił j po twarzy i głowie pi ciami, a
potem t pym narz dziem. Ofiara przypuszcza, e mogła to by
elazna ły ka do opon, ale nie ma co do tego pewno ci. Po zadawaniu
opisanych ciosów, napastnik zacz ł si nad ni zn ca , przypalaj c
ciało zapalniczk , eby zmusi ofiar do mówienia. A kiedy
powiedziała mu wszystko, co wiedziała, napastnik zostawił j i
odszedł, przekonany, e ofiara nie yje".

John przerwał czytanie i stukaj c piórem w notatnik zapytał:

- Mam czyta dalej, czy to wystarczy?

W pokoju zapanowała pełna napięcia cisza.

- Panie Lansing? - ponaglił go John uprzejmym tonem.

- Ujliście niewłaściwego człowieka. John z udanym zdziwieniem pokręcił głową.

- Dziwne rzeczy! Nie rozumiem, dlaczego do tego pokoju zawsze trafiają sami niewłaściwi faceci. Naprawdę niepojęte, jak to się dzieje, zwłaszcza biorąc pod uwagę, ilu z nich trafia w końcu do więzienia w Hunstville. - Nachylił się nad stołem. - I wie pan co? Wielu z nich zostaje tam na zawsze.

Mieczysław po drugiej stronie stołu siedział nieruchomo, milcząc. Odczekawszy chwilę, John podjął:

- Za morderstwo z premedytacją prawo stanu Teksas przewiduje karę śmierci albo dożywocie. Musiał pan chyba o tym wiedzieć, panie Lansing.

- Jakie morderstwo z premedytacją? Głupie gadanie. Kto...

John odchylił się z krzesłem do tyłu.

- Po tym, jak ją pobito, pani Tracy Kensington wyjęła pieniądze z portfela. Spowodowanie śmierci w trakcie rabunkowego napadu traktowane jest jako morderstwo z premedytacją. Ale mógł pan pocieszyć - dodał, prostując rękę i wskazując palcem w górę. - Podobno nawet nie czuje się zastrzyku.

Lansing zacisnął zęby, zwrócił się do niego.

- To samo, rzecz jasna, dotyczy także drugiej sprawy, jak mamy na tapecie. - John przerzucił się na koniec notatnika, do części zatytułowanej grubym drukiem „Kodeks Karny Stanu Teksas”, i przeczytał: - "Jeżeli skutek jednego zamachu będzie jedną sekwencją przestępstw popełnionych zostanie wielokrotne zabójstwo, wszystkie dokonane w ten sposób zabójstwa uznaje się za morderstwa z premedytacją".

Twarz Lansinga znowu się zmieniła, przybierając wyraz niedowierzania.

- Co ty mi tu wciskasz, Mallory! Jakże wielokrotne zabójstwo? Wcale nie chciałem zabić Tracy, a co dopiero kogo innego. O kim ty, u diabła, gadasz?

- Mówi o April Benoit, szanowny panie. - John czekał, aż jej nazwisko przebrzmi w dusznym powietrzu. - Zabiła April, a ponieważ Tracy zwisała, co się dzieje, trzeba ją było uciszyć. W

sumie dwa morderstwa. Czyli wielokrotne zabójstwo. Wi cej ni jedno.

Lansing zacz ł gwałtownie kr ci głow ju w połowie przemowy Johna.

- Nie zabiłem April. Kln si na Boga! Nie mam poj cia, co si z ni stało!

John nie odpowiedział. Siedział, wpatruj c si w Lansinga, i czekał, co b dzie dalej.

- Ta suka twierdzi, e to ja zabiłem April? Je eli tak, to kłamie jak pies. Nie miałem z tym nic wspólnego.

- Ale mówi pan, e April nie yje?

- Nie wiem.

- Je li nie ty, to kto j zabił?

- Powtarzam, ja nic nie wiem. Nie miałem z tym nic wspólnego.

Johna uderzyła w tonie Lansinga nieoczekiwana nuta. Robił wra enie, jakby mówił prawd . Czekał chwil , by Lansing co dodał, wreszcie odezwał si :

- Mów, jak było. Opowiedz wszystko od pocz tku do ko ca, a wtedy by mo e porozmawiam z prokuratorem okr gowym na temat oskar enia o zabójstwo z premedytacj .

- Porozmawiasz z prokuratorem? Co to ma znaczy ?

- Najpierw ty mi wszystko opowiesz, a potem b dziemy sobie wyja nia reszt - odparł John, wpatruj c si w siedz cego naprzeciw m czynn . - Czy przyznajesz si , e napadłe i pobiłe Tracy Kensington?

Lansing omiół wzrokiem najpierw szklan cian , a potem drzwi. Przez cały czas pocierał palcem ył na przedramieniu. Ciekawe, czy zdaje sobie spraw , e to robi, pomy lał John. Z klimatyzatora wydobywała si ze wistem struga zimnego powietrza, dmuchaj c tu nad głow Lansinga. Wida było, e mu to dokucza.

- Nawet gdyby tak było, to jeszcze nie znaczy, e zabiłem April Benoit.

John poczuł w sercu iskierek triumfu, któr jednak natychmiast zdusił, przygotowuj c si do zadania kolejnego pytania. Przewidywał wprawdzie, co Lansing odpowie, chciał jednak usłysze , w jaki sposób b dzie mówi .

- Dlaczego napadłe na Tracy Kensigton?

- Niczego takiego nie powiedziałem.

- Znam twoje sztuczki, Lansing, więc lepiej mów prawdę po dobroci. Wiem, że miałaś powód, aby ją zabić.

- Owszem, miałam powód, ale nie ten, co pan myśli. Ma długą ozy i jest cholernie chciwa. Jak zobaczy dolara, zaraz by chciała połowę dla siebie. To chyba wystarczający powód, no nie?

John pamiętał, ile bólu kosztowała Tracy ich rozmowa w szpitalu. Opowiedziała mu o procederze, jakim parał się Lansing. Słuchając go teraz, John plął sobie w brodę, że wczepił się na to nie wpadł. Widział przecież gabinet Lansinga: boazerie na ścianach, kosztowne cygara na biurku. Wiedział, że jeździ czerwonym corvettem, którą Tracy unieruchomiła w przypiętych złości, wsypując cukier do baku. Poza tym Lansing nie mieszkał, tak jak April, w dzielnicy Pines. Wynajmował obszerny dom w dobrej dzielnicy, w bliskim sąsiedztwie domu Johna, na który John nigdy nie mógłby sobie pozwolić, gdyby nie to, że dostał go w spadku po matce. Mógł sam bez pomocy Tracy domyślić się, co w trawie piszczy, gdyby tylko dobrze pomyślał.

- Przyznaj się, Lansing, brałaś pieniądze z kasy, tak? Regularnie okradałaś klub. A kiedy Tracy odkryła twoje sprawki, musiała ją uciszyć, żeby nie poleciała z nią do Kersha. - Znowu stuknęła piórem w notatnik. - Czy April też o tym wiedziała?

Na pierwsze słowa Johna Lansing tylko poderwał głowę, ale przy ostatnim zdaniu grubo pot wystąpił mu na czoło.

- Ja jej nie zabiłem - powtórzył.

- Ale Tracy wiedziała o twoich sprawkach? I dowiedziała się o nich od April?

Lansing zaś skrzywił się ze złości.

- Pewnie, że sama by na to nie wpadła. Nie stała w pierwszym rzędzie, jak rozdawali rozumu. Nie to co April.

- Po co się włamywał do mieszkania April? - spytał John, ruchem głowy wskazując nadgarstek Lansinga. Rana już się zagoiła, ale na rękę nadal widać było wypukłą czerwoną bliznę. - Czego szukała?

- Prowadziła notatki - wycedził. - Pomyślałem, że mogła trzymać ich kopie w domu.

W pokoju na nowo zapanowało pełne napięcia milczenie. John rozsiadł się wygodnie i ponownie odchylił razem z krzesłem do tyłu, a następnie, skrzyżowawszy na piersiach ramiona, tonem niemal przyjacielskiej pogawędki, powiedział:

- Wytłumacz mi jedno, Greg. Dlaczego miałbym wierzyć twoim zapewnieniom, a nie miały nic wspólnego ze zniknięciem April? Wszystko wskazuje na to, że z tego samego powodu próbowała zamordować zarówno Tracy, jak i April. Aby ją uciszyć. Obie wiedziały to samo.

- Ale April zniknęła - odparł Lansing, rozkładając dłonie. - Po prostu zniknęła. Z dnia na dzień. Nie mam pojęcia, gdzie się podziała, więc jak miałbym ją zabić, nawet gdybym... - Spojrzał na Johna spłoszony.

- Nawet gdyby chciał?

- Tak. - Słowo padło ci ciężko, jak kamień.

John z trudem opanowywał narastającą odrazę. Może czyna zdolny do tego, co zrobiono Tracy, nie zasługiwał na miano człowieka. Wyobraził sobie Lansinga w mieszkaniu Elizabeth i poczuł, jak przewracają mu się w trzno ci.

Krzesło opadło na podłogę z gwałtownym hukiem. Lansing a podskoczył na siedzeniu.

- A co powiesz o siostrze April? Mam nadzieję, że Elizabeth. Czy rozprę jej mieszkanie, szukając tego samego co u April? A może tamtej nocy chodziło ci o nią? Jakie miały wobec niej plany?

- O czym pan mówi?

John pochylił się przez stół i chwycił Lansinga za przód koszuli, poderwał go z krzesła.

- Mów prawdę, Lansing! Po co włamywałeś się do jej mieszkania?

- Ja tego nie zrobiłem! O niczym nie wiem.

- Ale wiedziałeś, kim ona jest, przyznaj się!

- Tak, wiem. To znaczy teraz. Wiem od Tracy. Powiedziała mi wtedy wieczorem.

- Kiedy ją pobiła?

- Ja tego nie...

John puścił go tak nagle, że Lansing o mało nie spadł z krzesła.

- Gadaj jak było! Najpierw pobiła Tracy, a potem pojechała do domu Elizabeth Benoit!

- Nie! - Lansing zebrał poły koszuli i wsadził ją z powrotem w spodnie. - Po pracy wróciłem prosto do domu. Mam wiadomość. Zapytaj pana Brownie.

- Brownie? Ta sama, co już raz dała ci fałszywe alibi?

- Nie zabiłem April ani nie włamywałem się do jej siostry. Przysięgam!

John odchylił się w krzesło, mierząc wzrokiem siedzącego za stołem mężczyznę.

- Powiedz mi, Lansing, co się stało z April Benoit.

- Nie wiem, co się z nią stało - zapewnił Greg łamiącym się głosem. - Słowo daję, nie wiem.

- Mamy przed sobą całą noc. Równie dobrze możesz się przyznać od razu.

- Mógłbym, gdybym wiedział, ale nie wiem. Przygotowuj się do długiego i nudnego przesłuchania, John rozsiadł się wygodnie ze skrzyżowanymi na piersiach rękami. Patrzył wprost przed siebie, spokojnym, opanowanym, znamionującym nieskończoną cierpliwością głosem, oświadczając:

- Będę cię pytał tak długo i tyle razy, póki nie uzyskam pełnej odpowiedzi, Lansing. Mam mnóstwo czasu. Pytam jeszcze raz: co się stało z April Benoit?

Dobiegała dopiero ósma wieczorem, a Elizabeth czuła się już kompletnie rozbita. Dwaj policjanci, kiedy akurat nie wyglądali przez okno, zabijali czas, grając w karty albo przeglądając gazety, jej natomiast pozostała tylko telewizja. Wstała z łóżka, na którym wyciągnęła się na chwilę, przeszła się bez celu do drzwi, potem z powrotem. Zastanawiała się przez moment, czy nie zajrzeć do spraw Lindy Tremont, doszła jednak do wniosku, że teraz nie potrafi się dostatecznie skoncentrować.

Zresztą cała ta historia wydała jej się teraz trywialna i nieważna. Co to ma w końcu za znaczenie, myślała, na jakie sumy Tony Masterson naciągał swych bogatych klientów? Kwestie życia i śmierci, z jakimi miała ostatnimi czasy do czynienia, odsunęły na dalszy plan problemy nawet najwęższych pieniędzy.

Dlaczego John nie dzwoni? Na pewno zadzwoni, kiedy tylko będzie coś wiedział, upomniała się w duchu. Czuła jednak, że tak naprawdę czeka nie na informacje, a w każdym razie nie tylko. Snując się bez celu po wysłanym dywanem pokoju, w pewnej chwili głono westchnęła i musiała udzielić się nie dostrzeżonymi spojrzeniami swych dwóch opiekunów. W gruncie rzeczy brakowało jej nie nowych wiadomości, ale przede wszystkim uspokajającego głosu Johna. Ostatnia rozmowa telefoniczna przywołała wspomnienie ich wspólnej.

czulej i namiętniej nocy. Przymknęszy na moment oczy, przypomniała sobie, co czuła, leżąc obok Johna, z głową przytuloną do jego piersi. Do końca życia będzie pamiętała, co jej wtedy szeptał do ucha. Jak bezpiecznie i beztrudnie czuła się w jego ramionach.

Kiedy po raz szósty odbyła drogę między drzwiami a łóżkiem, starszy z dwóch policjantów, nazwiskiem Stanley, zapytał:

- Nie może pani sobie znaleźć miejsca? Skin ła głowę.

- Wiesz co? - zwrócił się do partnera. - A może przyniosłbyś coś do zjedzenia? Niedaleko stąd jest bardzo dobra tajська restauracja z jedzeniem na wynos.

Młodszy policjant poderwał się ochoczo na nogi. Miał jednak skrupuły.

- Jesteś pewien, że mogę ci zostawić samego? No bo nie jestem pewien, czy to w porządku...

- Dam sobie radę - uspokoił go Stanley. - Tylko nie marudź. I nie zapomnij dopilnować, żeby ci dali kurczaka naprawdę na ostro, i jak najwięcej sosu.

Odprowadziwszy wychodzącego policjanta wzrokiem, Elizabeth podeszła do okna. Nawet nie odsunęła zasłony - policjanci zdążyli ją uprzedzić, żeby nie odsłaniała okna - wyjrzała tylko jednym okiem przez szparę, przekonana, i nikt z zewnątrz jej nie zobaczy.

Młody policjant wsiadł do samochodu i odjechał z głośniejszym piskiem opon.

Elizabeth nadal tkwiła przy oknie, nie mając nic lepszego do roboty. Miała bardzo ograniczone pole widzenia - nie więcej niż jak metr w prawo i tyle w lewo - zauważyła jednak, że na opuszczone przez policjanta miejsce wjechał natychmiast inny samochód.

Na chodnik i okno padł trochę niesamowity odblask jego tylnych czerwonych wiatel. Auto było duże, nieokreślonej ciemnobrzozej barwy, a mężczyzna, który z niego wysiadł, tętniącym szczególnym się nie odznaczał. Miał na sobie dżinsy i czarną skórzaną kurtkę włożył na trykotową koszulkę, nosił baseballową czapkę i ciemne okulary.

Przypatrywała się bez celu mężczyźnie, który, wysiadłszy z samochodu, najpierw rozejrzał się dookoła, a potem okrążył auto, podniósł pokryw bagażnika, by po krótkiej chwili wyprostować się, trzymając coś w ręku. Nie mogła dostrzec, co to takiego.

Podskoczyła, słysząc tuż za sobą głos Stanleya. Musiał bezszelestnie wstać i podejść do okna. Ujmując ręką brzeg kotary, powiedział przepaszaj co:

- Prosz natychmiast odejść od okna.

Ogarnął ją nagle złe przeczucie i w tym samym momencie mierzchna za oknem gwałtownie się odwrócił i spojrzał wprost w jej okno. Potem zobaczyła, jak podnosi krótki karabinek i usłyszała strzały.

- A potem, po wyrzuceniu elastycznej łuki w bagno, dokąd pojechała?

Greg Lansing miał zmęczone, przekrwione oczy. Pokój poszarzał od dymu, a na stole stało pięć plastikowych kubków z reszkami zimnej kawy na dnie. Od wielu godzin prowadzili monotonna rozmowę, walcząc te same rzeczy nieskończoną ilość razy, powtarzając wciąż te same pytania i te same odpowiedzi. Drobne różnice w odtwarzanych przez Lansinga kolejnych wersjach wydarzeń zdawały się wskazywać, że mówi prawdę. Wytrawny kłamca zazwyczaj podaje za każdym razem identyczną wersję, niczego w niej nie zmienia.

- Już mówiłem - odpowiadał znużonym głosem. - Pojechałem prosto do domu. O dwunastej byłem u siebie.

- I więcej nie wychodziłeś?

- Nie.

- Brownie może to potwierdzi?

- Tak.

- Kto jeszcze?

Zanim Lansing zdążył odpowiedzieć, zapukano do drzwi, które otwarły się niemal od razu i Morgan Stacinski zajrzała do pokoju. Jej twarz niczego na pozór nie wyrażała, a ona sama nie zdradzała najmniejszego podekscytowania, lecz John instynktownie poczuł, że ma ważną informację.

- O co chodzi? - zapytał, wstając. Odepchnięte nogi krzesła zaskrzypiały o podłogę.

- Czy mogą ci prosić na dwie minuty?

John wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

- Co się stało?

- Doszło do strzelaniny.

- Do strzelaniny?

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

frontu szczyły si odłamkami potłuczonego szkła, a strz py kotar trzepotały złowieszczo w podmuchach nocnego wiatru. Z wej ciowych drzwi zostały tylko drzazgi. cian poni ej i powy ej okna znaczył równy rz d czarnych dziur - ladów po kulach. Najwyra niej karabin półautomatyczny, odruchowo ocenił John. A mo e nawet automat. Pewnie hockler albo podrasowane uzi.

Odniósł wra enie, e oblewaj go jednocze nie fale zimna i gor ca, i rzucił si p dem przez tłum policjantów, sanitariuszy i gapiów. Biegn c, rozgl dał si po twarzach. Zbli aj c si , dostrzegał coraz to nowe ludy katastrofy. Na chodniku pod rozbitym oknem s siedniego segmentu siedziała zapłakana kobieta, najwidoczniej jego mieszkanka, tul c w ramionach gło no płacz ce niemowl . To znaczy, e yje, z ulg pomy lał John. Obok kobiety stał oszołomiony m czyzna, jego poraniona twarz spływała krwi . Wokół całej trójki krz tali si sanitariusze. W sekund pó niej John min ł potrzaskane drzwi, nie zwracaj c uwagi na pełni cego stra policjanta, który usiłował go zatrzyma .

Pierwsz rzecz , jaka rzuciła mu si w oczy, kiedy przekroczył próg pokoju, była wielka kału a krwi pod oknem.

Rozdział 14

Dostrzegła Johna wczepionego w niego.

Kiedy zobaczyła jego nieprzytomną z przerażenia i niepokoju twarz, w ułamku sekundy coś w niej zmieniło, jakby runął nagle jakiś wewnętrzny mur. Tak jawne obnażenie najskrytszych uczuć powiedziało jej coś o niej nie tylko o Johnie, ale także o niej samej. Uświadomiła sobie, jak pilnie strzegła swoich emocji, jak głęboko ukrywała uczucia. Nie pamiętała, kiedy, tak jak on, pozwoliła sobie dać nieopanowany upust targającym ją namiętnościami, ba, kiedy ostatni raz przeżywała podobnie namiętne uniesienia.

John dostrzegł ją i dwoma krokami pokonał dzielące ich przestrzenie. Elizabeth poderwała się z łóżka i rzuciła mu się na szyję. Oboje zaczęli mówić jednocześnie.

- Jesteś zdrowa i cała? Nie jesteś ranna? Jak to było?

- To było straszne! Wciąż nie mogę w to uwierzyć. Jak dobrze, że jesteś!

Zamilkli, by nabrać tchu. John pogłaskał ją po twarzy, jakby chciał się upewnić, że żyje i że naprawdę ma ją przy sobie. Dopiero po chwili zauważył lady krwi na jej twarzy i jeszcze większe plamy na bluzce.

- Co to...? - John szybko podniósł oczy. - Jesteś ranna?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nie, to... - Łzy napłynęły jej do oczu. - To krew Stanleya. Został trafiony. Stałam przy oknie, a on podszedł i kazał mi się odsunąć akurat w momencie, kiedy zdałam sobie sprawę, że dzieje się coś złego. Pchnął mnie na podłogę i... i seria poszła w niego. Krew tryskała na wszystkie strony. - Z trudem chwyciła oddech. - Czy wiesz, w jakim on jest stanie? Czy...

- Nie, jeszcze u niego nie byłem. Przyjechałem prosto tutaj. - Jego piwne oczy stały się niemal czarne, palce jeszcze mocniej zacisnęły się na jej ramionach. - Czy widziała, kto strzelał? Zdała mu się przyjrzeć?

Skinęła głową.

- Tak, widziałam go, ale niewiele potrafi powiedzieć. Było ciemno, na głowie miał czapkę, która zasłaniała twarz. - Opisała napastnika, jego samochód, broń, z której strzelał. - W pierwszym momencie nie zorientowałam się, że to karabin, ale na moment przed wystrzałem poczułam, że coś się szykuje. Nie bardzo wiem dlaczego.

chyba przez te ciemne okulary. Była już prawie noc, a on miał na twarzy ciemne okulary.

- Jak u diabła zdołał ci wytropić? Przecież nikt nie miał prawa wiedzieć, gdzie się ukrywasz.

Potrzebowała głowa.

- Nikt.

- A może dzwoniła do kogoś po moim telefonie?

- Też nie.

John zmrużył oczy.

- Jak mogło do tego dojść? Skoro nikt nie wiedział, gdzie ci szuka... - Zapadł się w siebie, najwidoczniej rozważając w myślach sytuację. Po chwili otrząsnął się i jeszcze raz zapytał: - Na pewno nie jesteś ranna?

- Na pewno. Tylko roztrzaskała.

Ich oczy znów się spotkały. John przyciągnął ją do siebie. Objął ją i stali przez chwilę przytuleni. Wreszcie John odchylił się do tyłu.

- Może jednak powinna pojechać do szpitala, żeby ci zbadali - rzekł ochryplym głosem, jakby chwilowy spokój znowu go opuścił. - Na wszelki wypadek.

- Nigdzie się nie wybieram - oświadczyła Elizabeth, odwzajemniając spojrzenie. - Chcę być z tobą.

W godzinę później znaleźli się jednak oboje w szpitalu. Pojechali zobaczyć, co dzieje się ze Stanleyem. Powiedziano im, że nadal jest operowany.

W poczekalni było niebiesko od policyjnych mundurów. Funkcjonariusze podpierali ciany, przechadzali się nerwowo, rozmawiali w małych grupkach. Jak zawsze w takich przypadkach, dawali wyraz solidarności z poszkodowanym w czasie pełnienia służby kolegów.

John odszukał Stanleya, Charlottę. Objął ją płaczem kobiet i mocno przytulił. Koło niej stali dwaj mali chłopcy o przestraszonych buziach i patrzyli na niego niepewnym wzrokiem. John i Elizabeth wyszli po dziesięciu minutach. Nie mieli tu nic więcej do zdiagnozowania.

W drodze na parking spojrzał ukradkiem na Elizabeth i serce mu się cisnęło. W ółtawym świetle lamp wydawała się jeszcze bledsza. Straszne przeżycie pewnie dopiero teraz w pełni dawało o sobie znać.

Kiedy po przyjeździe do motelu przekonał się, że Elizabeth jest zdrowa i cała, co w nim puknęło. Chociaż od długiego czasu

wiedział, że jest w niej zakochany, to jednak dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo jest mu droga. Bo że, gdyby to była ona, gdyby Stanley nie zdecydował jej odepchnąć... Kto wie, może wychodziłby teraz nie z ambulatorium, lecz z kostnicy.

Mimo woli cisnął jej rękę tak mocno, że Elizabeth spojrzała na zdziwiona.

- Zabieram cię do domu i nie oczekuj sobie żadnych dyskusji - owiadczył.

- Nie zamierzam dyskutować - odparła. - Ja też chcę jechać do ciebie.

Położył jej ręce na ramionach. Jej oczy kolejny raz napełniły się łzami.

- Przepraszam, że cię w to wszystko wplątałem - wyszeptała i zamylała się na chwilę. - Wciąż nie mogę w to uwierzyć. Zaczęło się od zniknięcia April, a teraz to. Może czyżby mający oni i dwójka małych dzieci walczy w sali operacyjnej ze śmierci...

- To jego zawód - odrzekł John łagodnie. - Kiedy dywizyjny policjant zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa, na jakie się naraża.

Elizabeth zabołały te słowa.

- Ale jednak... - zaczęła.

- Mamy w tej chwili poważniejszy problem na głowie. Trzeba ustalić, kto dyktuje na twoje życie.

Podczas jazdy do domu opowiedział jej o wszystkim, czego dowiedział się od Grega Lansinga.

- Wprost nie chce mi się wierzyć - przyznała na koniec Elizabeth. - April nigdy słowem nie wspomniała o całej sprawie. Nawet się nie zajmowała. A przecie byłyśmy w stałym kontakcie.

- Pewnie wołała ci o niczym nie mówić.

- Ale dlaczego?

John popatrzył na nią z ukosa.

- Dlaczego? Zastanów się. Od paru tygodni chodzisz nieprzytomna ze zmartwienia. A co by zrobiła, gdyby ci się przyznała, że odkryła machlojki, które Greg Lansing za wszelką cenę będzie się starał zachować w tajemnicy?

Elizabeth spuściła głowę i w samochodzie zapadła martwa cisza.

- Sama widzisz - ciągnął. - Zaczęłyby się szaleć. Najprawdopodobniej poszłyby do klubu, żeby się z nim rozmówić i dziś albo sama byłaby osobą poszukiwaną, albo już by nie była.

Nie mogła mu zaprzeczyć .

- Czy to jego zraniłam w rękę w mieszkaniu April?

- Tak. Chciał sprawdzić, czy nie trzymała jakichś dowodów jego machlojek. Przyłapał ją raz w swoim gabinecie na szperaniu w rachunkach i nie był pewien, czy nie zabrała czegoś, co mogłoby zostać użyte przeciwko niemu.

- A po co włamywał się do mnie? Chyba żeby sprawdzić, czy nie zabrałam obciąganych papierów do domu?

John skręcił w prawo, zjechał z autostrady, i dopiero po chwili odparł:

- Zarzeka się, że nie miał nic wspólnego z włamaniem do twojego mieszkania. I jestem skłonny mu wierzyć .

- Ale to nie trzymaj się kupy! Sam powiedziała, że włamanie nie było przypadkowe, że rodzaj zniszczeń świadczy o celowym działaniu.

- Wiem. - Właśnie skręcili w ich ulicę i John jechał teraz wolniej.

- Sam nic z tego nie rozumiem.

Pomagając Elizabeth wysiadała z półciarówki, jeszcze raz spojrzawszy jej w oczy.

- Jak się czujesz?

- Muszę tylko odpocząć - rzekła, odpowiadając równie czułym spojrzeniem.

Po godzinie była w znacznie lepszej formie. Kiedy skończyła brać prysznic, John już na nią czekał.

- Powinnaś się od razu położyć - oświadczył. - Musisz odpocząć .

Wiedziała, że powinna odpocząć, ale jeszcze bardziej pragnęła czuć jego obecność, upewnić się w jego ramionach, że naprawdę żyje i jest bezpieczna. Pragnęła jego pocałunków i pieścizot, chciała poczuć dotyk jego ręki na skórze, jego wargi na swoich. Pragnęła znaleźć się w jego łóżku.

I powiedziała mu, czego pragnie.

Jego wahanie trwało może kilka sekund. W chwilę później byli już w sypialni i jednocześnie nie padli na łóżko. Tym razem było inaczej. Lepiej się znali, wiedzieli, czego które pragnie, wyczuwali nawzajem sweet sknoty. Jego pieścizoty doprowadzały ją niemal do łez. Bez końca gładził jej policzki i włosy, nie mogąc się na nią nasycić. Elizabeth zdała sobie sprawę, że John potrzebuje jej bliskości chyba jeszcze bardziej niż ona jego. Pamiętała, w jakim stanie dojechał wieczorem do

motelu, jak wyglądał, kiedy wpadł do pokoju, nie wiedział, czy znajdzie ją żywą ...

Po pewnym czasie jakby się upewnił, że Elizabeth naprawdę żyje, i jego pieszczoty stały się gwałtowniejsze, bardziej gorące. W niej też zawrzała krew. Coraz mocniej wodziła palcami po jego skórze, coraz mocniej go całowała.

- Chcę cię - szepnęła głosem pełnym podniecenia. - Już, teraz...
Proszę ...

John ociągał się, patrzył jej w oczy, ale w ciemności nie potrafiła nic z jego twarzy wyczytać.

- Ja też ciebie chcę. I nie tylko teraz. - Wsunął się spod niej i zawisł nad jej ciałem. - Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

Dręczył go podniecenie, skinęła głową.

- Rozumiem - wyszeptała zdławionym głosem.

Po chwili wszedł w nią. Elizabeth poddała się narastającemu rytmowi ich ciał, zapominając o całym świecie.

Wsunął się z łokcia najciszej, jak potrafił, starając się nie obudzić Elizabeth. Materac zaskrzypiał, mruknęła coś pod nosem, John zamarł, lecz ona przewróciła się tylko na drugi bok i spała nadal z rękami podłogą pod głową. Jej czarne jedwabiste włosy rozsypały się na poduszce.

Stał chwilę w mroku wczesnego wstania, nie mogąc oderwać od niej oczu. Ta noc okazała się jeszcze cudowniejsza od poprzedniej. Była kobietą nie tylko mądroską i piękną, ale i najbardziej seksowną z wszystkich, jakie znał. To, że znalazła się w jego łóżku i wkroczyła w jego życie, zawdzięczał wprawdzie smutnym wydarzeniom, jedno wszelako nie ulegało wątpliwości. Zrobił wszystko, aby ją przy sobie zatrzymał.

Począł do kuchni, by zaparzyć kawę. Po chwili, z kubkiem gorącego płynu w ręce, wyszedł swoim zwyczajem na ganek.

Upłynął niecały miesiąc od chwili, kiedy obserwował Elizabeth udając się do pracy. Dzieli ich losy były z sobą nierozzerwalnie splecione, a on bynajmniej się tym nie martwił. Wiedział, że jest zupełnie inna, niż sobie wtedy wyobraził. Tamtego dnia, obserwując idącą chodnikiem piękną kobietę, przypisał jej wszystko co najgorsze.

Na szczęście, kompletnie się w swej ocenie pomylił.

Niemniej jej problemy wciąż domagały się rozwiązania. Kto porwał April, a teraz usiłuje zlikwidować Elizabeth? Od trzech

tygodni na próżno szukał odpowiedzi na te pytania. Był tym głębiej sfrustrowany. Do tego czasu powinien był wykryć prawdę. Powinien był rozwikłać wszystkie zagadki.

Podniósł kubek do ust i upił łyk gorzej kawy. Wrócił myślnie do hipotezy, którą parę dni temu podsunęła Elizabeth - że April mogła sama zaplanować swoje zniknięcie. Po zastanowieniu odrzucił jednak swoją teorię jako mało prawdopodobną. April nie była zdolna do tego, by przeprowadzić tak skomplikowany plan, nawet gdyby miała jakieś powody. Wszystko, czego zdołał się tymczasem dowiedzieć o April, wskazywało, że nie umiałaby czegoś takiego zorganizować samodzielnie.

Co innego jej siostra. Elizabeth miała wszelkie dane po temu, by zaplanować i zrealizować podobny plan. Pod pewnymi względami była kobietą kameleonem. Ubrana w jeden ze swoich „urzędowych” kostiumów, z gładko zaczesanymi włosami, wyglądała na wyidealizowaną amerykańską kobietę mającą władzę nad ludźmi i liczbami.

Natomiast w klubie całkowicie zmieniała skórę, stając się zupełnie inną osobą. Trzymając w ręku kubek gorzej kawy, której parę łagodnie muskała mu twarz, John zamknął oczy, przywołując obraz Elizabeth tańczącą na scenie. Jej ruchy przypominały snującą się ku górze smugę dymu. O jej falujących biodrach wieszko, że czyniła mogła tylko marzyć w snach, a na dopełnienie innych powabów spod maski wзираły jej czarne, błyszczące oczy. Taniec Elizabeth był czymś niezwykle, nigdzie indziej niespotykanym, a jego wspomnienie, John był tego pewien, nie opuści go do końca życia.

Otworzył oczy. Kto porwał jej siostrę? Kto czyha na jej życie? Czym się to wszystko skończy?

Gdy się obudziła, Johna nie było już w domu, ale przyłożyła do kartki z wiadomością, że wróci przed lunchem. Przeciwnie, wspominając rozkosze minionej nocy.

Opatulona w szlafrok Johna, który był na nią co najmniej cztery numery za duży, udała się do kuchni. John pisał w swoim liście, że zostawia ją pod opieką policjantów. I rzeczywiście, przy kuchennym stole siedzieli dwaj funkcjonariusze, popijając kawę i przeglądając gazety.

Na widok Elizabeth podnieśli głowy, uśmiechnęli się i przedstawili. Byli to ludzie dojrzały, o tak przenikliwych spojrzeniach, i Elizabeth odczuła ulgę, że nie ma nic nielegalnego na sumieniu.

Wymieniwszy z nią kilka zdawkowych uwag, powrócili do studiowania prasy, ale raz po raz wyglądali przez okno.

Elizabeth nalała sobie kawy, po czym wróciła do sypialni. Nie spieszyła się, wzięła kąpiel, ubrała się i uczesała. Nim się obejrzała, rano dawno minęło. Kiedy około jedenastej zadzwonił telefon, rzuciła książkę, którą zaczęła czytać, i szybko chwyciła słuchawkę, spodziewając się usłyszeć Johna.

Dzwoniła Linda Tremont.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam - powiedziała - ale dowiedziałam się z gazety, co się stało i nie mogłam się powstrzymać. Zadzwoniłam do biura, gdzie podano mi ten numer. Przede wszystkim chciałam się dowiedzieć, jak się miewasz.

- Dziękuję, całkiem dobrze - odparła Elizabeth. - Dziwi mnie tylko, że sprawa trafiła na łamy „Chronicie”.

- To musiało być dla ciebie okropne przeżycie. - W głosie Lindy brzmiało tyle szczerego współczucia, że Elizabeth łzy napłynęły do oczu. - Czy mogłabym się na coś przydać?

- Serdecznie dziękuję, ale w tej chwili nic mi nie trzeba.

- Słuchaj, jakie wiadomości o April?

- Absolutnie nic.

- Bardzo ci współczuję i przepraszam, że akurat teraz do tego wracam, ale nie wiem już, co mam robić. Zastanawiałam się, czy może udało ci się skończyć raport. Kiedy rozmawiałyśmy ostatnim razem, miałam wrażenie, że zbliżasz się do końca, więc pomyślałam...

- Rzeczywiście był już gotowy w ogólnych zarysach. Niestety, na domiar wszystkiego w zeszłym tygodniu doszczętnie splądrowano mi mieszkanie. Dopiero wczoraj zdołałam się pozbyć zniszczonych rzeczy i zaprowadzić jakiś taki ład, ale do porządkowania papierów i dokumentów nie zdążyłam się jeszcze zabrać. Nie wiem nawet, czy szkic raportu uratował się z katastrofy.

- Och, Elizabeth, jakie to przykre. - Po chwili milczenia podjęła niepewnie: - Nie wiem, co mam teraz robić. Tony zmienił zdanie i w obecnej chwili jest gotów podjąć rozmowy z urzędem skarbowym, więc trzeba się spieszyć, bo...

- Je li chcesz, mog zadzwoni i umówi go na spotkanie.

- Ju do nich dzwoniłam, ale mi powiedziano, e musz si najpierw zapozna z raportem. - Linda zawiesiła głos. - Strasznie przepraszam, e si naprzykrzam, ale boj si , eby Tony znowu nie stchórzył. Nie wiem, gdzie teraz jeste , ale co by powiedziała na to, gdybym przyjechała do ciebie do domu i pomogła ci przejrze papiery? Mo esz to dla mnie zrobi ? Bardzo mi zale y na jak najszybszym załatwieniu tej sprawy, ze wzgl du na Tony'ego.

Pomysł, by na kilka godzin skoncentrowa si na czym innym, nagle wydał si Elizabeth bardzo atrakcyjny.

- wietnie - odparła. - Kiedy mo esz by ?

John zatelefonował par minut pó niej.

- Dzwoni ze szpitala - oznajmił. - Jest nadzieja, e za chwil b d mógł porozmawia ze Stanleyem. To wa ne, bo chciałbym jak najszybciej mie jego zeznanie. U was wszystko w porz dku?

- Dajemy sobie rad . - Przymkn ła oczy, eby w pełni nasyci si jego głosem i wszystkim, co z sob niósł. - Kiedy mog si ciebie spodziewa ?

- St skniła si ? - zapytał całkiem innym tonem. Za miała si leciutko.

- Wyobra sobie, e tak, ale pytam nie dlatego. Linda Tremont dowiedziała si z gazety o wczorajszej strzelaninie. Mamy si spotka u mnie w domu, eby wspólnie przejrze papiery.

- Do diabła z ni ! A ju witała mi nadzieja, e zaczynam co dla ciebie znaczy .

- Nie masz poj cia, ile dla mnie znaczysz - odparła dr cym ze wzruszenia głosem. - Mo e wi cej, ni by sobie yczył.

- Wi cej, ni bym sobie yczył? To niemo liwe - o wiadczył. - Elizabeth, wczoraj mówiłem powa nie, nie pod wpływem chwili. Chc , eby dzieliła ze mn ycie. Ze mn i z Lis .

Elizabeth przełkn ła lin .

- Mo na by to potraktowa jako o wiadczyni.

- Wi c potraktuj, jak ci si podoba. Pragn jedynie by z tob . Na zawsze. Rozumiesz?

- Tak, rozumiem.

- To samo powiedziała wczoraj - rzekł cicho. - Ale czy tylko rozumiesz, czy... sama tego pragniesz?

Elizabeth kurczowo cisn ła słuchawk w dłoni.

- Nie wiem - wyznała szczerze. - Nie pamiętam tam, kiedy ostatni raz zastanawiałam się nad moimi związaniami z kimś na stałe.

- Raczej kiedy chciała wziąć tak moją uwagę ... A taka moja istnieje.

- Wiem.

Zapadła cisza, podczas której Elizabeth przetrawiała w myślach jego słowa. Kiedy stało się jasne, że nie wie, co mu powiedzieć, John zmienił temat.

- Obiecujesz być ostrożna? Nigdzie nie wychodzić, a idź do siebie, zabierz McCurry'ego.

- Obiecuję.

Odkładała ją słuchawkę, kiedy usłyszała swoje imię. Z powrotem ją podniosła:

- John?

- Jeszcze raz proszę, bądź ostrożna. Nie wiem jak tobie, ale mnie całkowicie wystarczy jedna strzelanina na tydzień.

Wyciągnęła słuchawkę, niemniej w rzekomym żartku Elizabeth wyczuła prawdziwe zaniepokojenie o jej los. John ją kocha. Chce się z nią związać, założyć dom, mieć rodzinę. Zalała ją falą radości i szczerego. Jednocześnie nie miała ochoty uciec, ukryć się w mrocznej dziurze.

Rozdział 15

Linda Tremont przyjechała niedługo po telefonie Johna. Obie kobiety spotkały się przed domem Elizabeth. Za nimi podał jeden z policjantów, który sam otworzył drzwi i wszedł do rodka, prosząc, aby chwilę poczekały.

Elizabeth przyjrzała się Lindzie. Kobieta wyglądała dużo gorzej, niż kiedy widziały się ostatni raz. Była chorobliwie blada, wręcz zielona na twarzy, a na czole i wokół ust pojawiły się nowe, głębokie zmarszczki. Jej niegdyś elegancki kostium był pomięty, a na dole spódnicy widniała wyraźna plama. Nerwowo poprawiała pasek zawieszony na ramieniu torby i raz po raz niespokojnie zerknęła przez ramię na stojący na parkingu samochód. Sytuacja, w jakiej znalazł się jej brat, najwyraźniej wiele jej kosztowała.

- Tak mi przykro, Lindo, z powodu zamieszania wokół sprawy twojego brata - powiedziała Elizabeth najserdeczniej jak mogła. - Nie zasłużyłaś na to wszystko, co się na ciebie zważyło.

Linda jakby się przestraszyła.

- Czego?

- Nie potrafimy rozwiązywać problemów innych ludzi, nawet tych, których najbardziej kochamy. Twój brat jest dorosły i sam powinien radzić sobie z własnym życiem, a nie wplątywać cię we wszystkie swoje kłopoty. Nie masz obowiązku ratować go z tarapatów, którym sam jest winien.

Słyszysz własne słowa, Elizabeth natychmiast zdała sobie sprawę, jak głupio brzmi w jej ustach. Czy nie postąpiła dokładnie tak samo jak Linda? Czy nie biegła na ratunek, ilekroć April paliła jakieś głupstwo? Nagle wszystko stało się jasne...

Jak mogła wierzyć, że takie postępowanie przyniesie siostrze pożytek? To, co robiła, przynosiło wręcz odwrotny skutek - zamiast pozwolić April uczyć się na własnych błędach, paraliżowała ją tylko swoją dobrocią, odbierała siostrze możliwość znalezienia własnej drogi do samodzielności. Jak mogła być aż tak załepiona?

Odpowiedź przyszła równie nagle, jak pierwsze odkrycie: ponieważ chciała być niezależna i o wszystkim decydowała. Od tylu lat przywykła kierować nie tylko swoim losem, ale także losami matki i siostry, i mimo wszystko, że ktokolwiek poza nią mógłby o czymkolwiek decydować, po prostu nie przychodziła jej do głowy. Dopiero teraz, w dniu jej śmierci dzięki Johnowi, pojawiła się jego d. Ta nowa wiadomość

już od miesiąca z wolna kiełkowała w jej umyśle, ale dopiero dzisiejszego dnia nieoczekiwanie dojrzała, pozwalając Elizabeth zrozumieć samą siebie.

Poczuła się tak, jakby wielki ciężar spadł jej z ramion. Przez moment miała wrażenie, że chyba oderwie się od ziemi i pofrunie. Na szczęście głos policjanta przywołał ją do rzeczywistości.

- Wszystko w porządku, moje panie - oświadczył. - Możecie wejść. Zostanę na ganku, na wypadek, gdybym był potrzebny.

Elizabeth, nadal zaprzęgnięta swoimi myślami, weszła z Lindą do mieszkania i zatrzymała się niezdecydowana po środku holu. Wreszcie Linda spytała:

- Elizabeth? Gdzie one są? No, twoje papiery.

- W pokoju koło sypialni - odparła, odwracając się i ruszając korytarzem w głębie mieszkania. - Prawdę mówiąc, tylko cztery papierów udało się uratować, ale zebrałam wszystkie, jakie zostały, żeby je potem dokładniej posortować. - Nie oglądaj się na Lindę, weszła do niewielkiego gabinetu, gdzie podciane stały rzędem wypchane papierami kartony. - Zaczniemy od tego końca - rzekła. - Wszystko jest pomieszane.

To mówiąc, zabrała się do otwierania pierwszego kartonu. Nie słysząc żadnej reakcji ze strony Lindy, podniosła głowę.

I nagle wszystko zrozumiała.

- Nie utrudniaj sytuacji - oświadczyła Linda spokojnie, podnosząc rewolwer.

Lekarze zezwolili Johnowi na dziesięć minut rozmowy z rannym policjantem, ale nie dowiedziałby się więcej, nawet gdyby miał wiele godzin. Stanley podał mu słabym głosem zaledwie parę szczegółów, jeszcze mniej, niż zdołała zapamiętać Elizabeth. W ogóle nie widział napastnika. Kotary nagle eksplodowały i stracił przytomność. Nic więcej nie potrafił powiedzieć.

Po wyjściu ze szpitala, zniechęcony i rozczarowany, John postanowił odwiedzić osobę, przy której zawsze najlepiej mu się myślało - swoją córeczkę. W czasie jazdy zadzwonił na wszelki wypadek do domu.

Policjant, który odebrał telefon, mówił z wyraźnym teksaskim akcentem.

- Wszystko w porządku, sir. Pani Elizabeth jest u siebie w domu z tamtą drugą kobietą, co tu do niej przyjechała. McCurry

sprawdził najpierw mieszkanie, a teraz stoi przed domem i ma wszystko na oku. Mam go cały czas w polu widzenia.

John, uspokojony, wył czył telefon.

Zgodnie z jego przewidywaniami Marsha była w pracy. Kiedy gospoia otworzyła drzwi, wszedł bez pytania, zmuszając kobiety do ustąpienia mu z drogi.

Zdjął z rozmachem kapelusz.

- Gdzie jest moja córka? Musz się z nią zobaczyć - oświadczył stanowczym tonem.

Starsza kobieta wyprostowała się i spojrzała na niego obrażonym wzrokiem.

- Najmocniej przepraszam, ale pani Mallory nie dała mi przed wyjazdem żadnych instrukcji, a niby ma pan dzisiaj widzieć się z Lisem.

- Twoja pani nie jest już pani Mallory - odciął się John, mierząc gospoie równie nieprzyjaznym spojrzeniem. - Zadzwoń do niej, jeżeli masz ochotę, ale jestem tu, jak widzisz, mam tylko parę minut i zamierzam zobaczyć się z córką, czy to się komu podoba, czy nie. Gdzie ona jest?

- U siebie na górze - wycedziła kobieta przez zaciśnięte usta. - Zaprowadź pana...

- Sam znajdę drogę.

Odwróciwszy się na pięcie, poszedł na piętro, po czym skręcił w lewo. Na prawo od schodów znajdowała się sypialnia, którą dzielił niegdyś z Marshem. Poczucił ulgę na myślenie, że nie będzie musiał przechodzić obok tego przeklętego miejsca. Dawna małżonka sypialnia kojarzyła mu się wyłącznie z ciężkimi pretensjami i kłótniami. Nie zostawiła po sobie żadnych czułych ani radosnych wspomnień, nie mówiła już o miłosnych fajerwerkach, jakie przeżywał teraz u boku Elizabeth.

Przez otwarte drzwi dziecinnej sypialni zobaczył Lisę, która siedziała na podłodze, zajęta przemeblowywaniem domu dla lalek. Kiedy zapukał, mała odwróciła głowę i na widok ojca szeroki uśmiech rozjaśnił jej buzię.

- Tata! - pisnęła, rzucając mu się w ramiona i obsypując pocałunkami. - Oj, ale drapiesz! - zawołała, przesuując rękę po jego policzkach. - Powinieneś się ogolić!

- Moje kochanie! - odparł z uśmiechem. Poderwał ją do góry i parę razy okręcił wokół, po czym postawił na ziemi, nie wypuszczając jej z objęcia. - Wpadłem tylko na chwilę, żeby zobaczyć moje małe stwo. Jak się mamy?

- Nie jestem małym stwem - oświadczyła. - Jestem dziewczynką.

- Masz rację. Ale dla tatusia zawsze zostaniesz małym stwem.

- Jak dorosnę, będzie pani Elizabeth - oznajmiła z powagą Lisa.

John znowu się uśmiechnął, a mała pocięła go za rękę.

- Chodź, pokażę ci mój nowy dom lalek. Prawdziwy dom, ma drzwi i okna, i meble, i wszystko.

Poszedł za nią posłusznie w kąt pokoju, gdzie znajdował się miniaturowy domek. Usiadł na dywanie, podkurczając swoje długie nogi, i zajął się oglądaniem przez małe okienko. Lisa z przyjemnością zaczęła opisywać dom lalek, pokazując paluszkami każdy szczegół, a następnie nie tracąc czasu na zaczerpnięcie oddechu, zajęła się jego małymi mieszkańcami, opowiadając obszernie o ich przygodach, wzajemnych stosunkach i pokrewieństwie. Połowa tych historii była niewątpliwie zaczerpnięta z telewizyjnych oper mydlanych, których Lisie nie wolno było oglądać. Pewnie ta stara jądzia słuchała nie może bez nich i po cichu pozwalała, żeby Lisa tęsknie na nie patrzyła.

John kiwał głową, uśmiechał się, zadawał niezbyt wiele pytań, a tymczasem jego umysł wykonywał swoją pracę. Rozważał problem Elizabeth.

- To jest Mindy. Mindy jest siostrą Lukę, ale zachorowała na coś, co nazywa się mnezją i zapomniała, kim jest. - Lisa z dumą wycięła paluszek. - A ten to Michael. Michael i Luke są bliźniakami. Są do siebie tak bardzo podobni, że nie można ich odróżnić i czasami udają jeden drugiego i Mindy nie może ich odróżnić i nie wie, który jest który i...

John słuchał jednym uchem, ale chociaż był zajęty własnymi myślami, co z gaworzenia Lisy przedarło się do jego wiadomości. Słowa, które jeszcze przed chwilą brzmiały tak głupiotko, nabrały nagle oszałamiającego znaczenia. Popatrzył na małą zdumionym wzrokiem, zdając sobie sprawę, co mu nagle swojej opowieści uwiadomiła.

Jego reakcja nie uszła uwadze Lisy.

- Tato, co ci jest? Dlaczego masz tak dziwną minę? Jesteś chory?

- Nie, kochanie. Nie jestem chory. Po prostu... myślisz. Opowiadaj dalej. Słucham, co do mnie mówisz.

Dziewczynka uspokoiła się i podjęła swoją opowieść, odgrywając role trzymany w rękach lalek. Ale John już jej nie słuchał. Jego umysł pracował gorączkowo, odtwarzając w pamięci tamten pierwszy poranek, kiedy obserwował idącą do samochodu Elizabeth. Miała na sobie czarny kostium i pantofle na płaskim obcasie, włosy gładko zaczesane i spięte w kok, ciemne okulary na twarzy. Zbliżyła się szóstą rano. John wstawał regularnie za kwadrans szóstą, robił sobie kawę i podchodził do okna. O szóstej wyglądał na ulicę.

Przedtem nigdy jej nie zauważył. Owszem, widywał Elizabeth na basenie, przy skrzynkach pocztowych, czasami także idącą do samochodu, ale nigdy o tak wczesnej porze.

Teraz zrozumiał dlaczego.

To nie była Elizabeth. Kobieta, którą wtedy zobaczył, była April. Ubrana w rzeczy Elizabeth, z jej torebką w rękę, uczesana tak jak ona, z włosami - pewnie wie o ufarbowanych na czarno - cięgniętymi gładko do tyłu, April całkowicie upodobniła się do siostry. Stąd ten pantofel Elizabeth, który policja znalazła w bagażniku. Stanowił część przebrania.

Widział April, a pomyślał, że to Elizabeth.

To samo przytrafiło się porywaczowi.

Serce zabiło mu mocno, jak zawsze, kiedy po długim poszukiwaniu natrafiał na właściwy ślad, kiedy istotny element układanki trafiał na swoje miejsce i całość obrazu ukazywała się jak na dłoni. Wszystkie jego dotychczasowe domysły szły w niewłaściwym kierunku. Przedmiotem sprawy w ogóle nie była April. Napastnik albo napastnicy szukali, żeby porwać Elizabeth. Ona była ich celem od samego początku - April stała się jedynie przypadkową ofiarą.

John poderwał się z podłogi.

- Musz już lecieć, kochanie - powiedział, całując ją na powitanie. - Ale w czwartek jak zwykle po ciebie przyjadę. Do widzenia.

Mała odwzajemniła pocałunek.

- Do widzenia, tato.

Nacisn wszy kapelusz na głow , zbiegł ze schodów, wskoczył do samochodu i odjechał.

Elizabeth patrzyła chwil w luf rewolweru, nim podniosła wzrok na twarz Lindy. Jej policzki płon ły jak w gor czce, ale oczy patrzyły zimno.

- Co ty wyprawiasz?

- Troszcz si o mojego brata - spokojnie odparła Linda. - Mogła sobie darowa tamto kazanie, którym uraczyła mnie na ganku. Kocham Tony'ego i musiałam przyj mu z pomoc . Zwłaszcza po wczorajszym niepowodzeniu w motelu, kiedy sam próbował załatwi spraw .

- To był Tony? Lindo, dlaczego? Jakim cudem...

- Dzwoniła do mnie wczoraj, nie pami tasz? Mój telefon automatycznie odnotowuje numer dzwoni cego. Wystarczyło sprawdzi abonenta w spisie uło onym według numerów. Bez trudu znalazłam nazw motelu i powiedziałam Tony'emu, gdzie ma ci szuka . Od tamtej pory ma was stale na oku, ciebie i tego twojego kochasia z policji. Jechał za wami do szpitala, a potem tutaj.

- Ale dlaczego? - j kn ła Elizabeth. - Nic nie rozumiem.

- Mój brat to dobry człowiek, nie dam mu zrobi krzywdy.

Linda była teraz zupełnie spokojna i opanowana. Odk d wyci gn ła rewolwer, opu ciło j zdenerwowanie. Elizabeth przełkn ła lin , staraj c si pokona paniczny strach.

- Linda, on ci ko postrzelił policjanta. Człowieka, który ma on i dzieci!

- Nie miał wyboru. Sama go tam posłałam.

- Ale dlaczego?

- Dlaczego? Bo twoja siostra jest idiotk - odparła zimno. - Nic dziwnego, e stale musiała j ratowa z kłopotów, w które wpadała przez własn głupot . Co innego Tony. Jest wspaniałym, inteligentnym człowiekiem, tylko ludzie nie potrafi go doceni . Musz go broni przed krzywd , bo nikt nie chce stan w jego obronie. Nikt nie umie si na nim pozna . Sam chciał załatwi swoje sprawy, ale niestety popełnił omyłk , zreszt w tej sytuacji ka dy by si pomylił. - Nagły grymas nienawi ci wykrzywił twarz Lindy. - Wszystko przez t twój siostruni , która przebrała si w twoje rzeczy. Wygl dała w nich zupełnie jak ty.

Pod Elizabeth ugi ły si nogi. Momentalnie wszystko stało si jasne. Znikni cie samochodu. Pantofel w бага niku.

- Czy chcesz powiedzie , e twój brat porwał April, my l c, e to ja?

- Tak.

Elizabeth a si wzdrygn ła, czuj c w sercu zimny, parali uj cy strach. Miała wra enie, e słyszy daleki, niewyra ny szum.

- Czy... on j zabił?

Linda zdawała si nie słysze pytania.

- Sama jeste sobie winna - odezwała si . - Gdyby nie zabrała si do pisania tego głupiego raportu...

- Co ty mówisz, Linda! Przecie to mój zawód.

- Mogła pój nam na r k . Nie musiała od razu informowa władz podatkowych. Tony zd yłby uporz dkowa swoje sprawy, ale na to potrzebował wi cej czasu. Miał plan, który chciał ci przedstawi i wytłumaczy , jakie zamierza podj kroki.

Elizabeth patrzyła z przera eniem na stoj c przed ni kobiet . Rewolwer dr ał w wyci gni tej dłoni. Linda wydała z siebie d wi k, który w innych okoliczno ciach mo na by uzna za miech.

- My ła, e ma ci w r ku. Wyszła rano z twojego domu, ubrana w twój kostium, z włosami ufarbowanymi na czarno, uczesana tak jak ty. Tony czekał pod domem. - Zmarszczyła czoło. - Chciał ci tylko wyja ni , sk d wzi ły si nie cisko ci w rachunkach. Wiedział, e z własnej woli nie zechcesz go wysłucha . Chciał ci zabra w ustronne miejsce i przedstawi swoje argumenty.

- Mówisz, e była ubrana w moje rzeczy? - zapytała Elizabeth z niedowierzaniem. - Nie rozumiem, po co miałyby to robi .

Linda potrz sn ła rewolwerem i Elizabeth odruchowo si cofn ła.

. - A bo ja wiem? Co mnie to zreszt obchodzi? Interesuje mnie tylko raport. Gadaj, gdzie go schowała . Na pewno masz tutaj jak skrytk . Tony przetrz sn ł całe mieszkanie, ale raportu nie znalazł. Nie chc , eby wpadł im w r ce po tym, jak znajd twoje zwłoki.

Słowa Lindy docierały do Elizabeth jak przez mgł . Wi c to Tony zdewastował jej mieszkanie, a dostał si do rodka za pomoc kluczy zabranych April. Podniosła r ce gestem rozpaczy.

- Linda, zastanów si . W mieszkaniu Johna siedzi policjant, który przez cały czas obserwuje, co si tutaj dzieje. Drugi stoi na ganku. Nawet je li mnie zastrzelisz, to i tak nie zdołasz si st d wwmkn .

- I co z tego?

- Jest ci wszystko jedno?

- Ty tylko dla niego. Jeśli zginiesz, fiskus o niczym się nie dowie. O nic więcej nie dbam. Musz go bronić.

- A kto będzie o niego dbał, kiedy znajdziesz się w więzieniu?

Linda jakby się stropiła.

- Potem będzie miała czas o tym pomyśleć.

- Posłuchaj mnie, Lindo, masz zamęt w głowie. Odłóż ten rewolwer i porozmawiajmy rozsądnie. W przeciwnym razie oboje traficie do więzienia, nie tylko ty, ale także twój brat. Porwanie jest ci kimś przestępstwem, a jeśli - Elizabeth zwiła wyschnięte wargi - jeśli Tony zabił April, dostanie wyrok śmierci. Nawet jeśli mnie zastrzelisz, prawda i tak wyjdzie na jaw. Nie da się jej ukryć.

Palce Lindy jeszcze mocniej cisnęły rewolwer.

- Tony jest mi najdroższy w świecie - oświadczyła spokojnie. - Musisz chyba mieć le głowie, jeśli sobie wyobrazasz, że pozwolę zamknąć go w więzieniu. Zastrzelę każdego, kto się tylko do niego zbliży. Zaczynam od ciebie...

John wszedł bezgłośnie do holu, gdzie gruby dywan tłumił jego kroki, i już miał zawołać Elizabeth, kiedy usłyszał dobiegające z głąbi mieszkania odgłosy rozmowy.

- Zastrzelę każdego, kto się tylko do niego zbliży. Zaczynam od ciebie...

Nie tracił czasu na zastanawianie się nad tym, do kogo może należeć nieznaną, kobiecą głos. Z ukrytej pod kurtką kabury wyszarpnął broń. W przyświeczonej wietle błysnęła niebieskosrebrzysta lufa magnum, którą trzymał pewnie ręką.

- Linda, to nie ma sensu. Nie rób tego. Pozwól sobie pomóc. Zastanówmy się, jak z tego wyjść.

Elizabeth była oczywiście przerażona, niemniej podziwiała jej opanowanie. Mało kto, słysząc podobny grob, potrafiłby mówić z takim spokojem. Trzymając rewolwer lufą do góry, John bezszelestnym krokiem sunął przed siebie w swoim korytarzem.

- Nie ma o czym mówić. Dawaj raport.

- Ja... nie wiem nawet, czy rzeczywiście tutaj jest. W trakcie robienia porządków mogłam go przypadkiem wyrzucić.

- Nie próbuj się wykręcić. I tak nic ci nie uratuje.

John znieruchomiał. Stał tu za drzwiami, oparty plecami o cian. Odetchnął głębiej, policzył do trzech, po czym okręcił się błyskawicznie i z wycigniętym przed siebie rewolwerem wpadł do małego pomieszczenia, wołając na cały głos:

- Rzu bro! Rzu natychmiast!

Elizabeth po wielokroć odtwarzała potem w pamięci tamtą scenę, która czasami rozgrywała się błyskawicznie, w przyśpieszonym tempie, a kiedy indziej rozciągała się jak w zwolnionym filmie. Choć tak naprawdę w pierwszym, przełomowym momencie poczuła jedynie ulgę na widok Johna, a zaraz później przerażenie, kiedy Linda podniosła rewolwer i z nad jej ramienia strzeliła w jego kierunku.

John nie mógł zobaczyć, do kogo strzela, bo stojąca między nim a Lindą Elizabeth zasłaniała mu widok. Zatonął do tyłu, uderzając plecami o cian. Elizabeth skoczyła ku niemu z krzykiem, ale na szczęście przypomniała sobie, że John nosi kuloodporną kamizelkę.

Ile to razy w swojej policyjnej karierze tymi samymi słowami uspokajał innych! Matkę, która chciała wiedzieć, czy znalazła mordercę jej syna; podejrzanego, który czekał na swojego adwokata; oskarżonego, który czekał na werdykt sądu. Jak i inaczej brzmiały te same, dobrze znane słowa, wypowiedziane nie przez niego, ale do niego.

Zamknął wszystkie oczy, oddał się cichej modlitwie.

Elizabeth wydawało się, że nie. Głos April dochodził do niej jak przez mgłę, czuła ciepły dotyk jej ręki.

- Lizzie, najdroższa, nigdy ci nie powiedziałam, jak bardzo ci kocham. Miałaś zawsze przede mną same kłopoty. Przepraszam za wszystko. Przysięgam, że jeśli przeżyjesz, już nigdy nie zapomnę, ile dla mnie znaczyś. - Palce April mocniej uchwyciły jej dłoń. - Pierwszy raz w życiu postanowiłam wziąć sprawy we własne ręce. Dlatego to zrobiłam. Chciałam o własnych siłach wypłatać się z kłopotów, bo widzisz... spodziewam się dziecka. Tak, Elizabeth, mam zostać matką. Najwy szy czas, abym nareszcie dorosła.

Elizabeth chciała coś powiedzieć, zareagować na to, co słyszała, lecz nie potrafiła wydobyć z siebie głosu. Zresztą po co, myślała półprzeżytnie. To tylko sen.

Po pewnym czasie rozległ się inny głos: niższy i głębszy, natrętnie wdzierający się w jej wiadomość, zmuszający ją niemal do przebudzenia się. Oczywiście, był to głos Johna.

- Elizabeth, kocham cię. Dobrze o tym wiesz. Jesteś jedyną kobietą na świecie, której pragnę.

I tym razem na próżno usiłowała powiedzieć: „Ja tebie ci kocham”. Głos znowu ją zawiódł.

Co jakiś czas - co kilka dni, a może godzin? - powracał głos ze snu: słowa to nasilały się, to cichły, potem znów zanikały. Słyszając ostatnie, pełne rozpaczycy pytanie, poczuła w oczach łzy - tyle było w nim smutku, tyle udręki.

- Elizabeth, czy kiedykolwiek potrafisz mi wybaczyć?

Stało się inaczej niż w filmach, których bohaterowie odzyskują przytomność powoli, stopniowo wychodząc z oszołomienia. U Elizabeth odbyło się to momentalnie: spała, a potem nagle się obudziła. Zupełnie przytomna.

Otworzyła oczy. April stała po jednej stronie łóżka, a John po drugiej. Ona wpatrywała się w nich, a oni w nią, a potem wszyscy

zaczęli mówić jednocześnie. April objęła ją ostro i zaczęła tulić do siebie, miewając się i płacząc na przemian. Potem John odsunął April, by zrobić mniej więcej to samo. A potem trzymali ją oboje, każda za jedną rękę.

Elizabeth musiała strzelić z oczu łzy, by móc przyjrzeć się siostrze.

- Wić jesteś tu naprawdę - powiedziała zadziwiona. - Naprawdę jesteś ... A ja myślałam, że to sen. - Z kolei zwróciła się do Johna, ciskając mocno jego rękę. - Jak ją odnalazłeś?

- Linda, po tym, jak ci zraniła, przyznała się do wszystkiego. Masterson wcale nie wyjechał do Europy. Przez cały czas przetrzymywał April w swoim domu nad jeziorem Conroe. W godzinę po wysłuchaniu zeznań Lindy specjalny zespół pojechał do niego i ją uwolnił.

Elizabeth z powrotem zwróciła się do April, wodząc oczami po jej twarzy, jakby wciąż nie mogła uwierzyć, że ma przy sobie swoją bliźniaczkę.

- Jesteś cała i zdrowa? Nie zrobił ci krzywdy? A ta krew w samochodzie? Skąd się wzięła?

April wyciągnęła ramię. Po wewnętrznej stronie widniał niewielki biały opatrunek.

- Miał przy sobie nóż. Sterroryzował mnie i kazał jechać do jego domu. Przy okazji zranił mnie, ale tylko powierzchownie. Kiedy dotarliśmy na miejsce, pozwolił mi opatrzyć rany. Już się zagoiła. - April z uśmiechem pokręciła głową. - Cała Elizabeth, zawsze ta sama! Czy nigdy nie przestaniesz mi matkować?

- Pewnie nigdy - wyszeptała Elizabeth zdławionym ze wzruszenia głosem. - Och, John - dodała, zwracając się w jego stronę - czy kiedykolwiek zdołam ci się odwdzielić?

- Ty? - wtręciła April, nim John zdołał zareagować.

- To raczej ja jestem mu winna dozgonnie wdzięczność.

- Nie czekajcie na odpowiedź Elizabeth, rzuciła Johnowi promienny uśmiech i dodała: - Dzięki kochałam, już nie wiem ile razy. Pewnie z tysiąc.

Ponad półkiem chorej Elizabeth coś się wydarzyło pomiędzy jej ukochaną siostrą a ukochanym mężczyzną, przepłynęła jakaś fala zrozumienia z jego strony, i uznania ze strony April. Elizabeth popatrzyła na siostrę i z jej oczu wyczytała jednoznacznie przeżycie:

To ty pierwsza go odkryła . Jest tylko twój.

- Miałam bardzo dziwny sen - odezwała się Elizabeth po paru chwilach. - Niño mi się , e z tob rozmawiam, a ty mówisz, e spodziewasz się dziecka.

- To nie był sen - powa nie odparła April. - Naprawdę jestem w ciąży.

Elizabeth ze zdumienia otworzyła usta.

- O mój Boże, April! Mówisz poważnie? April skinęła głową .

- Od trzech miesięcy. To już nie żarty. Dlatego mi zdziwili innymi postanowiłam zrobić to, co robiłam. Zdałam sobie sprawę , e skoro mam już dziecko, muszę zacząć polegać na sobie. Obudziłam się rano i pomyślałam, e czas wreszcie się usamodzielniam . Odkąd zaszłam w ciążę , zaczęłam poważnie traktować życie. Lepiej pójdź ni w

- A co z ojcem dziecka? - zapytał John. - Możesz na nim polegać ?

- Nie - odparła sucho. - On nie wchodzi w grę .

Elizabeth niemo wpatrywała się w siostrę , przytłoczona nieoczekiwanym obrotem spraw. Tylu rzeczy chciałaby się dowiedzieć , lecz ton, jakim April uciła pytanie Johna, wskazywał, iż nie na wszystkie pytania uzyska odpowiedź . I bardzo dobrze, powiedziała sobie w duchu. April jest dorosła i nie musi mi o wszystkim mówić . Niemniej jednego pytania nie mogła sobie odmówić .

- Czy masz pewno , e nic ci się nie stało? I czy dziecko prawidłowo się rozwija?

- Oboje mamy się świetnie. Kiedy Tony zorientował się , e porwał mnie zamiast ciebie, kompletnie stracił rezon. Jeśli kogoś się bałam, to przede wszystkim jego siostry.

- Ale po co włączyła ciwie przebrała się za mnie? - zacięła się Elizabeth. - Co to był za pomysł?

April z westchnieniem odwróciła oczy w stronę okna.

- Oj Elizabeth, to by było głupie, wiem. Ale, jak powiedziałam, wiesz , e mam zostać matką , zapragnęłam po raz pierwszy w życiu wypłynąć samodzielnie ze swoich kłopotów. - Z powrotem popatrzyła na Elizabeth. - Odkryłam, e Greg bezczelnie okrada Kersha, defraudując dochody klubu, a Greg dowiedział się , e wykryłam jego oszustwa. Pomyślałam sobie, e jeśli nie dojdzie do niego.

udaj c siebie, przestraszy si i zostawi mnie w spokoju. Chciałam mu zagrozi jakimi prawnymi konsekwencjami. Sama nie bardzo wiedziałam czym. - Opu ciła oczy, zawstydzona i zde gustowana. - Teraz zdaj sobie spraw , jakie to było naiwne i głupie, ale wtedy koniecznie chciałam pokaza , e potrafi sama da sobie rad w trudnej sytuacji i dlatego wcieliłam si w ciebie, bo tylko taki sposób przyszedł mi do głowy.

Elizabeth serce cisn ło si z alu.

- Ale , kochanie - wyszeptała. - Na pewno potrafisz sama o siebie zadba , wcale nie musisz mnie na ladowa . Masz rozum, urod i...

- I pusto w głowie - doko czyła April powa nie, patrz c Elizabeth w oczy. - Wszystko, co si stało... z Tracy, z tym biednym policjantem, to moja wyl czna wina. Ponie li konsekwencje mojej głupoty. - Nagle co sobie przypomniała i zwracaj c si do Johna, zadała mu pytanie: - Wiesz na pewno, e Tracy wyzdrowieje?

- Czeka j długa i ci ka rehabilitacja, ale według lekarzy jest du a nadzieja, e w pełni wyzdrowieje. Zdrowie Stanleya te si poprawia.

April westchn ła z ulg , po czym, zwracaj c si znów do Elizabeth, ci gn ła:

- To ja ci gn łam na was wszystkie nieszcz cia, ale postanowiłam si zmieni . Ju jestem inna.

- Ja i tak nigdy nie przestan ci kocha - odparła Elizabeth zdławionym ze wzruszenia głosem. - Niezale nie od tego, czy si zmienisz, czy nie. I tak samo kocham ju twoje przyszłe dziecko.

Oczy April zaszyły łzami. Elizabeth była zbyt poruszona, by kontynuowa t rozmow . Skierowała wzrok na Johna.

- Co z Lind ? - spytała, chc c zmieni temat. - Czy...

- Le y pi tro ni ej, pod ochron policji - odparł. Spuszczaj c głow , dodał: - Nie powinienem był jej do ciebie dopu ci . To był karygodny bł d. Mogłem si wszystkiego domy li , kiedy mi powiedziała , e Linda rzekomo dowiedziała si o wypadku z gazety. W gazecie nie było wzmianki o strzelaninie w motelu.

Jego oczy, gdy na ni patrzył, pełne były troski i uwielbienia. Nie miałym ruchem dotkn ł jej policzka. Wida nie było jej dzi dane unikn silnych emocji. Czula, jak jej serce przepelnia miło do tego człowieka.

- To moja wina - cię gnę - nie zapobiegłem temu, co się stało.
- To wina Lindy - odparła, wyciągnęła rękę, by dotknąć jego policzka. - Ty uratowałeś mi życie.

- A ty napadłaś mi miertelnego stracha. Przez ten moment, kiedy myślałem, że cię straciłem...

April zakasłała.

- Zostawię was samych.

Odstepowała od łóżka, kierując się ku drzwiom, lecz Elizabeth ją zatrzymała.

- April, kochanie... - Jeszcze raz spotkały się ich spojrzenia, tak na pozór podobne, a tak odmienne. Elizabeth ze wzruszenia kręciła się w głowie. - Nie potrafię wyrazić, jaka jestem szczęśliwa, że wyszła z tego cała. Bardzo cię kocham.

April spuściła głowę.

- Wiem. Zawsze wiedziałam, chociaż dopiero teraz zdałam sobie sprawę, jak bardzo. Mam wyjątkowe szczęście, że los dał mi tak wspaniałą siostrę.

Reszta dopowiedziały sobie wzrokiem i April opuściła pokój. Elizabeth zwróciła się z powrotem do Johna:

- Mówi powaźnie - wyszeptała z uczuciem. - Nie wiem, w jaki sposób potrafię ci się odwdziżyć. Kiedykolwiek.

- Och, znam wiele sposobów - odparł ze swoim rozbrajającym uśmiechem. - Na początek wystarczy ten.

To mówiąc, pochylił się i najdelikatniej, jak mógł, pocałował ją w usta. Pocałunek, choć tak lekki, i prawie niewyczuwalny, wystarczył, by przez jej ciało przebiegł słodki dreszcz, wzmocniony jeszcze pełnym miłości spojrzeniem Johna.

- Moja Elizabeth - rzekł z przejęciem. - Już wcześniej nie wiedziałem, że jestem w tobie po uszy zakochany, ale dopiero kiedy to się stało, i to na moich oczach, dopiero wtedy zrozumiałem, że nie potrafię bez ciebie żyć.

- Ja też bardzo cię kocham - odparła czule. - Bo dzięki tobie zrozumiałam, co to słowo naprawdę znaczy. To ty mnie nauczyłeś, że miłość nie polega na tym, żeby opiekować się tym, kogo kochamy; że trzeba nawet najdrożej osobie pozwolić być sobą. I kochać ją tak, jaka jest. - Uśmiechnęła się. - Razem z krostami i brodawkami.

W jego oczach pojawiły się wesołe błyski.

- Jak dotąd, nie zauważyłem żadnych krost ani brodawek.

Zdrowym ramieniem obj ła go za szyj .

- Mo e nie znasz mnie jeszcze tak dobrze, jak ci si wydaje. Mog , na przykład, okaza si nieznano n ciotk ... albo matk z piekła rodem.

- Nie s dz - odparł. - Lisa wyznała mi niedawno, e chciaaby wyrosn na tak sam pi kn dam jak ty. Na pewno marzy, eby została jej macoch .

Ja mam by macoch ? Macoch Lisy? Na my l o tym, i wszystkim, co si z tym wi zało, Elizabeth kolejny raz poddała si wzruszeniu. Znowu nie potrafiła opanowa napływaj cych do oczu łez.

John stał je delikatnie czubkiem palca. Czuło tego odruchu pozwoliła jej nareszcie poj , jak bardzo si dot d myliła. Miło , która ich poł czyła, i która w tej chwili wypełniała jej serce, była prawdziwym cudem. Sk d brały si jej wszystkie dawne obawy? Nie umiała na to pytanie znale odpowiedzi. Zreszt , nie musiała si trzdzi . John tak pi knie rozproszył wszystkie l ki i odpowiedział na wszystkie pytania...